



## Biuletyn nr 11

Jeleniogórskiego Stowarzyszenia  
Żołnierzy Radiotechników  
„Radar”

czerwiec 2010 roku

ISSN 1732-8667

Biuletyn redaguje Kolegium w składzie Zarządu Stowarzyszenia.

Nad wydaniem bieżącego zeszytu pracowali:  
Paweł Kaliński i Franciszek Michalik.

Biuletyn wydaliśmy dzięki nieodpłatnej pracy redakcyjnej oraz nieodpłatnie przekazanych nam przez autorów materiałów do publikacji. Fotografie są autorstwa: Jana Bielskiego, Pawła Kalińskiego, Franciszka Michalika, Jana Pałubskiego, oraz z archiwum autorów publikacji.

Druk wykonano na koszt Stowarzyszenia  
w

Nakład 250 egz.

Artykuły publikowane w „Biuletynie” są niezależnymi wypowiedziami ich autorów. Redakcja za ich treść nie ponosi odpowiedzialności.

Wydawca:  
Jeleniogórskie Stowarzyszenie Żołnierzy Radiotechników „Radar”  
58-506 Jelenia Góra  
ul. Małcużyńskiego 64

e-mail: [gorjan4@wp.pl](mailto:gorjan4@wp.pl)

**Jeleniogórskie Stowarzyszenie  
Żołnierzy Radiotechników „Radar”  
KRS 0000 11 82 56**

**ISSN 1732-8667**

# Spis treści

## I. Okruchy z życia „RADARU”

Janusz Górecki <b>Słowo prezesa</b> .....	5
Janusz Górecki <b>Podsumowanie akcji 1% za 2009 r.</b> .....	6
Janusz Górecki <b>Kalendarium – 2009</b> .....	8

## II. Wojska Radiotechniczne i ich Szkoła

Henryk Czyżyk <b>Wojska Radiotechniczne w Wojskach Lotniczych</b> .....	29
Marek Kaiper <b>Nawigacyjne urządzenia elektroświatlne</b> .....	52
Marek Kaiper <b>Program szkolenia kadetów w jeleniogórskiej TSCh a rzeczywistość</b> .....	60
Wojciech Bonczek <b>Moje wspomnienia z Jeleniej Góry</b> .....	69
Janusz Górecki <b>Tragedia w Białym Jarze</b> .....	76

## III. Sylwetki żołnierzy Wojsk Radiotechnicznych

Wojciech Bonczek <b>Ocalić od zapomnienia - Pułkownik Henryk Seroka</b> .....	84
--	----

## IV. Oblicza historii

Jan Ryszard Selezin <b>Polityczno–militarne implikacje Powstania Styczniowego 1863-1864</b> .....	90
Paweł Kaliński <b>Moja Ochota 1944.</b> .....	96
Paweł Kaliński <b>Powstanie Warszawskie 1944 okiem kamery niemieckiego korespondenta wojennego</b> .....	122

Władysław Stasienko  
**Mecz piłki nożnej „Żydzi – esesmani”** ..... 130

Władysław Stasienko  
**Jak wypędzałem Niemców z Jeleniej Góry  
i inne grzechy dzieciństwa.** ..... 141

## **V. Reportaż – „Radar” w terenie**

Paweł Kaliński  
Franciszek Michalik  
**Podróż w nieznanie – wrzesień 2009** ..... 148

## **VI. Z życia Garnizonu**

Paweł Kaliński  
**Jeleniogórskie „Dziady”** ..... 162

Paweł Kaliński  
**„Jest w orkiestrach dętych jakaś siła”** ..... 164

## **VII. Opracowania nadesłane**

Michał Piekarski  
**Wojska Specjalne w Wojsku Polskim** ..... 169

## **VIII. Opinie**

ks. Józef Frąc  
**Kilka uwag do listu otwartego** ..... 182



„Istniejemy póki ktoś o nas pamięta”

Carlos Ruiz Zafón

## Słowo prezesa

Oddajemy w Wasze ręce Szanowni Czytelnicy radarowy Biuletyn nr11. Czynimy to z pewnym opóźnieniem od planowanego wydania, spowodowanym problemami organizacyjno – personalnymi. Ubolewam z tego powodu i naszych wiernych Czytelników oraz Autorów tekstów, za wynikłe opóźnienie serdecznie przepraszam.

Niniejsze wydanie opracowane zostało pod kierownictwem nowego sekretarza Zespołu Redakcyjnego *plk. rez. Franciszka Michalika*, który skupił wokół siebie energicznych i pełnych zapału do pracy kolegów. Powyższy fakt stwarza nową szansę, na planową i systematyczną pracę przy wydawaniu kolejnych Biuletynów, tak bardzo oczekiwanych w środowisku radiotechników.

Będziemy w nich prezentować historię jeleniogórskich szkół radiotechnicznych, sylwetki zasłużonych radiotechników, a także upowszechniać tradycje i historię polskich jednostek radiotechnicznych. Nie bez znaczenia będzie też popularyzowanie problematyki obronnej w społeczeństwie.

Każdy z Was Szanowni Czytelnicy może przyczynić się do wzbogacania treści naszego wydawnictwa. Zachęcam, więc do współpracy w tworzeniu jedynego, tego rodzaju periodyku w Wojskach Radiotechnicznych Sił Powietrznych.

Serdecznie Państwa pozdrawiam i życzę miłej lektury.

Janusz Górecki

Prezes JSZR „Radar”

**Jeleniogórskie Stowarzyszenie Żołnierzy  
Radiotechników „Radar”**

**KRS 0000 11 82 56**

## Podsumowanie akcji 1% za 2009 r.

Dobiegła końca **piąta edycja akcji pozyskiwania** przez organizacje pożytku publicznego **1% z podatku** od podatników, którzy w rocznym zeznaniu podatkowym wskazali organizację przez siebie obdarowaną.

Otrzymaliśmy kwoty pieniężne od naszych darczyńców za pośrednictwem **68 Urzędów Skarbowych z 47 miast Polski**. Ogółem wpłat było 178 na **kwotę 15.271,65 zł** w przedziale od 1,50 do 530 zł.

*Jest to o 2.311,43 zł więcej od rekordowego pod tym względem 2008 roku.*

Największą hojność wykazali darczyńcy z następujących miejscowości:

Siedziba Urzędu Skarbowego	Ilość wpłat	Suma wpłat (zł)
Jelenia Góra	70	5 281,40
Warszawa	22	2 913,55
Bydgoszcz	11	603,70
Wrocław	11	1 326,00
Gdynia	5	500,40

Oto wykaz osób, które dokonały wpłaty i wykazały wolę ujawnienia się, stawiając w zeznaniu podatkowym w stosownej rubryce znak „x”:

1. Antonowicz Jerzy – Świnoujście
2. Andrzejczak Zbigniew, Regina – Zgierz
3. Bednarski Cezary, Halina – Kłobuck
4. Bojanowski Janusz, Zofia – Warszawa
5. Bogdał Andrzej, Teresa – Sochaczew
6. Biegalski Józef – Jelenia Góra
7. Bielski Jan, Jadwiga – Jelenia Góra
8. Bigosińska Janina – Jelenia Góra
9. Bigosiński Zdzisław – Jelenia Góra
10. Blukacz Zenon, Aniela – Jelenia Góra
11. Baran Zdzisław, Marianna – Jelenia Góra
12. Budny Ryszard, Katarzyna – Gryfino
13. Bonczek Wojciech – Radzionków
14. Brzozowy Leonard, Irena – Warszawa
15. Braclawski Antoni, Teresa – Jelenia Góra
16. Ciężki Jan, Irena – Jelenia Góra
17. Chodosiewicz Wincenty, Danuta – Orzysz
18. Czeszejko Stanisław – Warszawa
19. Ćmiel Jan – Kołobrzeg
20. Czopek Władysław – Jelenia Góra
21. Deręgowski Zbigniew – Jelenia Góra
22. Dereń Leszek – Zgierz
23. Deperas Bogusław – Sochaczew
24. Ditkowski Jerzy, Julia – Jelenia Góra
25. Dobrzański Grzegorz – Marciszów
26. Dul Tadeusz, Anna – Świnoujście
27. Dzierżawski Władysław – Warszawa
28. Gajek Henryk, Bogusława – Jelenia Góra
29. Gajek Tomasz, Koryna – Mysłakowice
30. Galas Łukasz, Magdalena – Tuchów
31. Gapys Tadeusz, Barbara – Jelenia Góra
32. Gątarz Adolf – Jelenia Góra
33. Glówczyk Józef, Barbara – Kraków
34. Gołębiowski Marek, Bogusława – Dziwiszów
35. Górski Jerzy, Barbara – Jelenia Góra
36. Górecki Marcin, Katarzyna – Wrocław
37. Górecki Janusz, Ewa – Jelenia Góra
38. Ginowicz Jan, Krystyna – Jelenia Góra
39. Grabiec Jan, Cecylia – Muszyna
40. Graczyk Krzysztof – Częstochowa
41. Grabowski Bogdan, Zofia – Jelenia Góra
42. Jabłoński Stanisław, Ilona – Oborniki Śl.
43. Juszkiewicz Roman – Bydgoszcz

- |   |  |
|---|--|
| 44. Jurczenko Mirosław - Wrocław                | 85. Puto Miłosz, Anna – Słupsk   |
| 45. Kaczmarczyk Stanisław, Alina – Lubomierz    | 86. Piotrowski Lech – Bydgoszcz  |
| 46. Kaiper Marek - Warszawa                     | 87. Pietrzyk Wiesław, Lubow – Warszawa   |
| 47. Kamecki Sylwester, Bogusława – Jelenia Góra | 88. Piekarczyk Józef, Maria – Jelenia Góra   |
| 48. Kaliński Paweł – Jelenia Góra               | 89. Piekarczyk Marek, Barbara - Węgrzce  |
| 49. Kowal Ryszard, Krystyna – Bydgoszcz         | 90. Pośląnda Ryszard, Mieczysława – Warszawa   |
| 50. Kobierzycki Jerzy, Elżbieta – Warszawa      | 91. Podsiadły Tadeusz, Janina – Leszno   |
| 51. Koperski Władysław, Barbara – Łódź          | 92. Robak Czesław, Teresa – Warszawa   |
| 52. Kolodziej Aleksander, Maria – Warszawa      | 93. Rogosz Zbigniew – Gdynia   |
| 53. Kolodziński Józef – Władysławowo            | 94. Rosa Ireneusz – Nowe Zduny   |
| 54. Kołtek Dariusz - Augustów                   | 95. Rogalski Andrzej, Krystyna – Jelenia Góra  |
| 55. Kondycki Rudolf – Jelenia Góra              | 96. Rózański Mieczysław, Bożena – Łębork   |
| 56. Koselski Marian, Elżbieta – Grodzisk Maz.   | 97. Rózańska Kornelia – Łębork   |
| 57. Kosiński Janusz, Maria – Jelenia Góra       | 98. Sikora Michał, Bożena – Gryfice  |
| 58. Kosiński Maciej, Katarzyna – Warszawa       | 99. Sikorski Adam – Debrzno  |
| 59. Klimczak Zygmunt – Jelenia Góra             | 100. Sikorska Barbara – Debrzno  |
| 60. Klementowska Anna – Jelenia Góra            | 101. Stasięko Władysław – Jelenia Góra   |
| 61. Kujawa Łukasz - Luboń                       | 102. Stąpór Kazimierz, Anna – Jelenia Góra   |
| 62. Kulpa Józef, Agnieszka – Gdynia             | 103. Strycharski Stanisław – Jelenia Góra  |
| 63. Kuśmierek Zbigniew, Krystyna – Jelenia Góra | 104. Słotwiński Stanisław, Elżbieta - Wrocław  |
| 64. Krasowski Maciej, Sylwia – Wrocław          | 105. Szechniuk Henryk, Halina – Gdynia   |
| 65. Kwieciński Waldemar, Małgorzata – Jarocin   | 106. <span style="border: 1px solid black; padding: 2px;">Szmajdziński Jerzy</span> – Warszawa |
| 66. Lawin Elżbieta – Olszyna                    | 107. Szymański Dariusz, Beata – Warszawa   |
| 67. Lewandowska Marta – Jelenia Góra            | 108. Szpala Andrzej, Krystyna – Kowary   |
| 68. Lewandowski Tadeusz, Iwona – Jelenia Góra   | 109. Szala Waldemar - Ustka  |
| 69. Lewandowski Andrzej, Anita – Gliwice        | 110. Szwabowski Waldemar, Urszula – Warszawa   |
| 70. Łapiński Krzysztof, Krystyna – Bydgoszcz    | 111. Tomczyk Krystyna – Warszawa   |
| 71. Nawrocki Andrzej Grażyna – Gdynia           | 112. Tomaszewski Jerzy, Alicja – Warszawa  |
| 72. Nowakowski Gabriel, Ewa – Bydgoszcz         | 113. Trojnar Czesław, Teresa – Jelenia Góra  |
| 73. Maryniak Ted – Ohio USA                     | 114. Ujazdowski Marcin – Braniewo  |
| 74. Michalik Franciszek, Ludwika – Jelenia Góra | 115. Wadowska Anna – Jelenia Góra  |
| 75. Musiał Andrzej – Jelenia Góra               | 116. Wadowski Marian, Elżbieta – Jelenia Góra  |
| 76. Mroczko Franciszek, Urszula – Jelenia Góra  | 117. Wala Józef, Grażyna – Jelenia Góra  |
| 77. Olkuszka Krystyna – Jelenia Góra            | 118. Walenczak Marek, Marzanna – Gryfice   |
| 78. Olszewski Marek, Bożena – Sztum             | 119. Wawrzyniak Albin - Łódź   |
| 79. Pałubski Jan, Irena – Jelenia Góra          | 120. Wituch Jan, Czesława – Jelenia Góra   |
| 80. Pawelec Jerzy - Bydgoszcz                   | 121. Wojciechowski Zbigniew, Izabela – Rumia   |
| 81. Pawlak Andrzej, Magdalena – Jelenia Góra    | 122. Zdeb Józef, Elżbieta – Jelenia Góra   |
| 82. Pawlak Włodzimierz, Halina – Jelenia Góra   | 123. Zienko Adam, Alicja – Legnica   |
| 83. Peikert Bronisław, Janina – Jelenia Góra    | 124. Jagielski Jan – Jelenia Góra  |
| 84. Peikert Marcin – Jelenia Góra               |  |

Dziękując za dar serca i zaufanie jakim obdarzyliście Państwo Stowarzyszenie „Radar” w 2009 r, jestem głęboko przekonany, że uczynicie podobnie w bieżącym roku.

Liczymy na Wasze wsparcie i dalszą współpracę.

Prezes Stowarzyszenia

**Janusz Górecki**

## Kalendarium - 2009

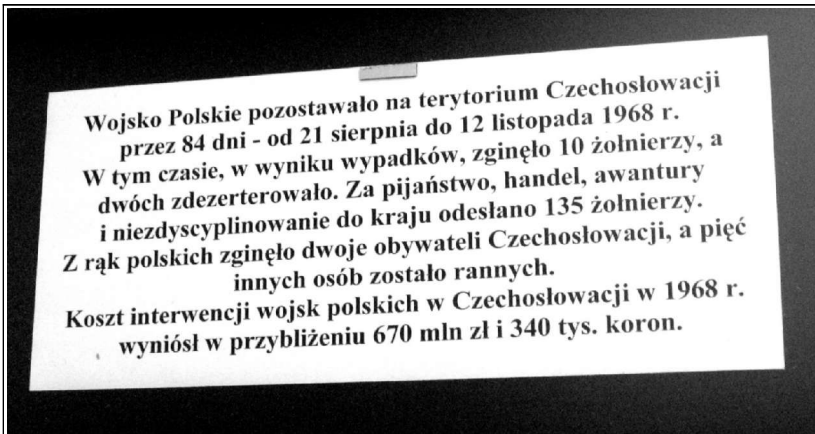
5 Stycznia

Zebranie członków Stowarzyszenia odbyło się w Archiwum Państwowym w Jeleniej Górze.



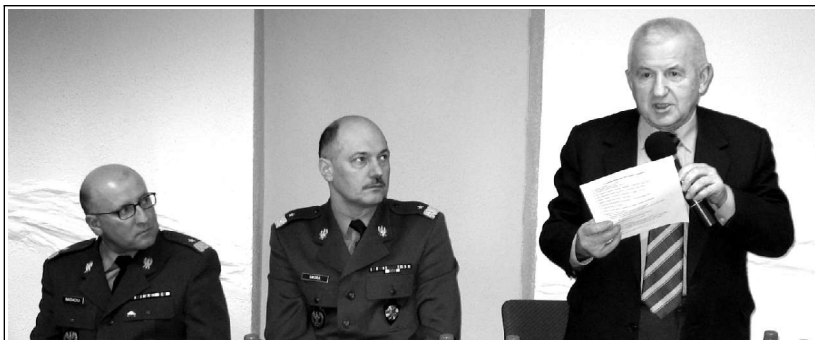
*Janusz Kosiński, Ivo Łaborewicz, Janusz Górecki*

Kierownik placówki Ivo Łaborewicz oprowadził zebranych po wystawie pt:”40-lecie inwazji armii Układu Warszawskiego na Czechosłowację” oraz zaprezentował film dokumentalny o samospaleniu się Ryszarda Siwca na Stadionie Dziesięciolecia w Warszawie. Czyn ten był aktem desperacji i protestu przeciwko udziałowi „bratnich armii” w inwazji na Czechosłowację.



## 2 lutego

Odbyło się Walne Zebranie Członków Stowarzyszenia.

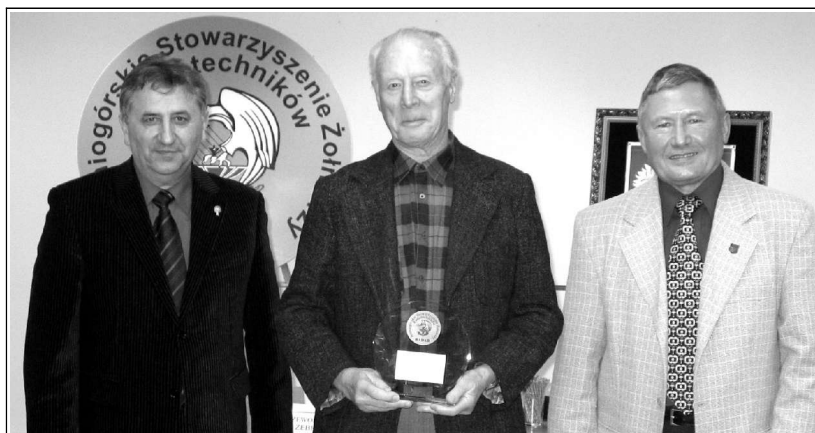


*Od lewej: gen. bryg. dr Józef Nasiadka, gen. bryg. Michał Sikora,  
gen. bryg. w st. spocz. dr Bronisław Peikert*

Miało ono charakter sprawozdawczy. Gośćmi zebrania byli: szef Wojsk Radiotechnicznych gen. bryg. dr Józef Nasiadka oraz dowódca 3 Brygady Radiotechnicznej gen. bryg. Michał Sikora.

Zebranie podjęło szereg uchwał między innymi o zorganizowaniu Karkonoskiego Pikniku Militarynego.

Za szczególne osiągnięcia na rzecz Stowarzyszenia w minionym 2008 r. zostali wyróżnieni koledzy: Bronisław Peikert, Marek Gołębiowski, Jan Ginowicz, Zdzisław Bigosiński, Paweł Kaliński oraz Józef Zdeb



*Od lewej: Franciszek Mroczo, Paweł Kaliński, Janusz Górecki*

## 2 lutego

Powołany został zespół do opracowania monografii Wojsk Radiotechnicznych. W skład zespołu weszli koledzy: Bronisław Peikert, Adolf Stachula, Zbigniew Kuśmierk, Marek Gołębiowski, Jan Ginowicz.

W pierwszym posiedzeniu tego zespołu uczestniczyli między innymi generałowie Józef Nasiadka i Michał Sikora oraz kierownik Archiwum Państwowego w Jeleniej Górze Ivo Łaborewicz.

## 2 marca

Podczas zebrania członków Stowarzyszenia wyświetlony został przejmujący film dokumentalny pt. „Kim Ki Dok” o koreańskich dzieciach – sierotach wojny domowej z 1950 r, które w ilości ponad 1000 osób, przez 6 lat przebywały w Ośrodku Młodzieżowym w okolicach Jeleniej Góry, ucząc się w polskich szkołach, poznając nieznanym im kulturowo kraj i nowych przyjaciół.



## 11 marca

Zarząd na swym posiedzeniu postanowił przyjąć w nasze szeregi mieszkańca Cieszyna sierż. rez. Marka Gawłasa. Kolega Marek jest absolwentem jeleniogórskiej Podoficerskiej Szkoły Zawodowej z roku 1965 (d-ca komp. kpt. T. Świerk) oraz sympatykiem naszego Stowarzyszenia od początku naszej działalności.

## 14 marca

Zorganizowaliśmy szóstą edycję radarowego Pikniku na Polanie Jakuszyckiej. Piknik miał charakter rekreacyjno – sportowy i odbył się przy wyśmienitej pogodzie. W ramach tej imprezy rozegrano narciarski ”bieg kapeluszowy” na dystansie 6 km (zwycięzca Grzegorz Lewandowski z Cardiff) oraz konkursy sprawnościowe na śniegu. W chatce góralskiej przy kominku odbyła się biesiada, której gościem honorowym był twórca Biegu Piastów Julian Gozdowski. Pan Julian z rąk prezesa Janusza otrzymał pamiątkową plakietkę, będącą formą podziękowania za wspieranie działalności statutowej Stowarzyszenia „Radar”.



*Uczestnicy pikniku: Kazimierz Stachowicz, Lidia Michalik, Zdzislaw Bigosiński, Jan Palubski*



*Julian Gozdowski – prezes Stowarzyszenia „Bieg Piastów” (drugi od prawej)*



*Ewa Pieńkos zwyciężyła w zawodach zręcznościowych w kategorii pań*



*Zbigniew Deregowski i Lidia Michalik*



*Grzesiu Lewandowski z Cardiff*



*Uczestnicy Pikniku*

VI Zimowy Piknik zorganizowali koledzy: Marek Gołębiowski i Janusz Górecki.



## 1 kwietnia

W szeregi naszej organizacji wstąpił ppłk w st. spocz. Stanisław Ślanda - absolwent Oficerskiej Szkoły Piechoty nr 2 w Jeleniej Górze. Po ukończeniu szkoły skierowany został na stanowisko dowódcy plutonu do Oficerskiej Szkoły Radiotechnicznej w Białobrzegach. Po powrocie do Jeleniej Góry był d-cą kompanii w Szkolnym Batalionie Elewów, a następnie kierownikiem Warsztatów Szkolnych w OSR i WOSR. Odszedł z wojska w 1986 r. po 34 latach służby.



*Od lewej: Janusz Górecki, Stanisław Ślanda*

## 10 kwietnia

W święcie 25-lecia 23 Śląskiej Brygady Artylerii z Bolesławca uczestniczyli koledzy Bronisław Peikert i Janusz Górecki. Podczas uroczystego apelu powitano żołnierzy brygady, którzy zakończyli misję pokojową w Syrii. Odbył się też pokaz sprawności żołnierzy oraz pokaz strzałów artyleryjskich Bractwa Kurkowego. W uroczystości uczestniczyli wszyscy dotychczasowi dowódcy brygady oraz władze miasta i powiatu.

## 7 maja

Pod Mieczami Piastowskimi w Cieplicach odbyła się patriotyczna uroczystość z okazji 64 rocznicy zakończenia II wojny światowej. Podczas uroczystości delegacja RADARU w składzie: Bronisław Peikert, Józef Piekarczyk i Janusz Górecki złożyła wiązanek kwiatów pod pomnikiem i uczestniczyła w spotkaniu z kombatanami. Celebrantem uroczystości Pod Mieczami, był członek Zarządu kol. Marek Gołębiowski.

## 14 maja

W Łomnicy k. Jeleniej Góry, na terenie Wystawy Sprzętu Radiolokacyjnego odbył się radarowy czyn społeczny w którym wzięli udział koledzy: Boratyński, Blukacz, Bigosiński, Bielski, Czopek, Górecki, Michalik, Mroźniewski, Musiał, Nowogrodzki, Pałubski, J.Pawlak, Strycharski, Stąpór, Stasienko, Stachowicz, Wojtasik, Wituch i Zdeb.



Uczestnicy czynu wykonali prace porządkowo-przygotowawcze do Radarowego Pikniku Militarnego.

## 16 maja

W dniu naszego święta na terenie Wystawy Sprzętu Radiolokacyjnego w Łomnicy k. Jeleniej Góry zorganizowaliśmy, wspólnie z Muzeum Karkonoskim, **Radarowy Piknik Militarny**.



*Orkiestra Sił Powietrznych z Bytomia*

W naszym święcie uczestniczył wicemarszałek Sejmu Jerzy Szmajdziński,

posłowie: Marzena Machałek i Marcin Zawila, władze samorządowe Jeleniej Góry, powiatu jeleniogórskiego, gminy Mysłakowice oraz generałowie: Józef Nasiadka, Michał Sikora, Andrzej Łosiński, Zbigniew Janoś i Bronisław Peikert. Była też delegacja ze Stowarzyszenia Byłych Żołnierzy Bundeswehry z Berlina.



Prezentowany był najnowszy radar produkcji polskiej - RLS ODRA, wyposażenie i uzbrojenie jednostek specjalnych WP oraz wyrzutnia przeciwlotnicza. W pikniku brały udział Drużyny Promocyjne jednostek wojskowych z Wrocławia, Bytomia, Świątoszowa, Bolesławca i z WKU - Jelenia Góra. Państwowa Straż Pożarna pokazywała sprzęt gaśniczy oraz sprzęt ratownictwa drogowego. Muzeum Karkonoskie przygotowało wystawę pt. "Karkonoskie Militaria".



*Stacja radiolokacyjna - Odra*

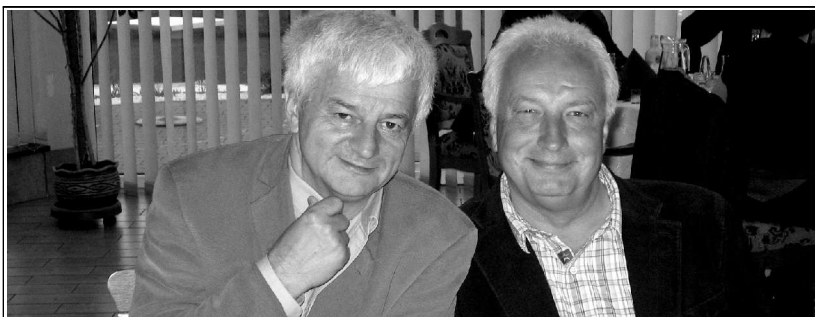


*Andrzej Rehlis z wnukiem*



*Henryk Erentaut z córkami i wnukami*

Ten wyjątkowy dla nas dzień zakończyliśmy spotkaniem członków Stowarzyszenia z zaproszonymi gośćmi.



*Jerzy Balcerkowski*

*Marian Piasecki*



*Jerzy Łuźniak, Jerzy Szmajdziński , gen. bryg. Józef Nasiadka*

**20 maja**

Przyjęliśmy do Stowarzyszenia nowych członków:

- Teda Maryniaka przedsiębiorcę z Ohio (USA). Ted to absolwent Szkoły Specjalistów WRT przy WOSR z 1970 r. Jego dowódcą kompanii był kpt. Dulewicz a plutonu ppor. Zenon Blukacz. Do USA Ted wyjechał w 1980 r. i pozostał na stałe. Ze swym dowódcą Zenonem Blukaczem spotkał się po 39 latach w siedzibie Stowarzyszenia, kiedy rozpatrywana była sprawa Jego członkostwa w Radarze.



*Marian Piasecki (z prawej)*

- Mariana Piaseckiego – właściciela pałaców i zamków w miniaturze (Park Miniatur Zabytków Dolnego Śląska w Kowarach) – podchorążego WOSR z lat 70-tych (2 komp. - d-ca kpt. Ryszard Kot).



*Józef Okulicz-Kozaryn (z lewej)*

- Józefa Okulicza-Kozaryna – cenionego lekarza reumatologa, byłego podchorążego Wojskowej Akademii Medycznej w Łodzi. Sympatyka Radaru. Pasjonata turystyki górskiej i tenisa ziemnego.

## 19 czerwca

Swoje święto 35-lecia obchodziła 3 Brygada Radiotechniczna. Podczas uroczystego apelu odczytano Decyzję Ministra Obrony Narodowej w sprawie nadania nazwy wyróżniającej.

### 3 Wroclawska Brygada Radiotechniczna.

W uroczystościach uczestniczyli: dowódca Sił Powietrznych gen. broni Andrzej Błasik, szef Wojsk Radiotechnicznych SP, gen. bryg. Józef Nasiadka, prezydent Wrocławia Rafał Dutkiewicz, kadra i pracownicy cywilni brygady oraz wielu zasłużonych radiotechników. Nasze Stowarzyszenie reprezentowali koledzy: Janusz Boratyński, Jan Ginowicz, Janusz Górecki, Franciszek Mroczko oraz Bronisław Peikert.

## 13 lipca

Zarząd Stowarzyszenia na swym posiedzeniu dokonał podsumowania piątej edycji akcji 1%.

Za 2009 rok otrzymaliśmy kwoty pieniężne od naszych darczyńców za pośrednictwem **68 Urzędów Skarbowych z 47 miast Polski**.



## 14 sierpnia



14.08.2009 r. - Bolesławiec - Apel 23 Śląskiej Brygady Artylerii

W dniu Święta Wojska Polskiego uroczystie pożegnano odjeżdżających na misję do Afganistanu 42 żołnierzy z 23 Śląskiej Brygady Artylerii w Bolesławcu.

Podczas uroczystego apelu dowódca brygady płk Roman Kłosiński wręczył puchary i upominki najlepszym strzelcom zawodów strzeleckich zorganizowanych dla uczczenia święta WP. Pierwsze miejsce w zawodach zdobyła drużyna Stowarzyszenia „RADAR” w składzie: Jan Bielski, Janusz Górecki i Franciszek Michalik. Koledzy Michalik i Bielski byli też bezkonkurencyjni w klasyfikacji indywidualnej.



*Od lewej: Janusz Górecki, Franciszek Michalik, Jan Bielski*

## 15 sierpnia

Zorganizowaliśmy po raz kolejny w Jeleniej Górze święto Wojska Polskiego - tym razem przy współpracy z władzami miasta. Uroczystość rozpoczęła się przemarszem ulicami Jeleniej Góry: Orkiestry Dętej, Kompanii Honorowej, pocztów sztandarowych, władz samorządowych, kombatantów i weteranów wojennych, żołnierzy rezerwy oraz mieszkańców miasta.







Druga część uroczystości odbyła się w Kościele Garnizonowym, gdzie odprawiona została msza święta w intencji Wojska Polskiego i Ojczyzny.

Największy wkład w zorganizowanie tej podniosłej uroczystości wnieśli koledzy Marek Gołębiowski, Zdzisław Bigosiński i Jan Ginowicz.

## **16 sierpnia**

Z okazji Święta WP otrzymaliśmy życzenia od instytucji, parlamentarzystów oraz osób prywatnych. W swoim piśmie posłanka Marzena Machałek napisała między innymi:

*„Chociaż w Jeleniej Górze od kilku lat nie ma już jednostek wojskowych, z wielką radością przyjmuję fakt, iż corocznie organizowane są w naszym mieście obchody święta Wojska Polskiego. Dzieje się tak właśnie za sprawą Stowarzyszenia RADAR – organizatora tych uroczystości. Dlatego chciałabym wyrazić swój podziw dla działań Stowarzyszenia, a byłym żołnierzom zawodowym podziękować za wytrwałość w propagowaniu najcenniejszych wartości.”*

## **27 sierpnia**

Na wieczną żołnierską wartę odszedł od nas wspaniały kolega, wzorowy oficer, nauczyciel i wychowawca wielu absolwentów naszej wojskowej uczelni, członek-założyciel Stowarzyszenia RADAR

**Ś.p. płk dr inż. Bogdan Grabowski**

**Miał 65 lat**

## **7 września**

Przyjeśliśmy do Stowarzyszenia kpr. rez. Wojciecha Geło z Ustrzyk Dolnych. Pan Wojciech pełnił zasadniczą służbę wojskową w koszarach „pod jeleniami” w latach 1961-1963 w Szkolnym Batalionie Elewów (dowódca mjr Bajgier). Po zakończeniu służby wojskowej ukończył studia na UMCS w Lublinie i przez szereg lat pracował w administracji państwowej. Jego pasją jest krótkofalarstwo - jest współzałożycielem Klubu Polskich Krótkofalowców - Lotników.

## **18 września**

Zorganizowaliśmy wycieczkę autokarową do Świdnicy i Krzyżowej. W Świdnicy zwiedziliśmy Kościół Pokoju (jest na liście UNESCO), Rynek Starego Miasta, Katedrę pw. św. Stanisława z XIV w. oraz prywatne muzeum militariów p. Stanisława Gabryśia. Natomiast w Krzyżowej zwiedziliśmy byłą rezydencję rodu von Moltke. Tę bardzo atrakcyjną wycieczkę, w której uczestniczyli wraz z nami radiotechnicy z innych miast Polski, zorganizowali koledzy Jan Ginowicz i Jerzy Górski.

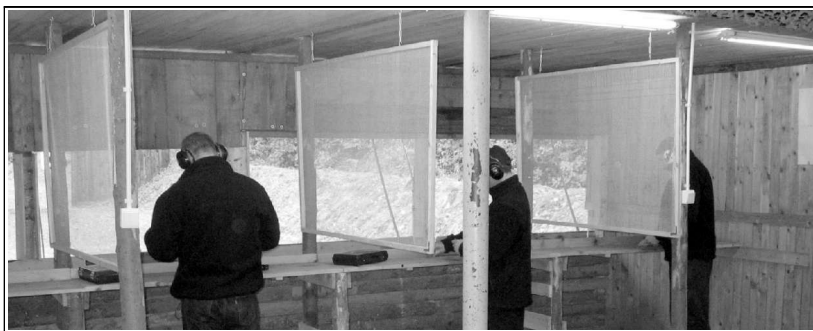
## **17 października**

Odwiedził nas szef Wojsk Radiotechnicznych (honorowy członek Stowarzyszenia) gen. bryg. Michał Sikora w towarzystwie dowódcy 3 Wrocławskiej Brygady Radiotechnicznej płk. Marka Sobiechowskiego. Tematem spotkania była organizacja przyszłorocznego święta Wojsk Radiotechnicznych (w 60 rocznicę ich powstania) oraz omówienie współpracy 3 WBRt z Muzeum Karkonoskim.

W spotkaniu z naszymi gośćmi uczestniczyła pani dyrektor Muzeum Karkonoskiego Gabriela Zawila oraz członkowie Radaru: Bronisław Peikert, Janusz Górecki i Franciszek Mroczo.

## 24 października

Odbyły się „III Zawody Strzeleckie o Puchar Generała”. W zawodach wystąpiło 13 drużyn - reprezentacji instytucji, stowarzyszeń, wyższych uczelni oraz firm, z którymi współpracujemy.



*Strzelnica Karkonoskiego Klubu Sportowego „Polonia” - była strzelnica pistoletowa CSR (za blokiem nr 3)*

Główne trofeum – puchar ufundowany przez gen. Bronisława Peikerta, zdobył zespół Karkonoskiego Klubu Sportowego „Polonia” - Jelenia Góra w składzie: Paweł Wiśniewski, Artur Kowalczyk, Krystian Mehlich.



*Zdobywcy „Pucharu Generała” – reprezentacja KKS „Polonia” - Jelenia Góra*



*Od lewej: Janusz Górecki, poseł Marcin Zawila, Kazimierz Kopaniarz, Paweł Wiśniewski, Jerzy Pawlak, dyrektor Muzeum Karkonoskiego Gabriela Zawila, generał Bronisław Peikert – fundator „Pucharu”*

W klasyfikacji indywidualnej zwyciężył Kazimierz Kopaniarz reprezentujący Związek Żołnierzy WP – Jelenia Góra. Trzech najlepszych zawodników oraz trzy najlepsze drużyny nagrodzono pucharami, medalami oraz nagrodami rzeczowymi.



*Kazimierz Kopaniarz – najlepszy strzelec zawodów*



*Reprezentacja 23 Śląskiej Brygady Artylerii – Bolesławiec – zdobywcy 2 miejsca.*



*Reprezentacja „Radaru” - 3 miejsce. Od lewej: Jerzy Pawlak, Marek Tolkacz, Jerzy Pienkos.*



*Reprezentacja Związku Żołnierzy WP – Jelenia Góra.*

*Od lewej: Edward Basałygo, Kazimierz Kopaniarz, Henryk Erentraut.*

Dobrym strzelcem okazał się (strzelając poza konkursem) członek Sejmowej Komisji Obrony Narodowej - poseł Marcin Zawia.

Sędzią głównym zawodów był płk rez. Franciszek Michalik, natomiast kierownikiem strzelania Jacek Wodnik z KKS „Polonia”. Zawody zakończyła wspólna żołnierska biesiada.

## **5 listopada**

W forum organizacji pozarządowych służb mundurowych, zorganizowanym w Warszawie przez Departament Wychowania i Promocji Obronności WP uczestniczył kol. Jan Ginowicz.

## **7 grudnia**

Na comiesięcznym zebraniu członków Stowarzyszenia gościliśmy weterana polskiego lotnictwa p. Leszka Gańskiego oraz miłośnika modelarstwa i sterowców ppłk. rez. Eugeniusza Gronostaja.

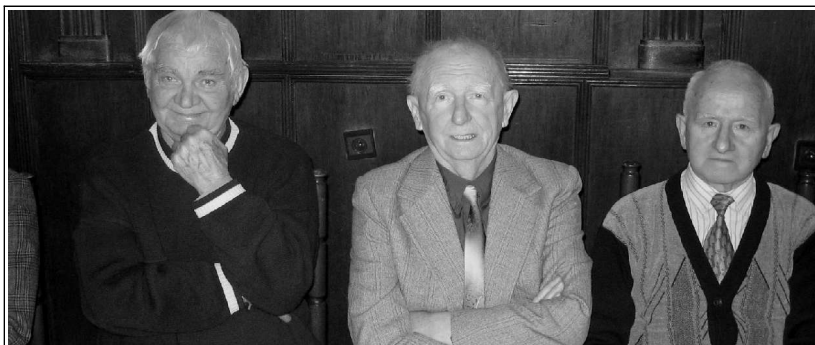
Nasi goście ze swadą opowiedzieli o swojej pasji życiowej, prezentując przy tym ciekawy pokaz multimedialny związany z historią polskiego i światowego lotnictwa.



*Leszek Gański, Eugeniusz Gronostaj – 7 grudnia 2009 r. - radarowe spotkanie z miłośnikami sterowców*

## 18 grudnia

W tym dniu zebraliśmy się na corocznym „Spotkaniu Oplątkowym”. Po podzieleniu się oplątkiem, złożeniu życzeń oraz wysłuchaniu kolęd, odbyła się prezentacja filmu z Radarowego Pikniku Militarynego przeprowadzonego 16 maja br., w dniu święta Stowarzyszenia. Osoby biorące udział w zorganizowaniu pikniku, otrzymały pamiątkowe dyplomy i płytę z filmem.



*Józef Wala – Kazimierz Stachowicz – Władysław Cetera.*



*Marian Klasiński – Władysław Stasienko*

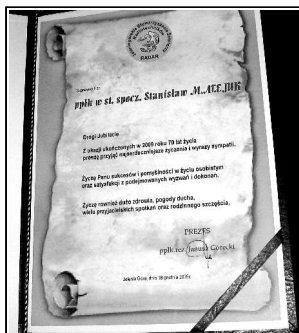


*Jan Jagielski – Tadeusz Lewandowski – Janusz Boratyński*



*Bolesław Błażków*

Dyplomy z życzeniami otrzymali jubilaci, którzy w 2009 roku ukończyli 60 lub 70 lat życia.



*Jubilaci: od prawej: Zbigniew Deręgowski, Stanisław Matejuk, Henryk Dąbkiewicz,*

Wspólne śpiewanie kołęd, zakończyło to wyjątkowe spotkanie zorganizowane w Jeleniogórskim Centrum Kultury przy ul. 1 Maja.



## Wojska Radiotechniczne w Wojskach Lotniczych

Wojska Radiotechniczne są pasywnym rodzajem wojsk i powstały z potrzeby zabezpieczenia innych rodzajów wojsk, szczególnie lotnictwa.

W 1948 roku powstała w Wojskach Lotniczych pierwsza w WP jednostka radiotechniczna – Kompania Radarowa, która już wiosną 1950 roku w Modlinie zabezpieczała naprowadzanie lotnictwa myśliwskiego na cele powietrzne. W kolejnych latach powstawały następne kompanie, bataliony, pułki i brygady radiotechniczne. Stacje radiolokacyjne były i są aktualnie we wszystkich rodzajach wojsk.

Obecne Wojska Radiotechniczne Sił Powietrznych wywodzą się z trzech rodzajów wojsk: Wojsk Radiotechnicznych Wojsk Lotniczych (13., 19., 25. i 26. brt, RLP pułków lotniczych i CDB), Wojsk Radiotechnicznych Wojsk OPL (5. prt, 10., 24. i 34. brt) i Wojsk Radiotechnicznych Wojsk OPK (1., 2. i 3. BRt).

W historii Wojska Polskiego wojska radiotechniczne nie mają tradycji wojennych ani swojego odpowiednika w przeszłości. Ich rozwój organizacyjny i techniczny w całości przypada na lata powojenne po czasy współczesne<sup>1</sup>. Historia Wojsk Radiotechnicznych w Polsce jest tematem trudnym do opisanie. Radiolokacyjne stacje były i są obecnie we wszystkich rodzajach sił zbrojnych, a wzajemne przenikanie się jednostek, liczne fuzje i podziały komplikują stworzenie jednolitego opracowania na ten temat. Jednym z najmniej znanych obszarów jest funkcjonowanie Wojsk Radiotechnicznych w Wojskach Lotniczych. Nie pojawiły się dotąd żadne opracowania, które ujmowałyby syntetycznie historię Wojsk Radiotechnicznych w Wojskach Lotniczych.

Niniejszy materiał jest próbą przedstawienia tego, tak ważnego rodzaju wojsk jakim były dla lotnictwa Wojska Radiotechniczne.

Na podstawie rozkazu MON nr 188/Org. 02.11.1948 r., w składzie Wojsk Lotniczych w Modlinie – Nowym Dworze Mazowieckim, sformowano Kompanię Radarową zgodnie z etatem nr 6/82, która w 1951 roku zmieniła nazwę na 6. Kompanię Radarową (podstawą zmiany nazwy było zarządzenie nr 0253/Org. z 19.09.1951 r.). Była to pierwsza jednostka radiotechniczna w Wojsku Polskim.

Powstanie Kompanii Radarowej dało początek Wojskom Radiotechnicznym w Wojsku Polskim. Zgodnie z tradycją dzień powstania tej Kompanii powinien być Świętem Wojsk Radiotechnicznych w Siłach Zbrojnych RP. Kompania otrzymała z ZSRR po jednym amerykańskim radarze kontroli przestrzeni powietrznej AN/TPS-3 oraz artyleryjskim SCR-527 i SCR-584.

Wiosną 1950 r. kompania ta w Modlinie, po raz pierwszy zabezpieczała naprowadzanie lotnictwa myśliwskiego na cele powietrzne, ale przede wszystkim była ona wykorzystywana do szkolenia specjalistów radiotechników.

<sup>1</sup> A. Stachula, Wyższa Oficerska Szkoła Radiotechniczna 1952 – 1992, Jelenia Góra 1992, s. 7.

W 1951 roku 6. samodzielna kompania radarowa przenosi się do Radiowa k. Warszawy (Warszawa – Babice), a następnie przekazuje posiadane wyposażenie, tworzonej w Beniaminowie k. Warszawy, Oficerskiej Szkole Radiotechnicznej<sup>2</sup> (w 1955 r. Szkołę przeniesiono do Jeleniej Góry). W zamian kompania otrzymuje po jednym radzieckim radarze kontroli przestrzeni powietrznej P-3A i P-20 i w dalszym ciągu zajmuje się szkoleniem specjalistów radiotechników.

Zgodnie z zarządzeniem Szefa Sztabu Generalnego WP nr 0277/Org. z 7 sierpnia 1953 roku zostały sformowane Węzły Radiotechniczne (etat nr 6/191) i podporządkowane pod 5. DLM w Warszawie – Babicach, 6. DLM we Wrocławiu - Strachowicach<sup>3</sup>, 7. DLM w Krakowie – Łęgu<sup>4</sup>, 9. DLM w Malborku<sup>5</sup>, 10. DLM w Słupsku i 11. DLM w Świdwinie<sup>6</sup>. Miały one zapewniać dywizji i podległym pułkom informację o sytuacji powietrznej w rejonie szkolenia i w rejonie działań bojowych prowadzonych przez dywizję. W skład Węzłów Radiotechnicznych wchodziły RST (radiolokacyjne stacje)<sup>7</sup>.

Zarządzeniem Szefa Sztabu Generalnego WP nr 102/Org. z 02.04.1952 roku w Malborku, na ul. 17 Marca bl. nr 13, powstała 11. Kompania Radiotechniczna, Jednostka Wojskowa nr 5208 (nr etatu 6/167), którą zarządzeniem szefa Sztabu Generalnego WP nr 0277/Org. z 07.08.1953 roku przeniesiono do Warszawy – Okęcia na ul. Powstańców.

W latach 1952 - 1955 Zarządzeniem szefa Sztabu Generalnego WP na lotniskach w Warszawie, Słupsku, Pruszczu Gdańskim, Malborku, Mierzęcicach, Modlinie, Świdwinie, Poznaniu–Krzesinach, Wrocławiu–Strachowicach, Bydgoszczy, Sochaczewie, Łęczycy, Babimoście, Orniecie, Zegrzu Pomorskim, Debrznie, Modlinie, Goleniowie, Nowym Mieście nad Pilicą, Łasku, Balicach koło Krakowa i Mińsku Mazowieckim powstały ruchome dywizyjony zabezpieczenia ślepego lądowania, które włączono w skład batalionów lotniczo – technicznych. Dywizyjony zabezpieczenia ślepego lądowania miały zapewniać bezpieczne warunki lądowania samolotom siadającym w nocy lub podczas niesprzyjających warunków atmosferycznych. Dywizyjony te w 1957 roku zostały rozformowane.

Zarządzeniem Szefa Sztabu Generalnego WP nr 0304/Org. z 28 grudnia 1955 roku, dowódca Wojsk Lotniczych i Obrony Przeciwlotniczej Kraju otrzymał zadanie sformować do 01.04.1956 roku, na bazie Węzłów Radiotechnicznych 5, 6, 7, 9, 10 i 11. Dywizji Lotnictwa Myśliwskiego istniejących według etatu nr 6/191, 13. kompanię radiotechniczną dla 9. Dywizji Lotnictwa Myśliwskiego z Malborka, według etatu nr 6/248 o stanie osobowym 175 wojskowych i 19. kompanię radiotechniczną dla 11. Dywizji Lotnictwa Myśliwskiego ze Świdwina, według etatu

---

<sup>2</sup> Oficerska Szkoła Radiotechniczna (JW 5863) rozkazem MON nr 0044/Org. z 24.08.1955 r. została przeniesiona z Beniaminowa k. Warszawy do Jeleniej Góry i tam przejęła budynki po OSP nr 2 przy ul. Podchorążych, zarządzeniem nr 071/Org. z 09.10.1969 roku zostaje przemianowana w Wyższą Oficerską Szkołę Radiotechniczną im. kpt. Sylwestra Bartosika. Natomiast Zarządzeniem nr 017/Org. z 25.03.1972 roku WOSR zostaje przekazana z Wojsk Lotniczych do Wojsk OPK. KD JW. WLOP nr 2, s. 196.

<sup>3</sup> Księga dyslokacji Jednostek Wojskowych WLOP nr 1, s.40.

<sup>4</sup> Ibidem, s.40.

<sup>5</sup> Ibidem, s.155.

<sup>6</sup> Ibidem, s.156.

<sup>7</sup> Relacja ppłk. Feliksa Schmeltera - byłego technika stacji P-35M z 603. RLP z Drwęczna koło Ornety.

nr 6/248 o stanie osobowym 175 wojskowych<sup>8</sup>. 13. i 19. kompanie radiotechniczne sformowano w marcu 1956 roku, a zadaniem ich było zabezpieczanie dywizji w informacji o sytuacji powietrznej w rejonie działań bojowych lub w rejonie stacjonowania dywizji. 13. kompanii radiotechnicznej (krt) podlegał 602. Radiolokacyjny Posterunek (RLP) z Malborka - Królewa i 603. RLP z Drwęczna koło Ornety. 603. RLP był przeznaczony do zabezpieczenia lotów 29. plm, natomiast 602. RLP zabezpieczał loty 9. DLM i 41. plm<sup>9</sup>. 19. kompanii radiotechnicznej podlegał 605 RLP ze Świdwina, który zabezpieczał loty i działania bojowe 11. DLM ( od 1967 roku 3. BDLM) i 40. plm oraz 604 RLP z Goleniowa, który zabezpieczał loty i działania bojowe 4. plm (od 1967 roku 2. plm „Kraków”).

Posterunki radiolokacyjne wyposażone były w stacje radiolokacyjne typu P-8, P-10, P-20, P-25, P-35M, wysokościomierze PRW-11 oraz radiolinie RL-30. Stacje radiolokacyjne zaczęto wyposażać w systemy rozpoznania samolotów „swój – obcy.”Umieszczenie ich na nasypach zwiększało możliwości wykrycia obiektów powietrznych.

Zarządzeniem szefa Sztabu Generalnego WP nr 096/Org. z dnia 01.12.1960 roku w Bydgoszczy na ul. Szubińskiej 6 powstała 20. kompania radiotechniczna (etat nr 6/370), którą podporządkowano pod 8.DLMSz<sup>10</sup> i w Pile na ul. Lotniczej, 21. kompania radiotechniczna (nr etatu 6/370), którą podporządkowano pod 16. DLMSz<sup>11</sup> (później podlegała pod LO i pod 2. BDLMsz). 21. krt podlegały 606 RLP w Pile, 608 RLP w Mirosławcu. 601 RLP od 1960 do 1963 roku podlegał pod 20. krt w Bydgoszczy.

Zarządzeniem Szefa Sztabu Generalnego WP nr 094/Org. z dnia 01.07.1963 roku 20. krt została rozformowana, a zarządzeniem szefa Sztabu Generalnego WP nr 0121/Org z 06.03.1971 roku została rozformowana 21. krt.

Zarządzeniem Szefa Sztabu Generalnego WP nr 0133/Org. z 22.12.1965 roku na lotniskach w pułkach lotniczych powstały dywizyjny dowodzenia lotami (ddl)<sup>12</sup>.

W skład dywizjonu dowodzenia lotami, oprócz zespołu zabezpieczenia kierowania lotami, kompanii łączności i kompanii ubezpieczenia lotów, weszły także, od 1971 roku, radiolokacyjne posterunki nazywane także posterunkami radiotechnicznymi (PRT)<sup>13</sup>. Wcześniej takie dywizyjony powstały w Powidzu (RLP w Powidzu powstał w 1969 roku i podlegał pod WL) i Radomiu w 1961 roku oraz w Sochaczewie i Modlinie w 1963 roku. Tylko w pułkach lotnictwa myśliwskiego w składzie ddl RLP nie było. RLP powstałe w ddl podległych bezpośrednio dowództwu Wojsk Lotniczych, 2. i 3. DLSzR oraz WOSL zostały rozlokowane na nasypach na lotniskach. Jednak w połowie lat 70- tych większość z nich została przemieszczona i rozwinięta na umocnionych pozycjach wybudowanych poza lotniskiem. W latach 1972 - 1975 RLP 6. plmb przeniesiono do miejscowości Stara

<sup>8</sup> Sygn. Arch. CAW 1545/73/64, s. 106 i 107.

<sup>9</sup> H. Czyżyk, Dzieje 4. Pomorskiej Dywizji Lotnictwa Myśliwskiego, Warszawa 2007, s. 58.

<sup>10</sup> Księga dyslokacji Jednostek Wojskowych WLOP nr 1, s.40.

<sup>11</sup> Ibidem, s. 157.

<sup>12</sup> Ibidem, s. 95 do 107.

<sup>13</sup> W dywizjonach dowodzenia lotami oraz w batalionach łączności i ubezpieczenia lotów używano nazwy posterunek radiotechniczny (PRT), natomiast nazwy radiolokacyjny posterunek (RLP) używano w przypadku rozwinięcia sprzętu na pozycjach bojowych.

Łubianka, RLP 8. plmb do miejscowości Żeńsko, RLP 40. plmb do miejscowości Sławka, RLP 3. plmb do miejscowości Wojnowo. W 1985 roku RLP 58. lpszb przeniesiono do Klikawy, a RLP 61. lpszb do Roskoszy i rozwinięto na wspólnej pozycji ze 144. krt z 1. BRt WOPK. W 7. plbr w Powidzu, 32. plrt w Sochaczewie, 38. lpszb w Modlinie, 60. lpszb w Radomiu i 88. lpszb w Tomaszowie Mazowieckim RLP rozwinięte były na nasytach w wydzielonym i odpowiednio przygotowanym miejscu na lotnisku<sup>14</sup>. Zarządzeniem Szefa Sztabu Generalnego WP nr Z-067/Org. z 22.12.1978 roku z dywizjonów dowodzenia lotami utworzono bataliony łączności i ubezpieczenia lotów (bł i ul.), w składzie, których nadal funkcjonowały obok kompanii łączności i kompanii ubezpieczenia lotów – RLP (PRT). W bojowych pułkach lotniczych (plmb, plmsz, plrt, lpszb), z wyjątkiem plm, w etacie bł i ul. były posterunki radiotechniczne (PRT). W ich składzie znajdowały się: dwie radiolokacyjne stacje wykrywania i naprowadzania (RSWN), dwie radiolokacyjne stacje pomiaru wysokości (RSPW), radiolinia do przekazywania radiolokacyjnego zobrazowania sytuacji powietrznej (RL-30), ruchomy punkt dowodzenia i naprowadzania (RPDN), które organizowały posterunki radiolokacyjne (RLP) w każdym rzucie naziemnego zabezpieczenia pułku lotniczego. Pułk lotniczy z własnych sił i środków wydelał dwa rzuty naziemnego zabezpieczenia (I i II r.n.z.), rzut bojowy i rzut powietrzny. W etacie posterunku radiotechnicznego dwurzutowego, w zależności od wyposażenia, było 39 żołnierzy, z tego 4 oficerów (dowódca posterunku, dwóch dowódców RSWN i jeden inżynier RLS), 4 chorążych (dwóch dowódców RSPW, technik RLS i dowódca RL-30), 7 podoficerów zawodowych (czterech st. operatorów, dwóch st. kierowców – st. elektromechaników i szef pododdziału) i 24 żołnierzy zasadniczej służby wojskowej (trzynastu operatorów, czterech elektromechaników i siedmiu kierowców – elektromechaników).

W pułkach szkolnych (lpszb) w etacie bł i ul. były jednorzutowe posterunki radiotechniczne w składzie: jedna RSWN, jedna RSPW, RL -30 i RPDN. W etacie posterunku jednorzutowego w WOSL, w zależności od wyposażenia, było 19 żołnierzy, z tego 3 oficerów, 2 chorążych, 3 podoficerów zawodowych i 11 żołnierzy zasadniczej służby wojskowej. Wymieniony sprzęt wykorzystywano do tworzenia pułkowych punktów naprowadzania (PPN) i zabezpieczenia pracy starszego nawigatora naprowadzania w pomieszczeniach kontroli radiolokacyjnej, wspólnie ze sprzętem ubezpieczenia lotów (RSL, RSBN, ARP), który realizował zabezpieczenie działań lotnictwa w dalszej strefie odpowiedzialności lotniska<sup>15</sup>.

Pod koniec lat 80-tych i w latach 90-tych Wojska Radiotechniczne byłych Wojsk Lotniczych poddane zostały permanentnej restrukturyzacji i likwidacji, a zabezpieczenie radiolokacyjne lotnictwa przejmowały WRT z byłych WOPK. W 1993 roku RLP na lotnisku w Powidzu został rozformowany, a zabezpieczenie radiolokacyjne 7. plbr przejęła 312. krt z Ruchocinka. Rozkazem szefa Sztabu Generalnego nr 083/Org. z 09.08.1999 roku zlikwidowano bł i ul., a wraz z nimi RLP.

W 1968 roku z dywizyjnych kompanii radiotechnicznych utworzono bataliony radiotechniczne, dysponujące szerszymi możliwościami i większą ilością

<sup>14</sup> Relacja ppłk. mgr. inż. Bolesława Persa – byłego szefa Wydziału Współdziałania 4. Korpusu Lotniczego.

<sup>15</sup> Relacja płk. mgr. inż. Jerzego Kawuli – byłego szefa Wydziału Radiotechnicznego Wojsk Lotniczych.

nowoczesnego sprzętu, Zarządzeniem Szefa Sztabu Generalnego WP nr 01/Org. z 2. stycznia 1968 roku. W czerwcu tego roku, na bazie istniejącej przy 4. PDLM 13. kompanii radiotechnicznej (etat nr 6/374), powstał w Malborku 13. batalion radiotechniczny (brt), Jednostka Wojskowa nr 3739 (etat nr 6/498). Pierwszym jego dowódcą był mjr Marian Wójcik. (Wykaz kierowniczej kadry WRT Wojsk Lotniczych przedstawia załącznik nr 3.). W skład 13. brt weszły: 602. Zautomatyzowane Centrum Radiolokacyjnego Rozpoznania i Dowodzenia (ZCRRD) w Malborku, którego dowódcą został kpt. Michał Barylak, oraz 603. Zautomatyzowane Centrum Radiolokacyjnego Rozpoznania i Dowodzenia w Ornece, którego dowódcą został kpt. Zdzisław Bednarek. W październiku 1968 roku 603. ZCRRD zostało przemieszczone z Ornety do Debrzna i rozmieszczone w zachodniej części lotniska.

Tym samym zarządzeniem nr 01/Org. z 02.01.1968 r. na bazie istniejącej przy 3. BDLM 19. krt (etat nr 6/374) o stanie etatowym 181 żołnierzy i 2 pracowników cywilnych, powstał w Świdwinie (1 km na wschód od Świdwina) bliźniaczy 19. brt, Jednostka Wojskowa nr 3754 (etat nr 6/498) o stanie osobowym 348 żołnierzy i 2 pracowników wojska. Pierwszym dowódcą 19. brt został kpt. Stanisław Nowak, a szefem sztabu – zastępcą dowódcy batalionu kpt. Eugeniusz Milczarek<sup>16</sup>. W skład 19. brt weszły: 605. Zautomatyzowane Centrum Radiolokacyjnego Rozpoznania i Dowodzenia (ZCRRD) w Świdwinie, którego dowódcą był kpt. Leon Swatkowski i 604 Zautomatyzowane Centrum Radiolokacyjnego Rozpoznania i Dowodzenia w Goleniowie, którego dowódcą był kpt. Tadeusz Walicki. 604. ZCRRD zabezpieczało działania bojowe i szkolenie lotnicze 2. plm „Kraków”, natomiast 19. brt i 605. ZCRRD zabezpieczało działania bojowe i szkolenie lotnicze 3. BDLM i 40. plm<sup>17</sup>. Głównym zadaniem 13. i 19. brt, od chwili ich powstania, było radiolokacyjne zabezpieczenie działań bojowych i procesu szkolenia lotniczego 3. i 4. DLM oraz właściwa eksploatacja przydzielonego sprzętu.

Zarządzeniem szefa Sztabu Generalnego WP nr 012/Org. z dnia 06.03.1971 roku, w dniach od 10 do 15 marca 1971 roku, 19. brt został przeformowany z etatu nr 20/090 na etat nr 20/104 o stanie osobowym 227 wojskowych i 2 pracowników cywilnych<sup>18</sup> oraz przemieszczony na lotnisko w Goleniowie i podporządkowany pod 2. plm „Kraków”, który podlegał 4. PDLM z Malborka. W 1974 roku batalion został przeniesiony z lotniska na umocniony RLP do miejscowości Marszewo, leżącej 2 km na wschód od Goleniowa. W Marszewie batalion został rozlokowany w nowo wybudowanym bunkrze, a stacje radiolokacyjne rozmieszczone na nasypach. 19. brt podlegał kolejno: 3. BDLM ze Świdwina (1968 – 1971), 2. plm „Kraków” z Goleniowa (1971 – 1990), 2. KOP z Bydgoszczy (1991 – 1992), 2. BRt – z Bydgoszczy (1992 – 1995). Zarządzeniem szefa Sztabu Generalnego WP nr 079/Org. z dnia 05.12.1994 roku na bazie 19. brt (ostatni etat 19. brt nr 20/104) sformowano manewrowy batalion radiotechniczny i włączono go w skład 1. BRt.

Tym samym zarządzeniem nr 012/Org z 06.03.1971 roku sformowano od nowa, na bazie Zautomatyzowanych Centrów Radiolokacyjnego Rozpoznania i Dowodzenia, jeszcze dwa bliźniacze bataliony: 25. batalion radiotechniczny (plm), Jednostka Wojskowa nr 3583, numer etatu 20/104 o stanie osobowym 227

<sup>16</sup> Cz. Mikrut, H. Czyżyk, Materiały do historii 2. Pułku Lotniczego „Kraków” w latach 1944 – 1994, „Przegląd Historyczno – Wojskowy” 2003, nr 4, s. 132.

<sup>17</sup> H. Czyżyk, 2. Pułk Lotnictwa Myśliwskiego „Kraków”, Warszawa 2008, s. 166 i 176.

<sup>18</sup> Sygn. Arch. CAW 1788/90/1, s. 277 i załącznik nr 1.

wojskowych i 2 pracowników cywilnych, który podporządkowano pod 9. plm z Debrzna, a w 1984 roku przemieszczono z lotniska na nowo wybudowany, umocniony RLP w Myśligrzyszczy (7 km na wschód od Debrzna) oraz 26. batalion radiotechniczny (plm), Jednostka Wojskowa nr 3591, numer etatu 20/104 o stanie osobowym 227 wojskowych i 2 pracowników cywilnych i podporządkowano pod 41. plm z Malborka. Batalion ten w 1984 roku został przeniesiony z lotniska na nowo wybudowany, umocniony RLP w Lasowicach Wielkich, a stacje radiolokacyjne umieszczono na nasypach.

Zarządzeniem szefa Sztabu Generalnego WP nr 014/Org. z dnia 6 marca 1978 roku, w Malborku powstało CDB LM AL. (WLF), Jednostka Wojskowa nr 2634 (nr etatu 20/142), którego dowódcą został płk dypl. pil. Aleksander Zakrzewski, a w Świdwinie 1. Centrum Dowodzenia Bojowego Armii Lotniczej (WLF), Jednostka Wojskowa nr 2650 (nr etatu 20/143), którego dowódcą został płk dypl. pil. Zygmunt Wojciechowski<sup>19</sup>, natomiast w Pile 2. Centrum Dowodzenia Bojowego Armii Lotniczej (WLF), Jednostka Wojskowa nr 2677 (nr etatu 20/144), którego dowódcą został płk dypl. Marian Lacroix. Centrum Dowodzenia Bojowego Lotnictwem Myśliwskim Armii Lotniczej (WLF) z Malborka było przeznaczone do dowodzenia siłami lotnictwa myśliwskiego wydzielonymi do działań w systemie obrony przeciwlotniczej frontu i składało się z zespołu planowania i współdziałania, zespołu dowodzenia, z kompanii łączności i radiotechnicznego ubezpieczenia lotów.

W etacie każdej kompanii łączności i RUL, wchodzącej w skład CDB, było pięć zestawów RLP (PNWC). Piąty RLP (PNWC) przewidziany był na czas „W”. W składzie każdego RLP znajdowała się jedna RSWN i jedna RSPW, oraz etatowo 35 żołnierzy, w tym 5 oficerów, 5 chorążych, 10 podoficerów zawodowych i 15 żołnierzy zasadniczej służby wojskowej<sup>20</sup>. Faktycznie sprzętu było mniej i wydzielano mniej RLP. Kompania łączności i radiotechnicznego ubezpieczenia lotów z Malborka składała się z czterech radiolokacyjnych posterunków, na bazie, których organizowano cztery Punkty Naprowadzania i Wskazywania Celów (PNWC). W skład każdego RLP wchodziła stacja radiolokacyjna P-40 A1 na podwoziu gąsienicowo- czołgowym, wysokościomierz PRW-16B oraz sprzęt łączności, radiostacja KF R-140 z „JACHTA” i radiostacja UKF R-831 przeznaczona do dowodzenia samolotami w powietrzu. W skład RLP wchodził również ciągnik „KRAZ” i przyczepa 24-osiowa, niskopodwoziowa do przewozu stacji radiolokacyjnej P-40 A1, a także warsztat Bsam-1 i autobus sztabowy. Kompania ta od maja 1986 roku do czerwca 1987 roku pod względem radiotechnicznym zabezpieczała także proces szkolenia lotniczego 4. PDLM i 41. plm. Została rozwiązana wraz z CDB LM WLF 87 1971 dnia 1 września 1988 roku<sup>21</sup>.

Centrum Dowodzenia Bojowego Armii Lotniczej (WLF) było przeznaczone do dowodzenia siłami wydzielonymi z LMB, LMSz, LRT i LWL działającymi na korzyść armii ogólnowojskowych oraz do organizowania i realizowania współdziałania z innymi rodzajami armii. W składzie Armii Lotniczej (WLF)

<sup>19</sup> H. Czyżyk, Dzieje Wojskowego Koła Łowieckiego nr 43 „CYRANKA” w Świdwinie, Warszawa 2007, s. 79.

<sup>20</sup> Relacja ppłk. mgr. inż. Bolesława Persa – byłego szefa Wydziału Współdziałania 4. Korpusu Lotniczego.

<sup>21</sup> Relacja płk. Mirosława Apolinarka, byłego dowódcy PNWC nr 2 z CDB LM AL. (WLF) z Malborka.

funkcjonowały dwa takie centra: 1. CDB AL (WLF), powstałe w Świdwinie, miało zabezpieczać działania lotnictwa w pasie armii wydzielanej z Pomorskiego Okręgu Wojskowego i 2. CDB AL (WLF), powstałe w Pile, miało zabezpieczać działania w pasie armii wydzielanej ze Śląskiego Okręgu Wojskowego.

Pierwsze CDB AL (WLF) składało się z zespołu dowodzenia, zespołu planowania i współdziałania, 5 Grup Dowodzenia Bojowego (GDB), kompanii łączności i radiotechnicznego ubezpieczenia lotów. W skład kompanii łączności i radiotechnicznego ubezpieczenia lotów wchodziły: cztery RLP, z których tworzono cztery PNWC, pluton radiowy, pluton telefoniczno – telegraficzny, PRN oraz miejscowy RLP. Ponadto w strukturze CDB występował pluton zaopatrzenia i drużyna remontowa. W skład każdego PNWC wchodziła stacja P-40 A1, PRW-16B, R-831, R-140 z „JACHTA” (wcześniej R-137). W skład PRN wchodziła: radiolatarnia PAR-8ss, radionamiernik ARP-6, latarnia lotniskowa KNS-1PM, R-831, R-137 i drużyna gospodarcza. W 1994 roku jedną P-40 A1 i PRW-16B wybrakowano i na wyposażeniu zostały tylko cztery P-40 A1 i cztery PRW-16B<sup>22</sup>. Na wyposażeniu kompanii łączności i radiotechnicznego ubezpieczenia lotów znajdowały się także: dwie radiolinie RL-30 „Faza”, dwa SD „HEBRON” i warsztat KRAS-17RM. Od 1995 rozpoczęto przekazywanie sprzętu radiotechnicznego do 7. Warsztatów Technicznych w Toruniu (obecnie 1. BMT), z których dwie stacje P-40 A1 i dwa wysokościomierze PRW-16B zostały przekazane na Litwę<sup>23</sup>. RLP w ramach treningów zabezpieczały również szkolenie lotnicze 3. DLMB i 40.plmb z miejscowości Sławka, gdzie były rozwijane.

Drugie CDB AL (WLF) składało się z zespołu planowania i współdziałania, zespołu dowodzenia, pięciu GDB, oraz kompanii łączności i radiotechnicznego ubezpieczenia lotów. W skład kompanii łączności i radiotechnicznego ubezpieczenia lotów wchodziły: trzy RLP, z których tworzono trzy PNWC, pluton radiowy, pluton telefoniczno – telegraficzny, PRN oraz miejscowy RLP. Ponadto w strukturze CDB występował pluton zaopatrzenia i drużyna remontowa. W skład każdego RLP (PNWC) wchodziły stacje: P-40 A1, PRW-16B, R-831 i R-137. W skład RLP wchodził również ciągnik „KRAZ” i przyczepa 24-osiowa, niskopodwoziowa do przewozu stacji radiolokacyjnej P-40A1, a także warsztat Bsam-1 i autobus sztabowy. W skład PRN wchodziła: BRL(PAR-8ss), radionamiernik ARP-6, latarnia lotniskowa KNS-1PM, R-831, R-137 i drużyna gospodarcza. W kompanii łączności i radiotechnicznego ubezpieczenia lotów znajdowały się: dwie radiolinie RL-30 „Faza”, dwa SD „HEBRON” i warsztat KRAS-17RM.). RLP w ramach treningów zabezpieczały również szkolenie lotnicze 2. DLMB i 6. plmb z miejscowości Stara Lubianka, gdzie były rozwijane<sup>24</sup>.

CDB podlegały pod Wojska Lotnicze od 1978 do 1990 roku, a następnie pod 4. Korpus Lotniczy od 1990 do 1998 roku. W 1995 roku zmieniły nazwę na Ośrodki Dowodzenia Lotnictwem i w 1998 roku zostały przekazane do Wojsk Lądowych, gdzie zostały rozformowane.

<sup>22</sup> Relacja płk. dypl. inż. Sławomira Adamskiego, byłego szefa zespołu planowania i współdziałania – zastępcy szefa 1. CDB WLF ze Świdwina.

<sup>23</sup> Relacja kpt. mgr. inż. Wiesława Włodarczyka, byłego dowódcy PNWC (RLP) z 1. CDB WLF ze Świdwina.

<sup>24</sup> Relacja gen. bryg. Jerzego Fryczyńskiego, byłego dowódcy PNWC z 2. CDB AL (WLF) z Piły.

Dodatkowo w pułkach lotniczych proces szkolenia lotniczego pod względem radiotechnicznym zabezpieczany był przez stacje kontroli rejonu lotniska (SKRL) „AVIA-W”. Stacje te zostały wybudowane w latach 80-tch i 90-tych na lotniskach, w Goleniowie (2. plm - 1985)<sup>25</sup>, Debrznie (9. plm - 1986), Mirosławcu (8. plmb - 1985), Świdwinie (40. plmb - 1985), Zegrzu Pomorskim (26. plm), Słupsku (28.plm), Szymanach, Bydgoszczy (3. plmb - 1991), Mińsku Mazowieckim (1. plm - 1985), Łasku (10. plm - 1989), Poznaniu - Krzesinach (3. plm - 1988), Powidzu (7. plbr - 1990), Dęblinie (WOSL - 1988), Darłowie (MW), Wrocławiu (11. plm), Cewicach (MW) i Babich Dołach (MW)<sup>26</sup>. Wraz z rozwiązaniem pułków lotniczych zostały także zlikwidowane stacje kontroli rejonu lotniska „AVIA-W” w Debrznie, Goleniowie, Szymanach, Wrocławiu, Słupsku i Zegrzu Pomorskim (Rosnowie). Aktualnie, na dzień 01.03.2009 roku, SKRL „AVIA-W” skutecznie zabezpieczają proces szkolenia lotniczego w Świdwinie, Mirosławcu, Poznaniu - Krzesinach, Łasku, Bydgoszczy, Powidzu, Dęblinie, Mińsku Mazowieckim, Darłowie (44. Baza Lotnicza MW), Babich Dołach (MW) i w Cewicach (MW).

Zadaniami pododdziałów radiotechnicznych Wojsk Lotniczych było terminowe wykrywanie i rozpoznawanie celów powietrznych, prowadzenie ciągłej obserwacji wykrytych celów powietrznych oraz samolotów własnych, zabezpieczenie punktów dowodzenia w informacji o celach powietrznych i samolotach własnych, niezbędne do oceny sytuacji i realizacji naprowadzeń, przekazywanie informacji o sytuacji powietrznej do odpowiednich stanowisk dowodzenia (dywizji i pułków lotniczych) i punktów dowodzenia lotnictwem.

Po kilku transformacjach pododdziały obserwacyjno – meldunkowe osiągnęły w końcowych latach funkcjonowania dywizji lotnictwa myśliwskiego strukturę batalionów radiotechnicznych skutecznie realizujących postawione zadania.

Latem 1968 roku, z ówczesnego Związku Radzieckiego, przybyły nowe stacje radiolokacyjne, radiostacje i zupełna nowość – zautomatyzowany sprzęt dowodzenia i naprowadzania.

Batalion radiotechniczny dywizji lotnictwa myśliwskiego Wojsk Lotniczych przeznaczony był do prowadzenia radiolokacyjnego rozpoznania celów (obiektów) powietrznych, kontroli lotów własnego lotnictwa i zabezpieczenia naprowadzania samolotów na rozpoznane cele powietrzne. Do jego zasadniczych zadań należało:

- terminowe wykrywanie i rozpoznawanie celów powietrznych;
- prowadzenie ciągłej obserwacji wykrytych celów oraz samolotów własnych;
- zabezpieczenie własnych punktów dowodzenia w informacji o celach powietrznych i samolotach własnych, niezbędne do oceny sytuacji powietrznej i realizacji naprowadzeń;

---

<sup>25</sup> Na przełomie stycznia i lutego 1985 roku komisja pod przewodnictwem kpt. dypl. inż. Henryka Czyżyka, szefa sztabu – zastępcy dowódcy 2. plm „Kraków” w Goleniowie, przyjechała do eksploatacji nowo wybudowaną SKRL „AVIĘ-W”. Jej pierwszym dowódcą został kpt. Jerzy Hyla. Stacja kontroli rejonu lotniska w Goleniowie weszła w skład 19. brt. Natomiast SKRL „AVIA-W” w plmb, plmsz, plrt, plbr i WOSL podlegały pod RLP (PRT).

<sup>26</sup> Relacja ppłk. mgr. inż. Bolesława Persa – byłego szefa Wydziału Współdziałania 4. Korpusu Lotniczego.



- przyjmowanie z podległych pułkowych posterunków radiolokacyjnych informacji o sytuacji powietrznej i przekazywanie ich do dywizyjnego stanowiska dowodzenia.

Zadania te batalion radiotechniczny realizował poprzez sieć posterunków (własnych i podległych pułków) rozwiniętych na pozycjach bojowych i wyposażonych w środki radiolokacyjne oraz środki automatyzacji dowodzenia i łączności.

Własne posterunki przeznaczone były do:

- wykrywania obiektów powietrznych,
- określania przynależności i charakterystyki wykrytych obiektów powietrznych,
- śledzenia obiektów powietrznych,
- przekazywania danych o wykrytych i śledzonych obiektach (celach i samolotach własnych) do bezpośrednio zabezpieczanego punktu dowodzenia lotnictwa (oraz do innych punktów w przypadku ich określenia w strukturze obiegu informacji),
- zabezpieczania zobrazowania radiolokacyjnej sytuacji powietrznej na stanowiska dowodzenia (naprowadzania) DLM,
- zapewnienia automatycznego zbierania informacji radiolokacyjnej z pułkowych posterunków oraz zbierania i zobrazowania komend i meldunków dowodzenia lotnictwem na SD DLM<sup>27</sup>.

Radiotechniczne zabezpieczenie działalności stanowisk dowodzenia i punktów naprowadzania 4. PDLM realizował 13. brt wchodzący w skład dywizji. Podlegał on szefowi sztabu – zastępcy dowódcy dywizji poprzez szefa Wydziału i RUL 4. PDLM. 13. brt składał się z dowództwa i sztabu oraz dwóch kompani radiotechnicznych. Ponadto miał w swojej strukturze służby techniczne wraz z ruchomym warsztatem radiolokacyjnym, drużynę remontu samochodów i drużynę transportowo – gospodarczą. W etacie batalionu były: cztery RSWN, cztery RSPW, dwa WP-03U, dwie radiolinie RL-30 i dwa RPDN do zabezpieczenia zobrazowania sytuacji powietrznej na SD DLM.

Każda kompania radiotechniczna miała za zadanie zorganizowanie posterunku radiolokacyjnego, wykorzystując do tego celu własne siły i środki. Dowódca kompanii pełnił w tym przypadku funkcję dowódcy posterunku radiolokacyjnego. Dwie kompanie batalionu mogły realizować radiotechniczne zabezpieczenie działalności dwóch dywizyjnych punktów naprowadzania (DPN). Strukturę organizacyjną 13. brt z 4. PDLM Wojsk Lotniczych przedstawia załącznik nr 1.

---

<sup>27</sup> H. Czyżyk, Dzieje 4. Pomorskiej Dywizji Lotnictwa Myśliwskiego, Warszawa 2007, s. 113.

**Tabela 1.1.**

**Stan osobowy 13. brt według etatu 20/103 w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych<sup>28</sup>**

Stan osobowy	Czas P	Czas W	Potrzeby mobilizacyjne
Oficerowie	20	25	4
Chorążowie	12	21	9
Podoficerowie zawodowi	24	32	10
Żołnierze służby zasadniczej	101	160	56
<b>Razem</b>	<b>157</b>	<b>238</b>	<b>89</b>

Batalion radiotechniczny dywizji lotnictwa myśliwskiego Wojsk Lotniczych był wyposażony w następujący podstawowy sprzęt radiotechniczny specjalistyczny:

- dwie radiolokacyjne stacje wykrywania i naprowadzania średniego zasięgu (typu: Jawor-M, Jawor-M2, P-35, RO-51, RO-51ML, RO-52, NUR-31);
- dwie radiolokacyjne stacje wykrywania celów nisko lecących (typu: P-15, RT-17);
- jedną radiolokacyjną stację wstępnego wykrywania, zakresu metrowego P-12;
- cztery stacje pomiaru wysokości (typu: PRW-9, PRW-11, PRW-13, PRW-16, RW-31, RW-32);
- dwie aparaty półautomatycznego zdejmowania i zbierania pierwotnej informacji radiolokacyjnej z podległych pułków (typu: WP-03U);
- dwa ruchome punkty dowodzenia i naprowadzania (typu: RPDN-1, RPDN-2);
- dwie radiolinie do przekazywania informacji na SD DLM (typu: RL-30-1, RL-30-1M, RL-30-2M);
- ruchome warsztaty sprzętu radiolokacyjnego (typu: KRAS-1R, RWEM, SKN, SKN-P, SKN-6W, PSL-2M);
- trzy do sześciu radiostacji KF do odbierania meldunków według siatki OPL na SD DLM z RLP plm (typu: R-118, R-140);
- od trzech do sześciu radiostacji KF do odbierania informacji radiolokacyjnej na SD DLM w systemie zautomatyzowanym z RLP plm (typu: R-127, R-137)<sup>29</sup>.

<sup>28</sup> Zesztyt byłego szefa sztabu 4. PDLM płk. R. Zakrzewskiego, RWD 10/5, s. 12.

<sup>29</sup> H. Czyżyk, Dzieje 4. Pomorskiej Dywizji Lotnictwa Myśliwskiego, Warszawa 2007, s. 114.

**Tabela 1.2****Podstawowe wyposażenie 13. brt w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych<sup>30</sup>**

Lp.	Rodzaj sprzętu	Ilość w sztukach	
		Czas P	Czas W
1	Stacja radiolokacyjna P-15	1	1
2	Stacja radiolokacyjna P-12	1	1
3	Stacja radiolokacyjna JAWOR-M	1	1
4	Radiolinia RL-30 na przyczepie	2	2
5	Radiostacja KF od 0,5 do 1 KW	1	5
6	Radiostacja UKF 0,1 KW na 2 samochodach	3	3
7	Stacja radiolokacyjna JAWOR-M2 na 3 samochodach i 5 przyczepach	1	1
8	Stacja radiolokacyjna pomiaru wysokości RW-31 NIDA na 3 samochodach i 2 przyczepach	1	1
9	Mikrobus	-	1
10	Ciągnik samochodowy ciężki	4	4
11	Samochód ciężarowy szosowy	4	6
12	Samochód osobowo-terenowy	1	1

Stacja radiolokacyjna P-35 zakresu centymetrowego, produkcji radzieckiej, przeznaczona była do wykrywania, rozpoznania oraz określania dwóch współrzędnych (odległość, azymut) obiektów powietrznych. Wykorzystywano ją do naprowadzania myśliwców na cele powietrzne. Stacja ta nie posiadała układów przeciwwzakłóceńowych. Miała 6 kanałów oraz system rozpoznania przynależności państwowej obiektów powietrznych oparty na urządzeniu NRZ-11. Posiadała wskaźnik obserwacji okrężnej, który miał cztery zakresy odległości: 50, 100, 200 i 400 km. Antena stacji miała dwa zakresy prędkości obrotów: 3 i 6 obr/min. Stacja mogła określać współrzędne z dokładnością  $\pm 500$  m., azymutu  $\pm 0,5^\circ$ . Miała rozróżnialność w odległości 500 m., w azymucie  $1^\circ$ . Mogła pracować w systemie sektorowym, dookrężnym i pierścieniowym.

Stacja radiolokacyjna P-37 była zmodernizowaną stacją P-35. Miała 5 kanałów, w miejsce szóstego wstawiono układy przeciwwzakłóceńowe do eliminowania zakłóceń aktywnych i pasywnych (SZARW, FILTR-N, TES, POLARYZACJA KOŁOWA). Dodatkowo stacja P-37 była wyposażona w układ pelengu (namierzania) źródeł zakłóceń radioelektronicznych oraz posiadała możliwość walki z samonaprowadzającymi się na źródło promieniowania pociskami

<sup>30</sup> Zeszyt byłego szefa sztabu 4. PDLM płk. dypl. Ryszarda Zakrzewskiego, RWD 10/5, s. 12.

przeciwradiolokacyjnymi – blok BU-1. Blok ten sterował reżimami pracy nadajnika własnego oraz nadajnikami sprzężonej ze stacją P-37 drugiej stacji radiolokacyjnej (np. P-18), pracującej synchronicznie na wspólny wskaźnik. Sześciuosobowa załoga mogła rozwinąć stację w ciągu 8 godzin.

**Tabela 1.3.**

**Zasięg wykrywania przez stację radiolokacyjną P-35 obiektów o skutecznej powierzchni odbicia równej 1m<sup>2</sup> (górną pułapę wykrywania – 18 km)**

Wysokość (H) w metrach	50	100	300	500	1000	5000	10 000	20 000
Odległość wykrycia (D) w km	-	-	40	50	80	150	180	-

Polska stacja radiolokacyjna Jawor-M2 – zakresu decymetrowego została wyprodukowana w dwóch wersjach: mobilnej i przewoźnej. Powstała również wersja eksportowa, różniącą się liczbą jednostek jezdnych, wymiarami anten, możliwościami bojowymi, zasięgami oraz czasem rozwijania i zwijania.

Przeznaczona była do wykrywania, śledzenia i rozpoznawania obiektów powietrznych oraz do radiolokacyjnego zabezpieczenia naprowadzeń samolotów myśliwskich na cele. Jawor-M2 była stacją dwukanałową (kanał A i B), pracującą z rozstawem częstotliwości, zbudowaną na trzech samochodach Tatra – 148VN. Miała układy przeciwzakłóceniami. Czas jej rozwijania i zwijania wynosił od 30 do 180 minut w zależności od wersji, pory doby i pory roku.

Antena tej stacji miała 3 zakresy prędkości obrotów: 3, 6 lub 9 obr./min. Stacja mogła określać współrzędne z dokładnością:  $\pm 600$ m. w odległości i  $\pm 1$  w azymucie. Miała rozróżnialność w odległości  $\pm 1500$  1990), 2. m., w azymucie  $\pm 2$ . 09). Mogła wykrywać obiekty w odległości 370 km przy pułapie wykrywania od 30 do 35 km w zależności od wersji.<sup>31</sup>

**Tabela 1.4.**

**Zasięg wykrywania przez stacje radiolokacyjne Jawor-M2M i Jawor-M2P obiektów powietrznych o skutecznej powierzchni odbicia równej 1m<sup>2</sup>**

Wysokość (H) w metrach		50	100	300	500	1000	5000	10 000	20 000
Odległość wykrycia (D) w km	Jawor - M2M	-	40	60	70	110	170	210	230
	Jawor - M2P	-	50	70	80	120	270	350	370

<sup>31</sup> H. Czyżyk. Dzieje 4. Pomorskiej Dywizji Lotnictwa Myśliwskiego. Warszawa 2007, s. 115.

Bataliony radiotechniczne pułków lotnictwa myśliwskiego Wojsk Lotniczych były przeznaczone do prowadzenia radiolokacyjnego rozpoznania celów (obiektów) powietrznych, kontroli lotów własnego lotnictwa i zabezpieczenia naprowadzania samolotów myśliwskich na rozpoznane cele powietrzne. Do zasadniczych zadań batalionów radiotechnicznych należało:

- terminowe wykrywanie i rozpoznawanie celów powietrznych,
- prowadzenie ciągłej obserwacji wykrytych celów powietrznych oraz samolotów własnych,
- zabezpieczenie własnych punktów dowodzenia w informacje o celach powietrznych i samolotach własnych, niezbędne do oceny sytuacji powietrznej i realizacji naprowadzeń,
- przekazywanie informacji o sytuacji powietrznej do dywizyjnego stanowiska dowodzenia.

Zadania te bataliony realizowały poprzez sieć posterunków radiolokacyjnych rozwiniętych na pozycjach bojowych, wyposażonych w środki radiolokacyjne oraz środki automatyzacji dowodzenia i łączności.

Posterunki radiolokacyjne w pułkach, podobnie jak w dywizji, przeznaczone były do:

- wykrywania obiektów powietrznych,
- określania przynależności i charakterystyk wykrytych obiektów powietrznych,
- śledzenia obiektów powietrznych,
- przekazywania danych o wykrytych obiektach (celach i samolotach własnych) do bezpośrednio zabezpieczanego punktu dowodzenia lotnictwa (oraz do innych punktów w przypadku ich określenia w strukturze obiegu informacji),
- zabezpieczenia zobrazowania radiolokacyjnej sytuacji powietrznej w punktach dowodzenia (naprowadzania) oraz na SD plm i DLM,
- zapewnienia półautomatycznego zbierania informacji i automatycznego przekazywania do dywizji zobrazowanych komend i meldunków dowodzenia lotnictwem oraz przyrządowego naprowadzania samolotów własnych na cele.

Batalion radiotechniczny znajdujący się w składzie pułku lotnictwa myśliwskiego Wojsk Lotniczych realizował radiotechniczne zabezpieczenie działalności stanowisk dowodzenia i punktów naprowadzeń pułku. Podlegał bezpośrednio szefowi sztabu – zastępcy dowódcy pułku lotnictwa myśliwskiego.

Batalion ten składał się z dowództwa i sztabu oraz dwóch kompanii radiotechnicznych. Ponadto miał w swojej strukturze służby techniczne wraz z ruchomym warsztatem radiolokacyjnym, drużynę remontu samochodów i drużynę transportowo – gospodarczą. W etacie batalionu były: cztery RSWN, sześć RSPW, dwa WP-02U, dwie WP-11, dwie radiolinie RL-30, dwa RPDN, ugrupowane

odpowiednio w kompanie. Strukturę organizacyjną brt pułku lotnictwa myśliwskiego Wojsk Lotniczych przedstawia załącznik nr 2.

Każda kompania radiotechniczna brt w plm, podobnie jak w DLM, miała za zadanie zorganizowanie, w oparciu o własne siły i środki, posterunku radiolokacyjnego. Dowódca kompanii radiotechnicznej pełnił wówczas funkcję dowódcy posterunku radiolokacyjnego. Dwie kompanie batalionu mogły realizować radiotechniczne zabezpieczenie działalności bojowej dwóch pułkowych punktów naprowadzania (PPN).<sup>32</sup>

**Tabela 1.5**

**Stan osobowy batalionu radiotechnicznego plm w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych według etatu 20/104<sup>33</sup>**

Stan osobowy	Czas P	Czas W	Potrzeby mobilizacyjne
Oficerowie	25	30	6
Chorążowie	22	26	5
Podoficerowie zawodowi	37	49	17
Żołnierze służby zasadniczej	146	208	65
<b>Razem</b>	<b>230</b>	<b>313</b>	<b>93</b>

Bataliony radiotechniczne pułków lotnictwa myśliwskiego Wojsk Lotniczych były wyposażone w następujący podstawowy sprzęt radiotechniczny i specjalistyczny:

- dwie radiolokacyjne stacje wykrywania i naprowadzania średniego zasięgu (typu: Jawor-M, Jawor-M2, P-35, P-37, RO-51, RO-51 ML, RO-52, NUR-31);
- dwie radiolokacyjne stacje wykrywania celów niskolejących (typu: P-15, RT-17);
- jedną radiolokacyjną stację wstępnego wykrywania, zakresu metrowego P-12;
- sześć stacji pomiaru wysokości (typu: PRW-9, PRW-11, PRW-13, PRW- 16, RW-31, RW-32);

<sup>32</sup> Tamże, s.116 - 117.

<sup>33</sup> Zeszyt byłego szefa sztabu płk. R. Zakrzewskiego, RWD, s. 14.

- dwie aparaty półautomatycznego zdejmowania i automatycznego przekazywania pierwotnej informacji radiolokacyjnej (typu WP-02U);
- dwie aparaty przyrządowego naprowadzania samolotów (typu WP-11);
- dwa ruchome punkty dowodzenia i naprowadzania (typu RPDN-1 i RPDN-2);
- dwie radiolinie do przekazywania informacji radiolokacyjnej na SD plm (typu: RL-30-1, RL-30-1M, RL-30-2M);
- ruchome warsztaty sprzętu radiolokacyjnego (typu KRAS-1R, RWEM, SKN, SKN-P, SKN-6W, PSL-2M);
- cztery radiostacje UKF do przekazywania telemetrycznych komend z aparaty przyrządowego naprowadzania na pokład samolotu (typu R- 824 LPM);
- cztery radiostacje KF do przekazywania meldunków według siatki OPL na SD DLM (typu R-118 i R-140);
- od trzech do sześciu radiostacji KF do przekazywania informacji radiolokacyjnej na SD DLM w systemie zautomatyzowanym (typu: R- 122, R-137, R-140).<sup>34</sup>

Zarządzeniem szefa Sztabu Generalnego WP nr 0110 z 21 września 1990 roku 13. brt został rozformowany (w terminie do 31.12. 1990 roku), natomiast 19., 25. i 26. brt ,wraz z pułkami, zostały przekazane do 2. KOP, a w 1992 roku zostały wydzielone z pułków i podporządkowane pod 2. BRt.

W 1995 roku wszystkie bataliony radiotechniczne ze składu 4. PDLM zostały rozformowane. Jedynie w miejscu bazowania 26. brt w Lasowicach Wielkich koło Malborka powstała 224. krt, która początkowo podlegała 22. brt w Chojnicach, później od stycznia 1998 roku – 21. brt we Władysławowie, a następnie od 1 stycznia 2001 roku – 8. brt w Lipowcu.

---

<sup>34</sup> H. Czyżyk. Dzieje 4. Pomorskiej Dywizji Lotnictwa Myśliwskiego. Warszawa 2007, s. 117.

**Tabela 1.6.**

**Podstawowe wyposażenie brt plm w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych<sup>35</sup>**

Lp.	Rodzaj sprzętu	Ilość w sztukach	
		Czas P	Czas W
1	Stacje radiolokacyjne	10	10
2	Radiostacje UKF	5	5
3	Radiostacje KF	2	3
4	Radiolinia RL-30 na przyczepach	2	2
5	Aparaty telefoniczne polowe	24	24
6	Ciągnik samochodowy ciężki	10	12
7	Samochód ciężarowy szosowy średniej ładowności	4	6
8	Samochód dostawczy	1	1
9	Samochód osobowo-terenowy	1	1
10	Autobus pracowniczy	1	1

W strukturach Lotnictwa Operacyjnego istniała Służba Naziemnego Dowodzenia, w skład, której wchodził Oddział Radiotechniczny, a w dowództwach dywizji lotniczych kompanie radiotechniczne i ruchome warsztaty radiolokacyjne. W pułkach lotniczych istniały wtedy jednopółożeniowe posterunki radiotechniczne w składzie: jeden radiolokacyjny odległościomierz, jeden radiolokacyjny wysokościomierz i radiolinia do przekazywania zobrazowania sytuacji powietrznej na SD pułku (do wieży portu lotniczego)<sup>36</sup>.

W okresie istnienia Wojsk Lotniczych powstaje Szefostwo Wojsk Łączności i RUL, a w dywizjach lotniczych i WOSL – Wydziały Łączności i RUL. W 4. PDLM powstają cztery bataliony radiotechniczne (13., 19., 25. i 26. brt), w 2. DLMB trzy RLP, w 6., 45. plmb i w 7. plbr, w 3. DLMB trzy RLP w 3., 8., i 40. plmb, w WOSL pięć RLP w 38., 60., 61., 66. lpsz i 58. lpsz, w CDB WLF 15 RLP oraz jeden RLP w 32. plrt.

W latach 1971 - 1990 nastąpił największy rozkwit radiolokacji w Wojskach Lotniczych. W tym czasie jednocześnie wykorzystywano:

- 53 radiolokacyjne odległościomierze;
- 59 radiolokacyjnych wysokościomierzy;
- 21 radiolinii do zobrazowania informacji radiolokacyjnej;

<sup>35</sup> Zeszyt byłego szefa sztabu płk. R. Zakrzewskiego, RWD, s. 14.

<sup>36</sup> Relacja płk. mgr. inż. nawig. Jerzego Kawuli – byłego szefa Wydziału Radiotechnicznego Wojsk Lotniczych.



- 21 ruchomych punktów dowodzenia i naprowadzania;
- 2 aparatury półautomatycznego zdejmowania i zbierania pierwotnej informacji radiolokacyjnej z podległych pułków WP-03U;
- 6 aparatów półautomatycznego zdejmowania i automatycznego przekazywania pierwotnej informacji radiolokacyjnej WP-02U;
- 6 aparatów przyrządowego naprowadzania samolotów WP-11;
- 10 ruchomych warsztatów radiolokacyjnych<sup>37</sup>.

**Tabela 1.7.**

**Stan sprzętu radiolokacyjnego w jednostkach Wojsk Lotniczych w latach 1971 – 1990.**

JW	Typ sprzętu								Uwagi
	RSWN	RSPW	RL	RPDN	WP-03U	WP-02U	WP-11	Warsztat	
4. PDLM	16	22	8	8	2	6	6	4	
2. DLMB	4	4	2	2				1	
3. DLMB	6	6	3	3				1	
WOSL	6	6	5	5				1	
32. plrt	2	2	1	1					
17. bł i UL	4	4	2	2					Powidz
CDB	15	15						3	wszystkie
<b>Razem w Wojskach Lotniczych</b>	<b>53</b>	<b>59</b>	<b>21</b>	<b>21</b>	<b>2</b>	<b>6</b>	<b>6</b>	<b>10</b>	

W tym czasie jednocześnie służyło w WRT Wojsk Lotniczych 1406 żołnierzy, w tym 177 oficerów, 137 chorążych, 248 podoficerów zawodowych i 844 żołnierzy służby zasadniczej.

Bataliony radiotechniczne i RLP plmb, plbr, plrt, plmsz cechowała duża manewrowość, ponieważ mogły z dwóch położeń zabezpieczać stanowiska dowodzenia w informację radiolokacyjną w dowolnym miejscu, zarówno w kraju,

<sup>37</sup> Relacja ppłk. inż. Tadeusza Rosy – byłego starszego oficera ds. radiolokacji Wydziału Radiotechnicznego Wojsk Lotniczych.

jak i za granicą. W szkolnych pułkach lotniczych (łpsz), w etacie batalionów łączności i ubezpieczenia lotów (bł i ul.) były tylko jednorzutowe posterunki radiotechniczne.

W latach 1972-1998 w RLP wykorzystywano następujący sprzęt:

- radiolokacyjne odległościomierze: P-15M (do ok. 1974r.), P-15NM (do ok. 1980 r.), JAWOR, JAWOR-M. z BOGOTA-M. (do ok. 1988 r.), serii JAWOR-M. (1975-1998), [RO-51 (od 1975 r.), RO-52 (od 1977 r.), RO-1ML (od 1984 r.), serii NUR [RO-82 (od 1988 r.), RO-94 (od 1993 r.), stacje kontroli rejonu lotniska AVIA-W w Goleniowie (1985) w Mirosławcu (1985), Debrznie (1986), w Świdwinie (1985), Dęblinie (1988) i w Powidzu (1990), P-40 A1 (w CDB w Malborku, Świdwinie i Pile) a w 4. PDLM dodatkowo stacje radiolokacyjne wykrywania celów niskoczących P-12 i RT-17;
- radiolokacyjne wysokościomierze: PRW-9 (1970-1990), PRW-11 i PRW-13 (do ok. 1978 r.), PRW-16 – produkcji ZSRR oraz RW-31 i RW-32 – produkcji polskiej;
- radiolinie do przekazywania zobrażenia radiolokacyjnego: RL-30-1 i RL-30-1M;
- ruchome punkty dowodzenia i naprowadzania: RPDN-1 (na samochodzie STAR-660) i RPDN-2 (na samochodzie TATRA-148)<sup>38</sup>.

Jako zasadę przyjęto, że na posterunku radiotechnicznym wykorzystywano jednocześnie jedną RSWN, tzw. „lekką” – np. P-15 i jedną tzw. „ciężką”, np. JAWOR, JAWOR-M, JAWOR-M2. W późniejszym okresie jako „lekką” stosowano RO-51, RO-51ML, RO-82, a jako „ciężką” RO-52 i RO-94. Jako RSPW w lotniczych pułkach bojowych stosowano głównie PRW-9 i PRW-16, a w WOSL: PRW-11 i PRW-13. W CDB LM WLF oraz w 1. i 2. CDB WLF w RLP wykorzystywano zestaw P-40A1 i PRW-16B<sup>39</sup>.

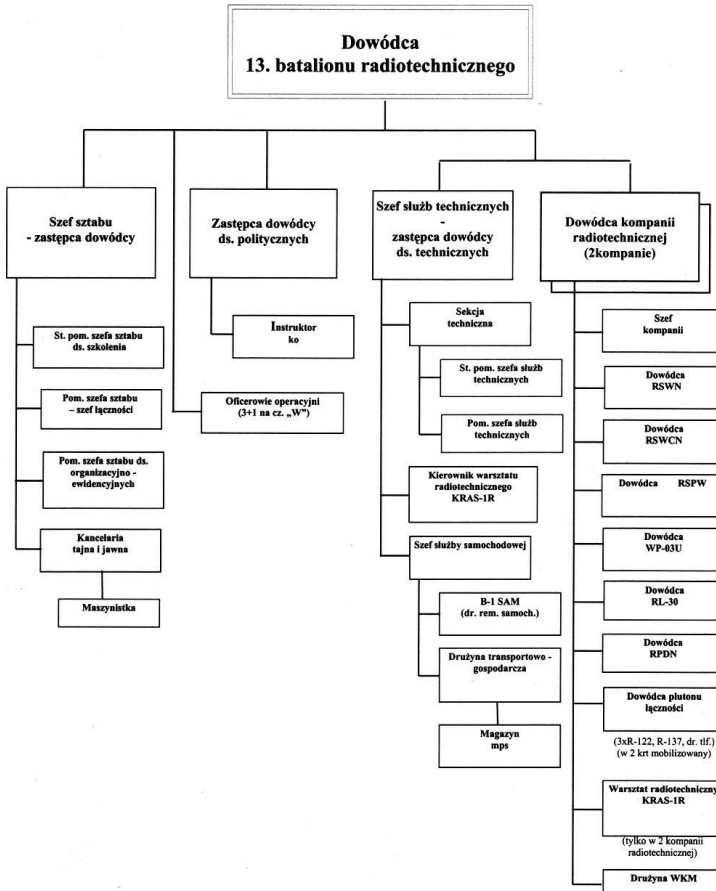
W ramach reorganizacji Wojsk Lotniczych, a od 1990 roku także WLOP rozwiązano: 38. łpsz w Modlinie (w 1988 roku), 66. łpsz w Tomaszowie Mazowieckim (w 1989 roku), 3. plmb w Bydgoszczy (w 1992 roku), 45. plmb w Babimoście (w 1992 roku), 32. plrt w Sochaczewie (w 1997 roku), 6. plmb w Pile (w 1998 roku). W 1999 roku rozformowano wszystkie pułki wchodzące w skład WLOP, a wraz z nimi – także wszystkie RLP. W 2007 roku rozformowano RLP Stara Łubianka. Obecnie z byłych jednostek radiotechnicznych Wojsk Lotniczych pozostała tylko 224. krt w Lasowicach Wielkich, 131. RLP w Klikawie, 131. krt w Dęblinie i 144. posterunek radiolokacyjny dalekiego zasięgu (prdz) w Roskoszy.

**Dziękuję szefowi Wojsk Radiotechnicznych Sił Powietrznych gen. bryg. dr. inż. Józefowi Nasiadce za pomoc w opracowaniu tego materiału historycznego.**

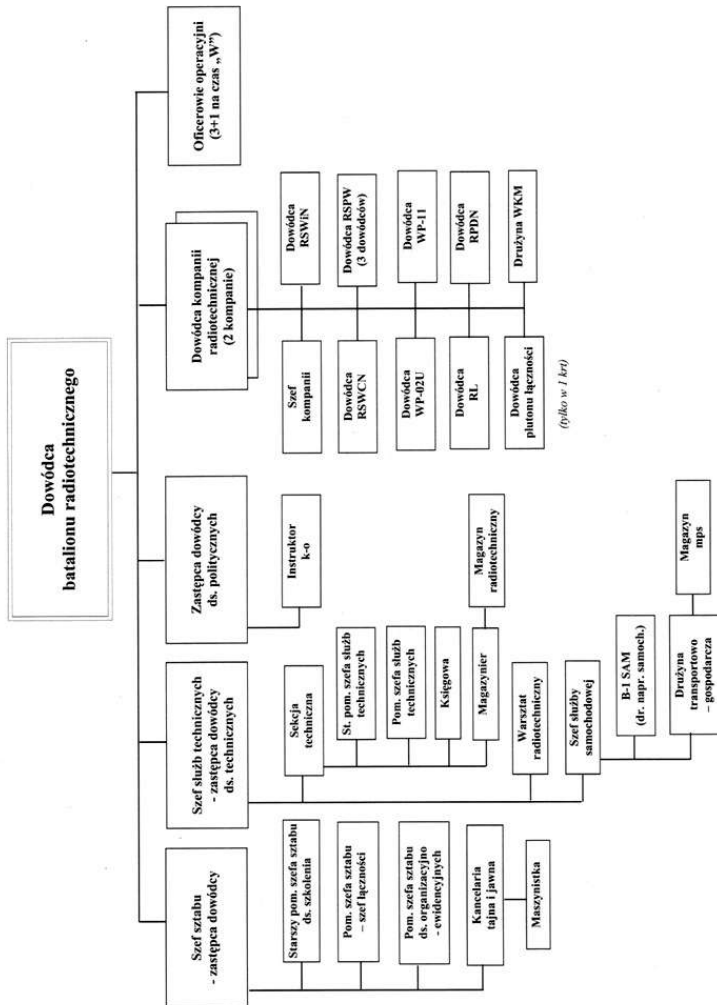
<sup>38</sup> Relacja ppłk. inż. Tadeusza Rosy – byłego starszego oficera ds. radiolokacji Wydziału Radiotechnicznego Wojsk Lotniczych.

<sup>39</sup> Relacja płk. mgr. inż. nawig. Jerzego Kawuli – byłego szefa Wydziału Radiotechnicznego Wojsk Lotniczych.

## Struktura organizacyjna 13. batalionu radiotechnicznego 4. PDLM Wojsk Lotniczych



## Struktura organizacyjna batalionu radiotechnicznego pułku lotnictwa myśliwskiego Wojsk Lotniczych



## Wykaz kadry kierowniczej w Wojskach Radiotechnicznych Wojsk Lotniczych

Szef Oddziału Radiotechnicznego Lotnictwa Operacyjnego:

- mjr inż. Marian Nowaczyk (do 1968)

Szef Oddziału Radiotechnicznego Wojsk Lotniczych:

- ppłk inż. Marian Nowaczyk (1968 – 1972).

Szefowie Wojsk Łączności i RUL Wojsk Lotniczych:

- płk mgr inż. Władysław Fremi (1972 – 1984);
- płk mgr inż. Zbigniew Gracz (1984 – 1990).

Szef Oddziału Radiotechnicznego WŁ i RUL Wojsk Lotniczych:

- płk inż. Marian Nowaczyk. (1972 – 1980)

Szef Wydziału Szkolenia:

- ppłk mgr inż. Zbigniew Gracz; (1972 – 1980)

Szef Wydziału Technicznego:

- ppłk mgr inż. Bonifacy Skorupiński. (1972 – 1980)

Szef Oddziału Radiotechnicznego i UL WŁ i RUL Wojsk Lotniczych:

- płk mgr inż. Zdzisław Celebias (1980 – 1984):

Starsi oficerowie ds. radiolokacji Oddziału Radiotechnicznego i UL Wojsk Lotniczych:

- płk mgr inż. Bonifacy Skorupiński;
- ppłk mgr inż. nawig. Jerzy Kawula;
- mjr inż. Tadeusz Rosa;
- kpt. mgr inż. Wiesław Gutkowski;
- kpt. mgr inż. Bolesław Pers<sup>40</sup>.

Szef Wydziału Radiotechnicznego Wojsk Lotniczych;

- płk mgr inż. nawig. Jerzy Kawula. (1984 – 1990)

Starsi oficerowie ds. radiolokacji Wydziału Radiotechnicznego Wojsk Lotniczych:

- płk mgr inż. Bonifacy Skorupiński;
- mjr inż. Tadeusz Rosa;
- kpt. mgr inż. Wiesław Gutkowski;
- kpt. mgr inż. Bolesław Pers<sup>41</sup>.

Szefowie Wydziału Współdziałania 4. Korpusu Lotniczego;

- płk mgr inż. Zdzisław Celebias (1990 – 1996);

---

<sup>40</sup> Relacja płk. mgr. inż. nawig. Jerzego Kawuli - byłego szefa Wydziału Radiotechnicznego Wojsk Lotniczych.

<sup>41</sup> Relacja ppłk. inż. Tadeusza Rosy – byłego starszego oficera ds. radiolokacji Wydziału Radiotechnicznego Wojsk Lotniczych.

- ppłk mgr inż. Bolesław Pers<sup>42</sup> (1996 – 1998).

Szefowie Wydziału Łączności i RUL 2. DLMB:

- ppłk inż. Owczarzak;
- płk mgr inż. Henryk Kwaśniewski;
- płk dypl. Marian Bukowski;
- płk mgr inż. Józef Bielenin.

Starsi oficerowie ds. radiolokacji WŁ i RUL 2. DLMB:

- ppłk Edward Witkowski (1972 – 1983);
- ppłk inż. Zdzisław Fiet (1983 – 1996).

Szefowie Wydziału Łączności i RUL 3. DLMB:

- płk mgr inż. Henryk Kwaśniewski;
- ppłk Kuśmierk
- płk Ferdynand Wiewióra;
- płk Józef Gancarz;
- ppłk Ryszard Weczek (p.o.);
- płk mgr inż. Stanisław Mandziuk
- ppłk mgr inż. Piotr Kostrzewa (10.05.1994 -17.11.1997);
- mjr mgr inż. Wojciech Dobraszczuk (p.o.) (17.11.1997 – 02.02.1998);
- mjr inż. Piotr Drapała (p.o) (02.02.1998 – 27.09.1998).

Starsi oficerowie ds. radiolokacji Wydziału Łączności i RUL 3. DLMB:

- ppłk Stanisław Nowak (1972 – 1988);
- mjr inż. Kazimierz Żądło (1988 – 1997);
- mjr inż. Piotr Drapała (1997- 1998).

Szefowie Wydziału Łączności i RUL 4. PDLM:

- płk Zbigniew Skrzecz;
- płk mgr inż. Krzysztof Łakomicz.

Starsi oficerowie ds. radiolokacji 4. PDLM:

- mjr inż. Marian Jach;
- ppłk Feliks Manierski;
- mjr Marian Wójcik;
- ppłk inż. Maciej Gibel;
- mjr mgr inż. Leon Gajdziński;
- ppłk inż. Lech Mikurenda;
- mjr inż. Jan Szerel;
- mjr mgr inż. Józef Wojnowski;
- kpt. Jerzy Zimiński.

Dowódcy 13. Batalionu Radiotechnicznego 4. PDLM:

- mjr Marian Wójcik (1968 – 1972);
- ppłk pil. Bolesław Minda (1972 – 1980);
- ppłk inż. Waldemar Michalkiewicz (1980 – 1987);
- kpt. Stanisław Berliński (1987 – 1988);
- kpt. dypl. inż. Stanisław Wosek (1988);

<sup>42</sup> Relacja ppłk. mgr. inż. Bolesława Persa – byłego szefa Wydziału Współdziałania 4. Korpusu Lotniczego.

- ppłk Józef Szlesar<sup>43</sup> (1988 -1990).

Dowódcy 19. Batalionu Radiotechnicznego 2. plm „Kraków”:

- ppłk Stanisław Nowak (1968 – 1971 – Świdwin – 3. BDLM);
- ppłk Stanisław Nowakowski (1971 – 1979);
- ppłk Tadeusz Walicki (1979 – 1985);
- ppłk mgr inż. Józef Bednarz (1985 – 1986);
- mjr Marek Hajduk (p.o.) (1986 – 1987);
- ppłk Wojciech Szambelan (1988 – 1992);
- mjr mgr inż. Czesław Siczekowski<sup>44</sup> (1992 – 1995).

Dowódcy 25. Batalionu Radiotechnicznego 9. plm:

- ppłk Eugeniusz Milczarek (1971 - 1973);
- kpt. mgr inż. Marian Szymańczuk (1973 – 01.1976)
- ppłk inż. Zdzisław Fiet (01.1976 – 14.05.1983);
- mjr inż. Andrzej Nogal (14.05.1983 – 14.05.1990);
- mjr inż. Adam Sikorski (14.05.1990 – 1991);
- mjr mgr inż. Grzegorz Nakielski (1991 – 1992);
- mjr inż. Stefan Grzonka (1992 – 1993);
- mjr inż. Michał Sikora (1993 – 1995);
- kpt. inż. Krzysztof Szydłowski (cz.p.o.) (1995 – 1996).

Dowódcy 26. Batalionu Radiotechnicznego 41. plm:

- mjr inż. Leon Swatkowski (od 1971);
- ppłk Feliks Manierski;
- ppłk inż. Maciej Gibel (do 1982);
- ppłk Aleksander Kłosowski (1982 - 1988);
- mjr inż. Jan Babik<sup>45</sup> (od 1988 -1996).

Szefowie Wydziału Łączności i RUL WOSL (WSOSP):

- płk mgr inż. Tadeusz Zagubień (1973 – 1986)
- płk mgr inż. Ryszard Śliwa (1986 – 1994)
- ppłk dypl. inż. Ryszard Siwek (1994 – 2008 - szef WŁ i Informatyki).

Starsi oficerowie ds. radiolokacji WSOSP (WOSL):

- ppłk mgr inż. Jerzy Russ (1972 – 1987);
- mjr mgr inż. Andrzej Dyda;
- mjr mgr inż. Krzysztof Woliński
- kpt. inż. Janusz Wybacz (1988 – 1992).

---

<sup>43</sup> H. Czyżyk, Dzieje 4. Pomorskiej Dywizji Lotnictwa Myśliwskiego, Warszawa 2007, s. 222.

<sup>44</sup> Ibidem, s. 223.

<sup>45</sup> Ibidem, s. 224.

## Nawigacyjne urządzenia elektroświatelne

W Wojskach Lotniczych istniała służba ubezpieczenia lotów (UL), która zajmowała się zabezpieczeniem wykonywania startów i lądowań samolotów, a także naprowadzaniem statków powietrznych w rejon lotnisk lub lądowisk.

W skład służby ubezpieczenia lotów wchodziły między innymi urządzenia elektroświatelne (elektronawigacyjne). Zadaniem tych urządzeń było światelne oznakowanie pasów startowych i dróg kołowania na lotniskach polowych bez stałego oświetlenia, oraz na wszystkich lotniskach, oświetlenie punktu przyziemienia samolotów oraz światelna identyfikacja lotniska.

Istniało ustalenie, że światłami stacjonarnego oznakowania pasa startowego i dróg kołowania (Świecz-2, Świecz 57 lub D-2) zajmowała się kompania obsługi lotniska (kol) wchodząca w skład batalionu zaopatrzenia pułku lotniczego, a światłami przewoźnymi kompania ubezpieczenia lotów batalionu łączności i ubezpieczenia lotów (wcześniej dywizjonu dowodzenia lotami tzw. DDL-u).

Po 2000 roku ponownie wprowadzono nazwę „dywizjon dowodzenia”. I tak przykładowo: stacjonarne impulsowe światła zbliżania podlegały pod kompanię obsługi lotniska, a ich wariant przewoźny pod kompanię ubezpieczenia lotów, stacjonarny światelny wskaźnik ścieżki zniżania „Siodło” podlegał pod „kol” a taki sam wskaźnik przewoźny, gdyby go sprowadzono, podlegałby pod „kul”.

Wchodzący w skład kompanii ubezpieczenia lotów pluton elektroświatelny dysponował: kodowo-neonowymi latarniami lotniskowymi, reflektorami startowymi oraz urządzeniami światelnymi typu Łucz lub Światłuszka.

Kodowo-neonowe latarnie lotniskowe KNS (Kodowyj Neonowyj Majak) przeznaczone były do oznaczania lotnisk sygnałami światelnymi przekazywanymi alfabetem Morse'a. Eksponując pierwszą i ostatnią literę kryptonimu lotniska, mogły one pracować w sposób ciągły. Latarnie te można było wykorzystać także do oznaczania różnych punktów w terenie.

Widzialność latarni przy wysokości lotu 1000 m wynosiła 40÷60 km (światło koloru czerwonego). Latarnia ustawiona była na głównym kierunku lądowania w osi pasa startowego obok radiolatarni bliższej. Zasilanie jej pochodziło z sieci trójfazowej 220V/380V poprzez autotransformator lub z zespołu prądotwórczego umieszczonego wraz z nią na skrzyni samochodu transportowego.

Latarnie KNS-1p wyposażone były w kabinę dla operatora, w której znajdował się pulpit sterujący, tarcze kodowe (półpierścienie na każdą literę alfabetu, po złożeniu otrzymywano kod dwu literowy) i radiostacja R-105. Latarnia ta wyposażona była we wskaźnik wynośny, w którym każdej z 9 lamp ND-1 odpowiadała umieszczona w okienku duża lampa neonowa wskazująca pracę lampy ND-1.

W kolejnych wersjach latarni KNS-1p zrezygnowano z kabiny operatora



i wskaźnika wynośnego (KNS-1pM). Do powyższej koncepcji powrócono jednak w nowocześniejszym modelu KNS-4p. W urządzeniu tym źródło światła było montowane na maszcie (statywie) a nie w metalowo-szklanej obudowie na skrzyni samochodu transportowego, jak w latarniach serii KNS-1p. Zespoły sterujące umieszczone były wewnątrz nadwozia K-66N, samochodu terenowego 4x4 GAZ-66.

Zespół kodujący był typu elektronicznego. Wystarczyło przełączyć odpowiednie przełączniki, aby uzyskać potrzebny kod. Latarnia KNS-4p mogła pracować kodem przy użyciu alfabetu Morse'a, impulsowo z częstotliwością 30 lub 60 błysków na minutę lub w sposób ciągły.

Światło latarni KNS-4 (koloru czerwonego widoczne było w nocy w zwykłych warunkach atmosferycznych (NZWA) przy wysokości lotu samolotu 500 m – 3000 m w czasie pracy ciągłej z odległości 25-35 km, a przy pracy impulsowej z odległości 27-37 km.

W ZSRR produkowano i używano także inne modele latarni lotniskowej (KNS-2 i KNS-3).

#### Kodowo-neonowe latarnie lotniskowe

Typ	Źródło światła (typ lampy)	Ilość lamp	Światłość [cd]	Zespół prądowórczy	Typ pojazdu
KNS-1s	ND-1	9	2550	–	stacjonarna
KNS-1p	ND-1 lub ND-2	9	2550	AP-10	ZIS-150, ZIL 164
KNS-1pM	ND-2	9	2550	AP-10M-3W	ZIL-164
KNS-1pM-2	DNT-500	9	2550	AB-8- T/230/Cz50/M	ZIL-130
KNS-4p	DNJeSG 500-1	6	2500	AB-4T-230-M1 (2 szt.)	GAZ-66

Samochodowe reflektory lotniskowe przeznaczone były do oświetlenia pasa startowego, optycznego prowadzenia samolotów w rejon lotniska lub oznaczania punktu w terenie. Reflektory najczęściej używane były do oświetlenia początku pasa startowego, punktu przyziemienia i strefy bezpieczeństwa w warunkach ograniczonej widzialności i w nocy.

Reflektory APM-90 wyposażone były w dwa źródła światła łukowe i żarowe. Najczęściej używana była lampa łukowa. Lampa ta wyposażona była w automat przesuwający elektrody w miarę ich zużycia (spalenia). Automat ten także samoczynnie utrzymywał krater elektrody dodatkowo w ognisku lustra odbłaskowego reflektora. Elektrody w razie awarii automatu można było przesuwac ręcznie.

Lampa łukowa wyposażona była w 3 elektrody: dodatnią o długości 550 mm i średnicy 16 mm, ujemną o długości 330 mm i średnicy 11 mm oraz zapłonową o długości 56 mm. Jako elektrodę zapłonową można było wykorzystać końcówki

zużytych elektrod ujemnych. Czas palenia się jednego kompletu elektrod wynosił 1 godzinę i 15 min. Lampa łukowa zasilana była napięciem 80 V przez opornik redukcyjny zmniejszający napięcie ze 110 V do 80 V. Zadaniem opornika było także zabezpieczenie układu elektrycznego lampy przed skutkami zwarcia elektrod.

Lampę żarową PŻ-19 wykorzystywano bardzo rzadko. Mogła ona pracować jedynie w pozycji pionowej, z tego względu zabronione było wahanie reflektora w pionie. Czas pracy lampy żarowej wynosił jedynie 100 godzin. Lampa ta zasilana była napięciem 110 V, dlatego przed jej włączeniem należało zewrzeć opornik redukcyjny i podgrzać ją. Lampy PŻ-19 (duży wymiar) przechowywane były w specjalnych pojemnikach metalowych mieszczących się na skrzyni reflektora (2 szt.).

Źródłem energii elektrycznej była wbudowana w pojazd prądnica PR-125 o mocy 17,5 kW napędzana silnikiem samochodu. Napęd elektryczny reflektora umożliwiał obroty w płaszczyźnie poziomej w lewo lub prawo z prędkością regulowaną od 4 do 16 obrotów na minutę. Reflektor mógł także wahać się w płaszczyźnie pionowej 30°- 85° a w płaszczyźnie poziomej o kąt 30°-180°.

W komplecie reflektora znajdowały się dwa wymienne elementy (nasadki) oszklenia reflektora, skupiające (szkło wypukłe) i rozpraszające strumień świetlny (szkło rozpraszające).

Próby zastosowania do reflektorów APM-90 podwozi samochodowych polskiej produkcji okazały się nieudane. W 40 PLMB w Świdwinie w eksploatacji były między innymi reflektory montowane na samochodach STAR 660 i STAR 29. Jednak awaryjność ich była na tyle duża, że prawie wcale nie wyjeżdżały na obsługę lotów.

Obecnie w lotnictwie Polskich Sił Zbrojnych reflektory lotnicze nie są już wykorzystywane.

Natomiast w Rosji reflektory APM-90M są nadal w użytkowaniu. Zmieniono im tylko środek transportu na nowy w postaci samochodu ZiŁ-431410.

### Reflektory lotniskowe

Typ	Typ lampy			Maksymalne natężenie światła lamp [Cd]			Typ pojazdu
	Łukowa	Żarowa	Wyładowcza	Łukowa	Żarowa	Wyładowcza	
APM-90	tak	PŻ-19	–	150 x 10 <sup>6</sup>	10 x 10 <sup>6</sup>	–	ZIS-150 / ZiŁ-164*
APM-90M	tak	PŻ-19	–	135 x 10 <sup>6</sup>	9 x 10 <sup>6</sup>	–	ZiŁ-130Je
APP-90P	nie	–	DRISz 2500-2	–	–	11 x 10 <sup>6</sup>	UAZ-33031

\* Montowany także na samochodach STAR-660 i STAR-29

Reflektor lotniskowy APP-90 (Aerodromnyj Posadocznij Prozektor) był produkowany zarówno w wersji przewoźnej, jak i stacjonarnej. W porównaniu z reflektorem APM-90 miał mniejszą siłę światła, jednak był bardziej ekonomiczny w eksploatacji.

Reflektor można było zasilac napięciem z sieci 230 V lub z zespołu spalinowo-elektrycznego AB-4-0/230-M1 zamocowanego na platformie reflektora. Wyposażony był on w wysokoprężną wyładowczą lampę rtęciowo-metalhalogenkową DRISz-2500 o mocy 2500 W (zasilanie lampy napięciem 115 V). Lampa miała długość 36 cm i natężenie barwy odpowiadające światłu dziennemu. Lampę tę można było regenerować (dzięki przedłużeniu żywotności wewnętrznej warstwy przewodzącej) przez nagrzewanie owiniętej w materiał izolacyjny bańki lampy do temperatury 500-600° C.

Reflektor wyposażony był w dwie wymienne nasadki o różnym kącie rozpraszania światła (przednie oszklenie) z filtrami rozpraszającymi w płaszczyźnie poziomej 50° i 14°. Istniała możliwość założenia nasadek z urządzenia APM-90.

Reflektory wyposażone były w pulpity zdalnego sterowania. Istniała także możliwość jednoczesnego sterowania (w trybie włączenie-wyłączenie) kilkoma reflektorami z jednego pulpitu.

Włączanie i wyłączanie reflektorów sterowane było z „wieży” lub ze startowego stanowiska dowodzenia SSD-2 przy pomocy świateł sygnalizacyjnych typu ulicznego (sygnał włącz lub wyłącz).

Połowe lotniskowe światła sygnalizacyjne przewidziane były do oznakowania lotnisk lub lądowisk nieposiadających stałych świateł, lub zastąpienia tychże w przypadku ich awarii lub zniszczenia w wyniku działań wojennych. Światła te rozwijano według schematu USL wchodzącego w skład schematów Sp-1p lub Sp-2p.

Światła te pełniły funkcje: świateł zbliżania, horyzontu lądowania, podejścia, świateł impulsowych kierunku lądowania (Sp-1p), świateł wejściowych, zabraniających lądowania, zezwalających na lądowanie, ograniczających, świateł drogi startowej, dróg kołowania, kierunku startu, oraz świateł sygnałowych.

Wszystkie te lampy i reflektory wchodziły w skład przewoźnego urządzenia elektroświatelnego Łucz-2 (Łucz-3) lub desantowego AS-59U (w ZSRR także AS-67).

## Elementy składowe urządzenia Łucz-2

Lp.	Wyszczególnienie	Ilość
1	Reflektory OPR z czerwonym filtrem	40 szt.
2	Reflektory OPR z zielonym filtrem	16 szt.
3	Lampy OWPP bezbarwne	24 szt.
4	Lampy OWPP z pomarańczowym filtrem	32 szt.
5	Lampy OWPP z czerwonym filtrem	8 szt.
6	Lampy ORD z niebieskim filtrem	88 szt.
7	Pulpit sterowniczy do włączania świateł zezwalająco-zabraniających na lądowanie	2 szt.
8	Autotransformatory liniowe	2 szt.
9	Autotransformatory regulacyjne	2 szt.
10	Zespoły prądowców ESB-12-WS-400-M1 lub PAD-16	2 szt.
11	Kable KRPT 3x1,5 (w odcinkach 100m, 50m, 25m, 12,5m, 3 m)	13232 m
12	Kable KRPT 3x2,5 (w odcinkach 100 m i 50 m)	600 m

Urządzenia elektroświatelne Łucz 1d/Łucz 2/Łucz3 uzupełniane były wozami nr 5 i nr 6 umożliwiającymi rozwinięcie urządzenia według schematu lotniska Sp- 2p.

Urządzenia Łucz uzupełnione tymi wozami nazywano Łucz 57 (Łucz1d + wóz nr 5 + wóz nr 6, Łucz 2 + wóz nr 5 + wóz nr 6, Łucz 3 + wóz nr 6).

Wóz nr 5 zawierał 43 reflektory OPR z czerwonym filtrem, 9 reflektorów OPR z zielonym filtrem, 40 lamp ORD, 2 autotransformatory i pulpit sterowniczy.

Wóz nr 6 zawierał 18 reflektorów ONP-35 z czerwonym filtrem oraz dwa autotransformatory regulacyjne.

Urządzenie elektroświatelne Łucz 3 wyposażone było dodatkowo w 16 impulsowych świateł zbliżania OPI nazywanych „biegnącą błyskawicą”.

W Rosji nadal jest w użyciu kolejna wersja urządzenia Łucz 4MS, Łucz 7 oraz urządzenie elektroświatelne Kurs 1, 2 i 3.

### Elementy oświetleniowe urządzenia AS-59U

Lp.	Wyszczególnienie	Ilość
1	Reflektory ORD z czerwonym filtrem	16
2	Reflektory ORD z zielonym filtrem	12
3	Lampy OWPP bezbarwne	24
4	Lampy OWPP z pomarańczowym filtrem	28
5	Lampy OWPP z czerwonym filtrem	12
6	Lampy ORD z niebieskim filtrem	22
7	Pulpit sterowniczy do włączania światel zezwalająco- zabraniających na lądowanie	2

### Typy żarówek używanych w urządzeniach elektroświeatlnych Łucz

Typ żarówki	Typ lampy	Napięcie zasilania	Moc
A-40	OPR	12 V	50 +21,4 cd
A-12	OWPP	12 V	21 cd
C-16 (RN-220/15)	ORD	220 V	15 W
PŻ-220-500-3	ONP-35	220 V	500 W
IFK-2000 (palnik)	OPI	400 V/1000 V (napięcie zapłonu)	2000 J (energia błysku)

### Elementy składowe Łucz-3

Lp.	Wyszczególnienie	Ilość sztuk
1	Reflektory OPD-30 z czerwonym filtrem	85
2	Reflektory OPD-30 z zielonym filtrem	23
3	Reflektory OPR-45	8
4	Światła impulsowe OPI	16
5	Lampy OWPP bezbarwne	48
6	Lampy OWPP z pomarańczowym filtrem	40
7	Lampy ORD z niebieskim filtrem	112
8	Pulpit sterowniczy do włączania światel zezwalająco- zabraniających na lądowanie	2
9	Autotransformatory liniowe	6
10	Autotransformatory regulacyjne	9
11	Przerywacz światel	1

Lądowiska dla śmigłowców oznaczane były światłami Świetluszka lub Świetluszka 2 (warianty „Ab”, „As”, „Au”, „B”, „C”) produkcji czechosłowackiej.

Warianty Świetluszka 2 „A” różniły się między sobą sposobem zasilania i tak: wariant „Ab” występował z zasilaniem akumulatorowym, wariant „As” z zasilaniem z sieci lub zespołu prądowłórczego, wersja „Au” z zasilaniem akumulatorowym, z sieci przemysłowej lub zespołu prądowłórczego w zależności od potrzeb. Wariant „B” składał się z 2 kompletów wariantu „A” oraz dodatkowo latarni sygnalizacyjnej. Wariant „C” składał się z dwóch kompletów wariantu „B” wraz z dodatkowymi kablami.

#### Elementy składowe urządzenia Świetluszka

Lp.	Wyszczególnienie	Ilość
1	Lampy oznaczniki z filtrem bezbarwnym	17
2	Lampy oznaczniki z czerwonym filtrem	7
3	Akumulatorowe lampy oznaczniki z czerwonym filtrem	6
4	Pulpit sterowniczy	1
5	Pistolety sygnałowe CZ vz. 44/67	2
6	Rakiety sygnalizacyjne białe, czerwone i zielone po 10 szt. każdego koloru	30
7	Rakiety oświetlające	10
8	Świece dymne (pomarańczowy dym)	30
9	Wiatromierz	1
10	Barometr	1
11	Wskaźnik kierunku wiatru	1
12	Przerywacz prądu lamp litery „T”	1
13	Transformator separacyjny	1
14	Zespół prądowłórczy ZB-5G	1

Urządzenie Świetluszka 2 wariant „B” i „C” wyposażone były w latarnię sygnalizacyjną pracującą w sposób ciągły kodowany. Kodowanie polegało na odpowiedniej kombinacji światła włączonych i wyłączonych. Ilość kodów jednokolorowych - 4, ilość kodów dwukolorowych (światło białe i czerwone) - 17. Korpus latarni obracał się dookólnie. Praktycznie jednak na lotniskach, latarnie te nie miały ustalonych kodów pracy.

## Elementy składowe urządzenia Świetluszka 2

Wyszczególnienie	Warianty		
	A	B	C
Lampy oznaczniki	10	20	40
Latarnia sygnalizacyjna	-	1	2
Ręczny reflektor sygnalizacyjny	1	2	4
Transformator separacyjny z pulpitem sterowania	1	2	4
Zespół prądowłóczy	1	2	4

Obecnie odchodzi się od standardów obowiązujących w lotnictwie Układu Warszawskiego, kasując między innymi sprzęt rosyjski. Czy słusznie?

Łucz w razie awarii lub zniszczenia świateł stacjonarnych mógł je z powodzeniem zastąpić. A jak zabezpieczyć lądowanie, na lotniskach polowych nie posiadających stałych świateł systemu Calverta?

Notabene systemu, skopiowanego przez Rosjan pod nazwą Świecz.

### Bibliografia:

- Elwart Krzysztof, Samochodowa stacja reflektorowa APP-90P, opis techniczny i eksploatacja, Poznań 1996
- Elektroświatlne pomoce nawigacyjne „Świetluszka 2” dla śmigłowców. Opis techniczny i eksploatacja. Poznań 1988
- Kodowo-neonowa latarnia lotniskowa KNS-1PM-2, opis i eksploatacja, Poznań 1975
- Opis i eksploatacja ruchomego lotniskowego elektrycznego urządzenia świetlnego AS-59U. Warszawa 1969
- Opis techniczny, budowa i eksploatacja elementów uzupełniających elektryczne urządzenia świetlne Łucz-1D i Łucz-2, Warszawa 1964
- Opis techniczny i eksploatacja przewoźnego elektrycznego urządzenia świetlnego dużej mocy Łucz-3, Warszawa 1969
- Ruchoma kodowo-neonowa latarnia lotniskowa KNS-4P, Warszawa 1998
- Samochodowa stacja reflektorowa APM-90M, opis techniczny i eksploatacja, Poznań 1976
- Ubezpieczenie lotów w lotnictwie Sił Zbrojnych PRL, Poznań 1981

## **Program szkolenia kadetów w jeleniogórskiej Technicznej Szkole Chorążych a rzeczywistość.**

Oczywiście mogę się wypowiadać jedynie o programie radionawigacyjnym z lat 1967-1970 w którego realizacji osobiście uczestniczyłem, jako kadet. Moja ocena także nie jest zupełnie obiektywna, ponieważ dotyczy spostrzeżeń z przebiegu tylko mojej pracy na różnych stanowiskach technicznych w służbie Ubezpieczenia Lotów.

Elektrotechnika, radiotechnika, podstawy radiolokacji, radionawigacja i maszyny elektryczne prowadzone były na bardzo wysokim poziomie. Szczególnie radiotechnika, wzory, wzory i jeszcze raz wzory, liczby zespolone, elementy wyższej matematyki, ale mało praktyki.

Młody adept radiotechniki przychodził do jednostki wojskowej, wyciągał niesprawny blok z szafy i nie bardzo wiedział jak się do tego zabrać. Owszem w szkole były laboratoria, ale głównie zdejmowaliśmy jakieś charakterystyki, robiliśmy tabelki, badaliśmy działanie jakiś urządzeń. Ale nie bardzo było wiadomo co zrobić jak wzmacniacz nie chciał wzmacniać a generator generować. A jeszcze gorzej było, jak ów generator generował, ale zupełnie, co innego niż powinien. W owych czasach nie wymieniano się jakiegoś modułu np. wzmacniacza. Trzeba było w gąszczu przewodów ustalić, że winny jest wzmacniacz i znaleźć element niesprawny. No cóż, można było sobie z tym poradzić, ale zajmowało to trochę czasu służbowego i wolnego także, bo niestety trzeba było znowu wertować podręczniki i instrukcje.

W owym czasie obowiązywała niepisana zasada: nie udało ci się naprawić stacji w czasie służbowym naprawiaj ją w czasie wolnym. Sprowadzało się to do pracy po obiedzie do późnych godzin wieczornych. No i te początkowe gafy. Zdarzyło mi się, jako młodemu technikowi rozebrać niemal pół stacji, kilka bloków wysuniętych z podłączonymi kablami remontowymi, parę godzin szukania przyczyn i w końcu znalezienie spalonego bezpiecznika. Bezpiecznik ten miał neonówkę wskazującą na jego przepalenie, ale pech chciał, że ktoś ją wyjął z oprawy.

W tym miejscu należy wspomnieć świetne wykłady ze sprzętu radionawigacyjnego prowadzone przez ówczesnego kpt. Tadeusza Kusia. Wykładowca zaczynał od takich drobiazgów, jak bezpieczniki, lampki itp. drobiazgi ucząc nas obsługi RSP-5 i RSP-7. Jeśli nie ma podstawy czasu: sprawdzić ten lub tamten bezpiecznik. No cóż nie tylko ja nabierałem się na takie awarie.

Kiedyś, gdy byłem już dowódcą radiolokatora miałem trzech techników obsługi młodszych chorążych świeżo po Jeleniej Górze, jeden z nich był zapalonym radiotechnikiem i rokował duże nadzieje. Któregoś dnia 15 minut przed końcem pracy otrzymuję meldunek o awarii. Wysyłam techników zapowiadając, że w razie problemów mają mnie telefonicznie zawiadomić. Po około 4 godzinach telefon: „dowódco nie możemy sobie poradzić”. Pytam o objawy. Tłumaczy mi ten



najlepszy. Z jego relacji wnioskuję, że brak jest wzbudzenia selsynu. Korci mnie spytać się o bezpiecznik, ale nie pytam. To niemożliwe, żeby tego nie sprawdzili. Wskakuję na rower i za chwilę jestem na stacji. Widok, jak z remontu - większość bloków na kablach remontowych, podłączony oscylograf, zafrasowane miny, a na tablicy rozdzielczej wesoło płonie lampka kontrolna opisana „Niet wozbudzenia selsyna”. Miałem do czynienia z ludźmi, którzy w takiej sytuacji pozowali na szamana „proszę wyjść nie mogę pracować w tłumie”, po czym wymieniali bezpiecznik. Na zapytanie, co było przyczyną awarii z uśmiechem niezmiennie odpowiadali „KRASNOLUDKI”. Jeden z moich dowódców, bardzo dobry radiotechnik, absolwent WAT, stracił kiedyś kilka godzin nie mogąc ustalić przyczyny awarii. Kiedy przyjechałem go zmienić powiedział tylko: „brakuje napięcia 1000 V, ale więcej panu nie powiem, by pana nie zasugerować”. Zaczęłem sprawdzać od nowa i zauważyłem zamienione elektrody na tetrodzie modulacyjnej. Poprzednia zmiana wymieniała tę lampę. Założyłem elektrody prawidłowo (ściągnę miałem narysowaną dermatografem na ścianie wewnątrz bloku). Dowódca nie chciał mi uwierzyć, że to zamiana była przyczyną awarii.

Skwitował to stwierdzeniem „pan nie chce mi powiedzieć, co było”. A zasugerować się było bardzo łatwo, poproszono mnie kiedyś o pomoc w naprawie RSP-7. Nie było jakiegoś napięcia, awaria bardzo długo się przeciągała. Wchodzę na stację i czuję słaby zapach „guana”. Zapach taki wydają z siebie spalone stopy selenowe. Zaglądam do zasilacza, ale technicy RSL informują mnie, że sprawdzali i prostownik jest OK. Już to kiedyś przerabiałem, sprawdzam jeszcze raz i okazuje się że stos jest niesprawny.

Przekazaną mi wiedzę radiotechniczną oceniam bardzo wysoko, ale szkoła nauczyła mnie „myśleć lampami”. Tymczasem na obsługiwanym sprzęcie, już zaczynało być dużo półprzewodników. Do dziś, jak słyszę słowo wzmacniacz to staje mi przed oczami taki ładny schemacik z triodą w roli głównej. I znowu podręcznik i znowu wertowanie.

Oczywiście obowiązkiem żołnierza zawodowego było samokształcenie się. Dlatego nie narzekam, ale żałuję, że tego kawałka wiedzy nie wyniosłem ze szkoły. Na pewno byłoby łatwiej. Podobne błędy popełniano np. na WAT. Pracowałem z wieloma dobrymi elektronikami po tej uczelni. Posiadali oni półprzewodniki i układy scalone w małym palcu, ale jak wpadali na lampy mieli ten sam problem, co ja z tranzystorami. Prawdę powiedziawszy to wzory przydały mi się jedynie podczas dopuszczenia do samodzielnej pracy w jednostce. Wszedłem na egzamin pełen obaw, choć przygotowałem się z budowy stacji, jak mogłem najlepiej. A tu pada pytanie: „może pan omówi prawo Ohma”. Trafił mnie przysłowiowy szlag. Spokojnie pytam: „dla jakiego prądu stałego czy zmiennego”. Szybko piszę i rozwijam wzór dla prądu zmiennego zapamiętany dokładnie z świetnych wykładów ówczesnego por. Krzysztofa Papierkowskiego. Egzaminator podsumował: „skoro pan to wie, nie będę pana więcej pytał”. I zaliczyłem egzamin.

Teoria miernictwa elektrycznego prowadzona była na wysokim poziomie. Uważam jednak, że było zbyt mało zajęć praktycznych dotyczących pomiarów różnymi przyrządami pomiarowymi, a szczególnie radar-testerami typu GK-4-19A, generatorami impulsowymi (np. G5-15), woltomierzami lampowymi (W-7-15) i oscylografami dwustrumieniowymi (S1-55) oraz przyrządami samopiszącymi (N- 90M). Szkoda, że opracowanej w szkole doskonałej instrukcji posługiwania się

przyrządami pomiarowymi różnego typu nie można było po prostu zakupić. Problem w szkoleniu z miernictwa polegał na braku nowoczesnych przyrządów pomiarowych. W jednostkach był nowy rosyjski sprzęt i nowe przyrządy w tym najrozmaitsze generatory kontrolne. A w szkole podstawą był radar-tester RT-10, diżurny przyrząd uniwersalny AWO-5M1 oraz starszego typu oscylografy i galwanometry. Myślę, że bez szkody dla programu można by dołączyć parę godzin wykładów na temat budowy urządzeń do pomiaru prędkości obrotowej, temperatury, ciśnienia, wykonywania pomiarów stopnia naładowania akumulatorów (np. próbnikiem AP), pomiarów przy pomocy teodolitu, pomiarów rejestratorami (miernikami) samopiszącymi oraz pomiarów oporności izolacji, oporności uziemień a także zgodności faz. Tej praktycznej wiedzy brakowało mi w późniejszej pracy w jednostkach bojowych.

Zespoły prądotwórcze i samochody ciężarowe (ciągniki stacji radiolokacyjnych) to była wiedza, której ze szkoły wyniosłem bardzo niewiele. Oczywiście były wykłady z maszyn elektrycznych na bardzo dobrym poziomie, jednak brakowało części dotyczącej silników spalinowych, regulatorów obrotów silnika czy sposobów odpowietrzania instalacji paliwowej silnika wysokoprężnego itp. Zakładano, że na stacji radiolokacyjnej będzie podoficer zawodowy kierowca elektromechanik i te rzeczy będą w jego gestii. Nic bardziej mylnego, na stacjach najczęściej był wakat na stanowisku kierowcy-elektromechanika lub był na tym etacie człowiek, który absolutnie nie miał o tym pojęcia. A zdarzało się także, że człowiek na etacie wisiał, ale wykonywał pracę zupełnie gdzie indziej, blokując tylko etat. Były też takie stacje, na których nie było etatu starszego elektromechanika (MRL-1). W tej sytuacji naprawy, przeglądy oraz eksploatacja źródeł zasilania i pojazdów spadała na barki techników. I znowu brak wiedzy trzeba było nadrabiać z instrukcji i podręczników, jeżeli się chciało wykonać dobrze swoją pracę i mieć jakieś znaczenie w branży. A często były to instrukcje w języku rosyjskim. Żałowałem, że nie było wykładów, które pozwoliłyby mieć jakąś przynajmniej podstawową wiedzę w tym zakresie.

Bardzo przydatna byłaby też wiedza z zakresu smarów, olejów, paliw oraz płynów do chłodziw a także wojskowego systemu ich oznakowania. Przydałaby się znajomość tabel naleźności, sposobów przeliczania litrów na kilogramy z uwzględnieniem temperatury otoczenia. Bez tej wiedzy technik pobierający paliwo lub spirytus techniczny był zdany na łaskę podoficera mps wydającego owe materiały. Ilu techników musiało zapłacić frycowe, czyli być oszukany przy pobieraniu najczęściej spirytusu, to wiedzą oni sami, nikt nie lubił chwalić się swoją niewiedzą. Jednak w rozmowach często wpływały takie tematy. Zresztą ja sam też byłem parę razy „nacięty” przez cwaniaka z mps-u. A wystarczyłoby parę godzin wykładów przez specjalistę z owej służby, który przekazałby swoją wiedzę i ostrzegł przed czyhającymi niespodziankami.

Brakowało także wykładu na temat, jak przyjmować stację radiolokacyjną, czy też pojazd mechaniczny. Według jakich dokumentów, gdzie sprawdzić, jakimi materiałami mps pojazd jest obciążony, gdzie znajdują się książki pojazdu, jakie są problemy z fałszowaniem paliwa i płynu do chłodziw i jak temu przeciwdziałać. Tu niestety musiałem się uczyć na własnych błędach i błędach kolegów.

Brakowało także wiedzy z obsługi akumulatorów kwasowych i zasadowych. Sposobów ładowania, pomiarów przy pomocy areometrów (areometr Baumé),

konserwacji akumulatorów. Zasad bezpieczeństwa przy pracy z akumulatorami. A nawet systemu oznaczania rozmaitych ogniw i baterii.

Zajęcia z BHP na urządzeniach elektrycznych i nie tylko, nie były najmocniejszą stroną szkolnych wykładów. Najlepszym tego przykładem była stosunkowo duża ilość absolwentów szkoły oblewająca egzaminy na dopuszczenie do pracy przy napięciu do 1kV. Na owe egzaminy często należało jechać wiele kilometrów do ośrodka, który je przyjmował, ze Świdwina jeździliśmy w owym czasie do OSSSUL w Grudziądzu. Dopiero potem stwierdzono, że słuszniej będzie, jeśli do jednostki przyjedzie komisja egzaminacyjna np. 3-4 osoby, zamiast wysyłać w podróż służbową dużą ilość kadry.

W codziennej służbie na stacjach radiolokacyjnych, ze znajomością i przestrzeganiem zasad BHP także nie było najlepiej. A mogę to stwierdzić, ponieważ przez około 20 lat pełniłem zaszczytną, dodatkową funkcję nieetatowego inspektora BHP. Brakowało także wiedzy na temat BHP przy obsłudze spalinowych zespołów prądotwórczych, pojazdów mechanicznych a nawet pompowania kół pojazdu po wymianie opon. Dopiero strzelający w górę pierścieni felgi unaoczniał istnienie problemu. Instrukcje BHP na sprzęcie były bardzo asekuranckie „w razie awarii wyłączyć napięcie i przystąpić do naprawy”. W ten sposób można wymienić uszkodzony element mechaniczny, ale jak naprawić uszkodzenie sprzętu elektronicznego bez badania napięć? W razie porażenia prądem elektrycznym decydenci mieli sprawę prostą. W instrukcji BHP było napisane, a znajomość owej instrukcji kwitowało się własnoręcznym podpisem.

Podobno łączność jest nerwem armii. Jednak w naszym przypadku to armia nie zadbała o przynajmniej podstawowy zasób naszej wiedzy. Uważano, że absolwenci szkół łączności w zupełności wystarczą. Było jednak trochę inaczej. Stacje radiolokacyjne były często wyposażone dodatkowo w radiostacje R-109 lub R-105 w zależności od schematu łączności radiowej jednostki. Wielu techników miało z tym sprzętem kontakt po raz pierwszy w życiu. Ponieważ się na tym nie znali, traktowali go po macoszemu nie chcąc się nim zajmować. Podczas ćwiczeń okazywało się, że akumulatory są rozładowane a obsługa nie wie jak dostroić radiostację do podanej częstotliwości. O zasadach prowadzenia korespondencji radiowej wielu nie miało pojęcia. Kolejnym problem stanowiła sieć polowej łączności telefonicznej na lotniskach polowych, szczególnie, jeżeli była ona podłączona do łącznicy polowej. A potem były raporty u dowódców i niezmiennie pytania: „co obywatel zrobił, aby usprawnić łączność?” I stała odpowiedź: „powiadomiłem dowódcę plutonu telefonicznego i dowódcę kompanii łączności”. Przyjmujący raport najczęściej stwierdzali „za mało”, po czym następowała stosowna kara. Na sprzęcie radiotechnicznym były różnego typu polowe aparaty telefoniczne TAI-43MR (AP-48), TA-57 (rosyjskie), TAP-67 (bułgarski). Aparaty te zasilane były z różnych typów baterii. Z bateriami były zawsze kłopoty, ogniwa cynkowo-powietrzne S3 do TAI-43 lub polskiej wersji AP-48, wymagały ścięcia (zbiać) końca rurki doprowadzającej powietrze przed rozpoczęciem pracy. Kiedy przestawały dawać napięcie, można było je regenerować wlewając, przez otworek doprowadzający powietrze, odrobinę wody. Problem był z bateriami 10V do telefonów TA-57 (GB-10-U-1,3), zamiast nich wlotowywaliśmy małe baterie 9V (6F25C). Telefony TAP-67 zasilane były z walcowych akumulatorów 8NKN-450 o napięciu 9,6 V. Były one drogie, lubiły także tajemniczo „znikać” oraz wymagały pobrania ładowarki i ładowania zapasowego kompletu. Zamiast nich można było

stosować plastikowe adaptory, do których wkładało się 9V, baterię 6F22 i całość zastępowała w telefonie akumulatory. Ale o tych subtelnościach nie wszyscy wiedzieli, a w szkole o tym niestety nie mówiono. Widziałem w telefonach TAI-43 ogniwa z nieudroźnionym dopływem powietrza, bo obsługa nie wiedziała, że trzeba to zrobić. A były jeszcze polskie aparaty telefoniczne AP-82 na baterie R-20 lub takiego rozmiaru akumulatorki oraz telefony głośnomówiące Unitra Fonica Intervox 72 i TAG-1. O noktowizorach dla kierowców pojazdów (PNW-57A), aparaturze nawigacji lądowej czy też aparatach fotograficznych lepiej nie wspominać. Na niektórych stacjach radiolokacyjnych wykonywano dokumentację fotograficzną (RSP-5, RSP-7, RSP-10, MRL-1). Wielu techników nie bardzo miało pojęcie jak się tym sprzętem posługiwać. Oczywiście byli technicy, którzy potrafili sobie z problemami obsługi tych urządzeń poradzić. Jednak większość uważała, że ich to nie dotyczy, bo nie uczyli się o tym w szkole.

A może zamiast wkuwać skomplikowane wzory matematyczne przydatne bardzo, ale raczej konstruktorom, należałoby pokazać ten sprzęt kadetom i nauczyć jego obsługi. Wystarczyłoby przeprowadzić parę godzin zajęć z podstaw fotografowania, zasad eksploatacji noktowizorów i podstaw obsługi urządzeń nawigacji lądowej i problem byłby rozwiązany. Oczywiście znajomość urządzeń nawigacji lądowej i noktowizorów specjalnie nie była mi potrzebna w czasach pokoju, ale przecież byłem żołnierzem, a podczas działań mogło się zdarzyć, że zabraknie tych, co umieliby się posługiwać tymi urządzeniami.

Kolejnym problemem występującym masowo głównie podczas działań wojennych są pożary. W szkole nie było na ten temat wykładów i praktyczna wiedza każdego z nas zawierała się w obsłudze najczęściej spotykanej gaśnicy pianowej lub śniegowej. Co robić dalej po wyładowaniu gaśnic nikt nie wiedział a znajomość innego sprzętu gaśniczego np. popularnej motopompy M-800 „Polonia”, rodzajów węży pożarniczych czy też armatury wodnej była już zupełnie zerowa.

Prawdę powiedziawszy, wiele oddalonych wojskowych obiektów było bezbronnych w razie pożaru. Instrukcje ppoż. owszem były, ale niewiele z nich można było się nauczyć poza stereotypami typu: zachować spokój, powiadomić oficera dyżurnego i straż pożarną, dowodzić akcją do chwili ich przyjazdu.

Wszystko to prawda, ale gdy wkolo mojej stacji zapalił się las, nie myślałem o powiadamianiu nikogo będąc zajęty gaszeniem. Okazało się, że przydzielone na obiekt gaśnice śniegowe nie spełniają swojego zadania. Owszem, gasiły przez moment, potem wszystko paliło się, jak dawniej. Okazało się że najlepszym lekarstwem była łopata i piasek. Pożar udało się nam ugasić zanim nadjechała powiadomiona przez kogoś wojskowa straż pożarna. Potem pozostało pisanie meldunku o zaistniałej sytuacji, który był podstawą do wymiany gaśnic.

Na szczęście ani wojny ani masowych pożarów nie było. Jednak kadra szła do cywila i niejednokrotnie zajmowała jakieś tam stanowiska w Obronie Terytorialnej. A wiedza z zakresu obrony przeciwpożarowej byłaby tam, jak znalazł.

Podobnie było ze szkoleniem sanitarnym - niby coś mówiono o zakładaniu opatrunków, ale zajęcia te niewiele dały. Brakowało solidnego wykładu z pokazem na temat udzielania pierwszej pomocy oraz reanimacji i resuscytacji.

Szkolenie strzeleckie prowadzili z reguły dowódcy plutonów, którzy skończyli OSR niedawno przed nami i poziom ich wiedzy niewiele się różnił od naszego.

Przykładem były kompletnie niezrozumiałe wykłady na temat działania automatyki kbkAK i PW-33. Na dodatek zatwierdzone odgórnie tematy szkolenia ogniowego (strzeleckiego) były czasami wprost beznadziejne. Przekonałem się o tym sam realizując szkolenie strzeleckie.

Przykładowy temat dwugodzinnych zajęć lekcyjnych „Dane taktyczno-techniczne kbkAK”. Cóż więcej można powiedzieć, przez 90 minut lekcyjnych, o tych danych, które w instrukcji karabinka AK zamieszczone są na jednej stroniczce małego formatu.

Uczono nas ile waży karabinek z bagnetem, a ile sam bagnet, ile pocisk, a ile sam ładunek, a w końcu ile waży cały nabój.

Ale jak trafić w cel poruszający się z np. prędkością 30 km/h pod kątem 90°, tego już nam nie powiedziano. Słaba znajomość tabel strzeleckich cechowała niemal wszystkich żołnierzy służby zasadniczej przychodzących z ośrodków szkolenia.

Na pytanie: „co oznacza cyfra 1 na ramieniu celownika kbkAK” żołnierz absolwent ośrodka szkolenia służby UL w Grudziądzu, odpowiada: „do strzelania na 33 m”. Zdziwiony pytam: „skąd te 33 m?” Żołnierz odpowiada: „skoro na 100 m strzelamy z celownika 3 to z celownika 1 na 33 m”. Proste nieprawdaż? A co oznacza „S” na celowniku z reguły nikt już nie wiedział. O znajomości broni zespołowej czy też granatnikach lepiej nie wspominać. A przecież broń taka często znajdowała się na uzbrojeniu batalionów radiotechnicznych.

W początku lat siedemdziesiątych XX wieku istniały w batalionach radiotechnicznych nieetatowe drużyny OPL uzbrojone w 12,7 mm wielkokalibrowe karabiny DSzK.

Szkoda, że nie prowadzono zajęć strzeleckich tak jak np. szkolenie chemiczne czy też saperskie, które prowadzone były przez specjalistów. Saperskie przez ppłk. Tadeusza Makowskiego a chemiczne przez mjr. Mieczysława Kutasia. Byli to wykładowcy z wieloletnim doświadczeniem. Mieli swoje sale wykładowe wypełnione pomocami naukowymi i co najważniejsze umieli nauczyć. Saperskie tak mi zapadło do głowy, że sam zgłosiłem się do jego prowadzenia. Często prowadziłem zajęcia nt. min armii obcych, nie mając jednak żadnych pomocy naukowych, ani nawet rysunków owych min. W pozostałych tematach zajęć saperskich ogromnie przydatny był skrypt do szkolenia inżynierjno-saperskiego opracowany przez ówczesnego majora Tadeusza Makowskiego, który jakimś cudem udało mi się w szkole zdobyć.

Oczywiście strzelanie ze standardowej broni kbkAK oraz pistoletu PW-33 prowadzone było dość często, jednak warunki zawsze były te same. Dla kbkAK odległość 100 m celownik 3 punkt celowania pod tarczę. Dla pistoletu wojskowego odległość strzału 25 m ilość strzałów 3. Ciężko było wtedy zaliczyć takie strzelanie. Bo jak tylko jeden pocisk uciekł, to sytuacji nie ratowały nawet pozostałe dwie dziesiątki. Ilość strzałów zwiększono w późniejszych czasach do 5, co znacznie poprawiło jakość wykonywanych strzałów. Brakowało jednak innych rodzajów strzałów, z którymi stykaliśmy się podczas służby w jednostkach bojowych.

Zapaleńcy mogli trenować strzelanie w sekcji strzeleckiej, gdzie można było postrzelać z broni wyczynowej, karabinu MC-13, karabinu wyborowego Mosina 1891/30, pistoletów TOZ-35, MCM 22 Margolin a nawet z czeskich rewolwerów

kalibru 0,38 cala (9 mm) typu ZKR-590 „Grand” lub ZKR-551 nie wspominając o rosyjskich (MC-12 i MC-2 „Wostok”) lub czeskich (Brno 4) kbks-ach i wyczynowej broni pneumatycznej. W teŝe sekcji moŝna było zdobyć takŝe sportową odznakę strzelecką. Strzelania szkolne, a takŝe strzelania w sekcji strzeleckiej przygotowały mnie do dalszej słuŝby dobrze, nigdy nie miałem ze strzelaniem problemów, ale z teorią niestety słaubiutko. Trzeba było w jednostce mocno się podszkolić zanim zdało się egzamin ze znajomości broni. Takŝe do zajęć ze szkolenia strzeleckiego z żołnierzami musiałem się sam doksztalać, bo wiedza wyniesiona ze szkoły była zbyt ograniczona.

Język rosyjski podczas mojej nauki w TSCh wykładał pan Stanisław Citków. Do dzisiaj pamiętam techniczne teksty, które nazywaliśmy od tytułu pierwszej czytanki „Knopka na pultrie”. Myślałem, że język rosyjski, szczególnie techniczny, nie przyda mi się w przyszłej pracy. Do sprzętu UL-owskiego były przecieŝ wydane dokładne instrukcje w języku polskim. Niestety pomyliłem się, dostałem przydział pracy na pierwszą w Polsce stację radiolokacyjną MRL-1. No cóŝ, oznaczało to 20 tomów instrukcji w języku rosyjskim. Pierwszym zakupem był słownik techniczny rosyjsko-polski, i duża radość, że jest jakaś wiedza początkowa wyniesiona właśnie z zajęć pana Citkowa.

Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Podszkoliłem techniczny rosyjski do tego stopnia, że wysyłano mnie do rosyjskiej jednostki w Białogardzie, w celu załatwienia jakiś części zamiennych lub napisania protokołów reklamacyjnych na rosyjskiej maszynie do pisania. Tam zobaczyłem, że mam jeszcze duże problemy. Jeśli nie wiedziałem, jak coś się nazywa mówiłem sakramentalne „kak eto skazać po ruski” i słyszałem natychmiastową odpowiedź „skazi po polski”. Tym sposobem jakoś moŝna się było porozumieć.

Terenoznawstwo takŝe prowadzone było bardzo dobrze. Notatki z tego przedmiotu mam do dziś i były mi pomocne przy różnych egzaminach przeprowadzanych w ramach kontroli pułku. Niestety w bibliotece jednostki były tylko dwa egzemplarze podręcznika do terenoznawstwa i dopchać się do nich nie było moŝna. Pozostawał jedynie szkolny zeszyt z notatkami z tego przedmiotu. Czasami jednak pytania egzaminacyjne znacznie przewyŝszały zawartość moich notatek. Brakowało mi pomiarów w terenie przy pomocy tysięcznych i sposobów ich przeliczania na stopnie, podstaw obsługi urządzenia zaliczeniowej nawigacji lądowej i zasad topogeodezyjnego dowiązania, oraz solidnej praktyki w terenie z pracą na mapie i marszem na azymut.

Ogólnie wyniosłem ze szkoły dosyć znaczny zasób wiedzy teoretycznej. Niestety w niektórych dziedzinach niekompletny. Cóż, takie jest życie, które zmusza nas do samokształcenia w kaŝdej dziedzinie. Szkoła jednym słowem szkoliła wąskich specjalistów.

Ten był od obsługi SON-4, ten od Jawora, a tamten od POST-3M. Trochę lepiej było w specjalności radionawigacja, bo obejmowała ona poza radiolokatorami lądowania, radionamierniki, radiostacje prowadzące (radiolatarnie), nadajniki radiosygnalowe, pokładowe radiostacje łączności lotniczej, sprzęt nagrywający, a takŝe sprzęt elektronawigacyjny (elektroświatły) taki jak: polowe światła pasa startowego, latarnie lotniskowe, reflektory startowe. Jednak sprzętu elektronawigacyjnego w szkole nie było.

Stosunkowo krótka praktyka w OSSSUL w Grudziądzu i indywidualna praktyka na lotnisku niewiele dawała. Podczas tej praktyki ani razu nie udało się być przy rozwijaniu Łucza lub Świetłuszki. Za to bardzo często jeździłem, jako dowódca pojazdu rozwożącego posiłki do obiektów oddalonych. Brakowało grupowej praktyki na dobrze zaopatrzonym w sprzęt lotnisku np. w Powidzu, które było blisko i miało dużo sprzętu. A praktykę ową powinien był nadzorować wykładowca ze szkoły tak, jak w przypadku praktyki w Grudziądzu. Wówczas można byłoby uniknąć wykorzystywania nas do prac niezwiązanych z nauką.

Wykładowcy straszili nas etatami w plutonach elektroświetlnych. Niestety mieli rację. W porównaniu z pracą na stacji radiolokacyjnej był to ciężki i niewdzięczny kawałek chleba i gorzej płatny. Kadry tam pracującej nie przysługiwał dodatek za pracę w warunkach szkodliwych (mikrofalach). Znałem łącznościowców po TSch w Legnicy, którzy pełnili funkcje technika obsługi RSL-u lub byli dowódcami plutonu elektroświetlnego. W mojej wojskowej praktyce był okres, kiedy obok typowego sprzętu służby UL miałem na stanie połowę stację meteorologiczną PSM-2, połowę laboratorium fotograficzne Foton 2 i fotogrametryczne Foton 3, elektrownie oświetleniowe EO-1 i EO-4 oraz urządzenie do pomiaru dolnej granicy chmur IWO-2. A przecież nie byłem jedynym absolwentem szkoły, który otrzymywał sprzęt techniczny w nie swojej specjalności.

Dlatego też sądzę, że program szkolenia specjalistycznego powinien być bardziej uniwersalny. Czyli taki, który ułatwiałby obejmowanie rozmaitych stanowisk technicznych w korpusie wojsk radiotechnicznych i nie tylko.

Reasumując brakowało mi wiadomości o materiałach eksploatacyjnych, o zasadach ich pobierania i zużywania, o legalizacji sprzętu pomiarowego także nieelektrycznego oraz sprzętu ppoż, sprzętu ochronnego BHP (rękawice i chodniki dielektryczne). Brakowało także wiadomości o materiałach i zasadach konserwacji sprzętu samochodowego i radiotechnicznego.

A także tak banalnych rzeczy jak obsługa magnetofonów: taśmowego MAK-S i drutowego MN-61.

Brakowało też wiedzy z dziedziny energetyki (urządzenia zasilające, zabezpieczenia, bezpieczniki, styczniki, regulatory i stabilizatory napięcia itp.), elektrotechniki i maszyn elektrycznych (silniki dwufazowe, transformatory obrotowe, transduktory, indukcyjności), radiotechniki (półprzewodniki, falowniki, układy telesterowania i telesygnalizacji), techniki oświetleniowej, rodzaje trzonek żarówek i ich oznaczenia, zamienniki żarówek produkcji ZSRR, czy też praktycznych sposobów, jak z żarówki z trzonkiem typu „B” zrobić żarówkę z trzonkiem typu „P”.

W urządzeniu Łucz do lamp OWPP stosowano żarówki z trzonkiem „P”, czyli na trzonku typu „B” umieszczona była specjalna tarcza (kołnier) umożliwiająca dokładne ustawienie żarnika żarówki w osi optycznej lampy. Na wypadek wojennych problemów z zaopatrzeniem, w częściach zapasowych były same kołnierze, które można było wlotowywać na trzonkach zwykłych żarówek samochodowych. Przy braku oryginalnych żarówek powszechną praktyką było lutowanie kołnierzy robione na oko bez specjalnych szablonów, o precyzji tych wyrobów lepiej nie wspominać. Przy wielkiej różnorodności typów żarówek w WP taka wiedza ułatwiałaby znacznie eksploatację sprzętu. Przykładowo na stacji

radiolokacyjnej MRŁ-1 było około 40 typów żarówek wliczając w to żarówki stosowane w pojazdach.

Brakowało także podstawowej wiedzy z zakresu polowej łączności telefonicznej i radiowej oraz zasad prowadzenia korespondencji radiowej.

Ogólnie uważam, że poziom wiedzy wyniesionej z jeleniogórskiej szkoły zarówno specjalistyczny jak i ogólnowojskowy, a także kondycja fizyczna wyróżniała pozytywnie absolwentów TSCh w Jeleniej Górze wśród absolwentów innych szkół chorążych.

Uważam też, że pomysł utworzenia technicznego korpusu chorążych był bardzo dobry. Oficerowie radiotechnicy mogli otrzymać na sprzęcie najczęściej etat porucznika, rzadziej kapitana i sporadycznie majora. Więc po wysłużeniu kilku lat i otrzymaniu etatowego stopnia rozglądali się za nowym etatem, by dalej awansować. Bardzo często otrzymywali etat zupełnie niezwiązany ze sprzętem czy też radiotechniką. Tym sposobem wiedza, którą nabyli marnowała się. Tymczasem chorąży na swoim etacie technicznym mógł pozostawać przez cały okres zawodowej służby, co powodowało, że świetnie znał swój sprzęt.

Oczywiście jak zwykle z czasem zaczęło się majstrowanie przy korpusie, co spowodowało, że rozrósł się wchłaniając część awansowanych podoficerów zawodowych. Tych awansowano nawet z pominięciem stopnia młodszego chorążego, (jeżeli był starszym sierżantem). Kryterium tych awansów było posiadanie średniego wykształcenia, często bez egzaminu maturalnego, oraz ukończenie kursu chorążych. Jednak, tak awansowani ludzie z reguły nie chcieli pracować na sprzęcie. Wielu zresztą jawnie mówiło, że na kurs idą tylko po stopień. Znany mi był przypadek awansowania szefa kompanii, który mógł się poszczycić 4 klasami szkoły powszechnej (według przedwojennej ustawy oświatowej z 1932 roku) i żadnego kursu chorążych nie kończył. Także ze szkoły przychodziło coraz więcej absolwentów, którzy nie bardzo chcieli pracować na sprzęcie zadowolając się etatami dowódców plutonów lub szefów kompanii.

W końcu powstawały nowe szkoły chorążych, które w programie szkolenia już nie miały techniki.

Powodowało to zanik „*esprit de corps*” \* dawnego technicznego korpusu chorążych.

---

\* „*esprit de corps*” - z j. francuskiego *duch koleżeństwa; poczucie solidarności, wspólnoty*



## **Moje wspomnienia z Jeleniej Góry**

### **Okres OSR**

Miałem prawie 15 lat, gdy zmarł mój dziadek Wojciech. Była bardzo sroga zima, luty 1960 roku. Na pogrzebie dziadka był mój wujek Tadeusz Krzemień – wówczas w stopniu majora, artylerzysta z jednostki stacjonującej gdzieś w okolicach Głogowa. Zaimponował mi swoją skromną postawą, zachowaniem, wyglądem; jednym słowem byłem pod jego urokiem. W 1963 r. byłem już w klasie maturalnej 5 letniego Technikum Energetycznego w Sosnowcu, wówczas odwiedził naszą szkołę i spotkał się z maturzystami (trzy klasy) podchorąży I roku OSR w Jeleniej Górze Jan Kowalczyk. Wojsko werboowało wtedy na bardzo szeroką skalę młodych ludzi w swoje szeregi. W tym konkretnym przypadku Jasio Kowalczyk prowadził akcję werbunkową na terenie swego rodzinnego miasta. Tu bowiem urodził się i skończył Technikum Mechaniczno-Hutnicze.

Najkrócej mówiąc – podjąłem decyzję. W kwietniu 1963 roku skończyłem 18 lat, w maju zdałem maturę a już we wrześniu jechałem na egzamin wstępny do Jeleniej Góry. Byliśmy zakwaterowani w starej hali sportowej. Nie pamiętam, co obejmował egzamin w całości, ale do końca życia pozostanie mi w pamięci bieg na 1000 m na szkolnym stadionie. Odbyłem ten bieg w półbutach na kauczukowej podeszwie i ... przez kilka najbliższych dni chodzenie sprawiało mi ogromne trudności (naciągnąłem ścięgna Achillesa).

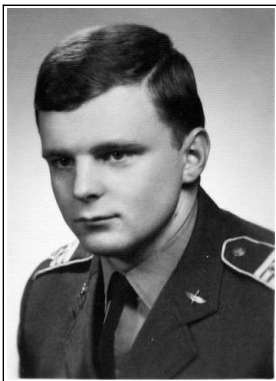
Zostałem przyjęty na kurs dwuletni – ostatni tak organizowany. Zmierzałyśmy więc do promocji w 1965 roku razem ze wspomnianym wcześniej Jasiem Kowalczykiem i Wojtkiem Majerem – również sosnowiczanie. Oni byli na kursie trzyletnim w batalionie mjr. Grabskiego. Ja natomiast służyłem w 2 kompanii kpt. Stanisława Morzyca, w batalionie, którym dowodził mjr Edward Rodzik, ksywa „baleron” („ja by chciały co by wy by...”).

W naszej kompanii było pięć plutonów, każdy o innym profilu:

- 21 pluton – OPL; kpt. Feliks Trawiński, pchor. Jacek Kromolicki – pom. dcy plut.
- 22 pluton – art. raketowa; ppor. Jan Kochan, pchor. Jerzy Darczuk – pom. dcy plut.
- 23 pluton – WRT; por. Leon Korzeniowski, pchor. Wojciech Bonczek – pom. dcy plut.
- 24 pluton – p.dział. r/elekt.; kpt. Goleń, pchor. Hubert Mordawski – pom. dcy plut.
- 25 pluton – meteo; por. Stanisław Flatau, pchor. Jan Turski – pom. dcy plut.

Szefem kompanii został kolega Pilarz („mom, nie dom, stary nie kozoł” – czytaj: mam, nie dam, stary nie kazał).

Kpt. Stanisław Morzyc („Papa”) był dcą kompanii pełne dwa lata. Spośród dowódców plutonów najszybciej odszedł por. Leon Korzeniowski. Na pożegnanie spyaliśmy go o adres. Odpowiedział nam: „piszcie Łódź, Korzeniowski, wszyscy mnie tam znają”. Odszedł bowiem do Studium Wojskowego WAM w Łodzi (tak nam powiedział). Od tej pory nasz 23 pluton miał pod swą opieką kpt. Feliks Trawiński („Felek”). Był stosunkowo drobnej postury, jeździł „Junakiem”, w kasku na tym ciężkim motocyklu wyglądał... potężnie. Tuż przed promocją stojąc przed 21 plutonem powiedział: „jak żegnałem waszych poprzedników to dostałem tą aksówkę (czytaj aktówkę – teczkę) i ten zegarek, ale on już tak chu... chodzi. No, wiecie...” Słynny zwrot kpt. Golenia do podchorążego trzymającego ręce na pośladkach: „nie trzymać tak rąk, bo wam się zaśmierdzą”. Ppor. Kochan miał ksywę „Muł” – bez komentarza.



*plut. pchor. Wojciech Bonczek*

Do przysięgi dowódcami drużyn i pomocnikami dowódców plutonów byli podoficerowie z PSZ w Elblągu. Odbywali oni praktykę dowódczą, byli znakomicie przygotowani do swojej roli. Imponowali praktyczną znajomością regulaminów wojskowych i sprawnością fizyczną. Zostali również bardzo dobrze przygotowani do obsługi sprzętu radiolokacyjnego. W moim 23 plutonie tacy żołnierze, jak Chmiel, Bąk czy Bąkowski byli tego potwierdzeniem.

Czas pobytu mieliśmy zagospodarowany całkowicie. Program szkolenia nie pozostawiał luk na czas wolny, a niedziele i święta wypełnione były imprezami o charakterze masowym. I we wszystkim szła współzawodnictwa, koszmar. Wielokrotnie więc przyszło nam zdobywać „Monte Cassino”, biegać w różnych warunkach atmosferycznych, by hart ducha podnosić, czy też startować w określonych konkurencjach, jak np. podnoszenie ciężarów. „A wi będziecie startować w ciężarach”, wskazał kpt. Morzyc na mnie (miałem posturę ciężarowca wg niego). Ale ja nigdy tego nie robiłem, odpowiedziałem. A na to mój przełożony: „to do mnie macie pretensje? Do matki miejcie !!!” Startowałem ale... z marnym skutkiem.

Po powrocie podchorążych z pierwszego urlopu (styczeń 1964 r.) batalionem wstrząsnęła afera z sierż. pchor. Kowalskim. Okazało się bowiem, iż udało mu się zmylić czujność systemu i na urlop wyjechał z pistoletem TT wz. 33 (oczywiście nielegalnie). Za to przewinienie był rozpatrywany najpierw partyjnie. Zapamiętane przeze mnie zebranie organizacji batalionowej odbywało się w sali kina „Śnieżka”. Prowadził je etatowy sekretarz batalionowy mjr Wójcik (chyba Zygmunt) – ksywa „widmo komunizmu” (był bardzo szczupły). Na pytanie prowadzącego co zrobić z pchor. Kowalskim, wstał siedzący na prawym skrzydle pierwszego rzędu kpt. Jan Lipka – dca plut. Z 13 komp. i krótko powiedział: cytuję „towarzysze, sprawa jasna, wypier.....!”

Nie pomnę jakimi konsekwencjami partyjnymi i służbowymi skończyła się afera ale zapamiętałem znakomicie tegoż kapitana. Tego samego roku w październiku (10-24) odbywała się olimpiada w Tokio. Kroniki olimpijskie transmitowano wieczorem. Zbieraliśmy się w piżamach w świetlicy 13 kompanii – mieliśmy nowego odbiornik „Szeherazada” w nagrodę za największą ilość oddanej honorowo krwi (w ramach cytowanego współzawodnictwa). Było już po capstrzyku. W skupieniu śledzimy zmagania Polaków w Tokio. Nagle z tyłu pada komenda kpt. Lipki (był tzw. oficerem kontrolnym): „Wyłączyć ten telewizor”. Brak reakcji jakiegokolwiek ze strony podchorążych. Co jednak każdy z nas oglądających wówczas myślał nie trudno zgadnąć. Kpt. Lipka wydał więc komendę indywidualną: „pchor. Wierzba – wyłączcie ten telewizor!” I tu Stefan Wierzba zaskoczył nas wszystkich refleksem odpowiadając: „Obywatelu kapitanie to jest nowy telewizor i nie wiem jak się go wyłączyć”. Salwa siarczystego śmiechu zebranych i odpowiedź kapitana: „ja wam pokażę, jak to się robi” – podszedł do odbiornika i... wyciągnął wtyczkę z gniazdka sieciowego. Było po kronice.



*pchor. Roman Fituch i Wojciech Bonczek (za budynkiem 2 komp.)*

Mieliśmy znakomitych wykładowców zarówno w cyklu sprzętu (Dyrekcja Nauk), jak i w cyklu przedmiotów społeczno-politycznych. Moim skromnym zdaniem, jednak z wyjątkiem Pani lektor języków obcych tzw. „Babci” (nazwiska niestety nie pamiętam). Szkoła wówczas nauczała języka rosyjskiego, angielskiego i niemieckiego. Z perspektywy lat widać, jak mądra to była decyzja.



*pchor. Mieczysław Sypko, Zbigniew Hempel i Wojciech Bonczek (na ławeczce przed budynkiem 2 kompanii)*

Nasz 23 pluton miał właśnie z „Babcią” język niemiecki. Pamiętam pierwszą lekcję, która odbyła się tuż po zabójstwie prezydenta J. F. Kennedyego (22.11.1963 r.). „Babcia” przyniosła niemieckojęzyczny dziennik (tytułu nie pamiętam) i po kolei mieliśmy czytać fragmenty tekstu o tej amerykańskiej tragedii. Kilku kolegów w naszym plutonie znało język niemiecki (Górak, Milczarek, Taraszcuk, Kotala) ale zdecydowana większość niestety nie. „Babcia”, jak się później okazało, nie zdawała sobie sprawy, iż to jest pierwsza jej lekcja tego języka.

Na początku każdej lekcji składałem meldunek w języku niemieckim oczywiście i nisko się kłaniałem. Nigdy nie dojechałem do końca meldunku i szybko siadałem na swoim miejscu, a „Babcia” pastwiła się nad swoimi „studentami” (tak się do nas oficjalnie zwracała). Ale raz zrobiłem psikusa – na tablicy napisałem po rosyjsku Lekcja nr... a po wejściu „Babci” złożyłem meldunek też po rosyjsku. Efekt – cała lekcja była lekcją rosyjskiego.



*pchor. Stanisław Kuc, Kazimierz Slipko, Józef Dziechciarz, Wojciech Bonczek i Henryk Osikowski (za budynkiem 2 kompanii)*

Więcej takich kawałów nie robiłem. Ale pewnego razu „przeięliśmy” nie przewidując skutków. Opiekujący się dziennikiem Romek Mróz, wpisał któremuś z nas ocenę z odpowiedzi. „Babcia” to wykapowała i zrobiła się straszna afera. W rozwiązaniu konfliktu zaangażował się sam ppłk Walerian Rzemieński, który w męskiej rozmowie z nami wspomniął wcześniejsze tego typu zdarzenia w Szkole z „Babcią”. Zaproponował, aby jeden z nas po prostu przyznał się do sprawstwa czynu a resztę on bierze na siebie. Sprawa zakończyła się „happy end”-em, bo honor... to honor. Tak nawiasem mówiąc Romek Mróz nadal uczestniczył w zajęciach a jedynie kto inny podawał dziennik. „Babcia” tylko co jakiś czas pytała: jak student Lerós (tak nazywała Mroza) cierpi w tym areszcie? Na każde spotkanie z „Babcią” wymyślałem więc eskalujące opowieści o jego cierpieniach. Do odpowiedzi z reguły wychodziło tylko kilku z nas, zabierając jedynie notatki wskazanego do odpowiedzi „studenta”.

Nie miałem głowy do języków. Bardzo lubiłem rosyjski. Jak na ironię losu, brak znajomości niemieckiego lub angielskiego uniemożliwił mi później awans w spółce z kapitałem zagranicznym.

Wspominałem wcześniej, iż szkoła miała świetnych wykładowców, przez legendarnego komendanta pułkownika Wacława Kazimierskiego dopingowanych do podnoszenia kwalifikacji. Nie miałem jednak szczęścia do bezpośredniego spotkania z tym Człowiekiem, którego społeczność szkoły niezwykle szanowała. Ten niekwestionowany autorytet czuło się na każdym kroku.



*pchor. Wojciech Bonczek, Zdzisław Gontarz, Stanisław Śwaracki, Stanisław Kuc, Jan Sikora i Tadeusz Zyzński (podczas wędrowki na „Perłę Zachodu”)*

Ale Jelenia Góra to dla mnie również nauka pływania. O tym, że kiedykolwiek będę musiał przepłynąć 15 m w umundurowaniu (na starym basenie) nawet mi się nie śniło. Staram się dziś, co najmniej raz w tygodniu, rozkoszować w wodzie w jakże odmiennych warunkach.

Brakło mi podczas tego 2-letniego pobytu w OSR ukoronowania szkolenia samochodowego „prawem jazdy”. Szkolenie zarówno teoretyczne jak i praktyczne było prowadzone na bardzo wysokim poziomie. Szkoda... zrobiliśmy to „prawko” już w jednostkach.



*pchor. Zdzisław Gontarz, Wojciech Bonczek, Tadeusz Zyzanski, Stanisław Kuc, Jan Sikora i Marian Kukulka (ten most wszyscy znają)*

Jelenia Góra to również zamięłowanie do długich spacerów a także wspinaczki górskiej.

Nigdy wcześniej nie oddawałem honorowo krwi i to w dodatku w ramach współzawodnictwa.



*Podchorążowie w czasie obchodów 1- majowego święta. Pierwszy z lewej Andrzej Kołodziejczyk (prymus), z prawej Hubert Mordawski, pośrodku Jan Turski*

Kiedy kończyłem szkołę w 1965 roku już wówczas mówiło się o staraniach władz szkoły, aby stała się wyższą uczelnią. Miała to być filia WAT-u.



*Obiad po uroczystej promocji – Roman Górak i Wojciech Bonczek wspólnie ze swoimi Ojcami*

Zrządzeniem losu w 1970 roku zostałem dowódcą kompanii radiotechnicznej w Pastewniku k/Bolkowa. Przez dwa lata byłem tylko 20 km od mojej Szkoły, a pododdział pozostawał na jej zaopatrzeniu kwatermistrzowskim.

## Okres WOSR



*kpt. Wojciech Bonczek*

Moja druga dłuższa styczność ze szkołą „pod jeleniami” miała miejsce w latach 1974-1977. Trzeba było podnieść swoje kwalifikacje – już w ramach WOSR. Komendantem był gen. Julian Paździor. Nie ukrywam, że był to dla mnie dość ciężki kawałek chleba. Nie dość, że w trybie zaocznym, to jak pamiętam: żadnej taryfy ulgowej ze strony kadry dydaktycznej. Trzeba było dzielić czas pomiędzy odpowiedzialnymi obowiązkami służbowymi a nauką (o obowiązkach rodzinnych nie wspominając). Skończyło się wszystko szczęśliwie. Z tego okresu wspominam długie spacery, jakie dla relaksu odbywaliśmy z Jasiem Sitko po jeleniogórskich zakątkach. Te nasze wędrowki kończyliśmy z reguły w MPiK-u na herbatce z ciastkiem. To jakby na deser po spotkaniach z dr. Edwardem Głodkiem, który wodził nas po arkanach królowej nauk (matematyki).



*pplk Wojciech Bonczek*

Trzeci dłuższy kontakt z uczelnią miałem w 1984 roku na półrocznym kursie w cyklu ZSD. Komendantem był gen. Tadeusz Jemioło (nie jestem pewny?). Urządzenie „DUNAJEC” mieliśmy już w jednostkach a praktyczna obsługa nie nastęrczała trudności. Z perspektywy czasu uważam, że szkolenie można było zrealizować w ciągu trzech miesięcy. Ponieważ jednak było to również WKDO musiało ono trwać sześć miesięcy. Większość uczestników tego kursu posiadało studia II stopnia. Ja od dwóch lat byłem dowódcą 33 brt w Radzionkowie. Razem z Romkiem Subikiem, dowódcą 36 brt w Krakowie byliśmy już podpułkownikami. Krótko mówiąc: ten kurs trwał po prostu za długo. Ponieważ całej grupie zależało na efektach szkolenia pobyt zaliczam do bardzo udanych. Wszyscy byliśmy pod wrażeniem rozwoju naszej Szkoły, w każdym tego słowa znaczeniu.

## Okres CSR

Ostatni raz w Jeleniej Górze byłem na 50-leciu Wojsk Radiotechnicznych organizowanym przez moich wspaniałych Kolegów: urzędującego szefa WRT gen. Józefa Dziechciarza i gen. Bronisława Peikerta – komendanta Szkoły. Podziwiałem (już jako cywil od 1989 r.) znakomitą organizację imprezy, osiągnięcia Szkoły w rozwoju bazy szkoleniowej i wspaniałą atmosferę. Wracaliśmy z tego jubileuszu w fantastycznych humorach – dumni z osiągnięć radiotechnicznej braci.



*Wojciech Bonczek podczas promocji książki*

Nigdy nie byłem w Koszalinie, ale jakoś trudno pogodzić mi się z faktem, że właśnie tam a nie w Jeleniej Górze mieści się dziś główny ośrodek szkolenia Sił Powietrznych.

Jestem pełen podziwu dla dokonań określonej grupy osób, która utworzyła RADAR i kultywuje w granicach statutowych możliwości pamięć o świetnych dokonaniach i tradycjach naszej zasłużonej dla Sił Zbrojnych jeleniogórskiej uczelni.

## **Tragedia w Białym Jarze**

To była największa tragedia w historii turystyki górskiej w Europie. Pod zwalami śniegu w Karkonoszach, w kotle Białego Jaru 20 marca 1968 roku zginęło 19 turystów z ZSRR, NRD i Polski.

Już 41 lat upłynęło od tamtego dramatycznego dnia, a pamięć starszych jeleniogórczan o tym zdarzeniu jest ciągle żywa. Niestety tylko nieliczne osoby, które uczestniczyły wówczas w akcji ratowniczej żyją do dzisiaj. Wśród nich są ppłk w st. spocz. Andrzej Musiał - członek Stowarzyszenia RADAR oraz ratownik GOPR Stanisław Jawor. Warto więc skorzystać z ich wiedzy na temat tej tragedii. Ku przestrodze niesfornych turystów, których magia gór przyciąga w to miejsce.

### **Jak doszło do dramatu?**

Druga połowa marca 1968 r. zaczęła się od obfitych opadów śniegu wspomina Stanisław Jawor. Na północnych zboczach Karkonoszy utworzyły się olbrzymie zasy i nawisy śnieżne. GOPR ostrzegał przed niebezpieczeństwem lawin. Ratownicy GOPR wydzwaniali rano do dyrekcji FWP w Karpaczu i ostrzegali przed prowadzeniem wycieczek w tereny szczególnie zagrożone. Na trasach turystycznych pojawiły się tablice ostrzegawcze informujące o zagrożeniu lawinowym.

W tych czasie do Karpacza przyjechała grupa radzieckich turystów w ramach polsko-radzieckiej wymiany młodzieżowej. Zamieszkali w budynku Juventuru. Byli to studenci Instytutu Górnictwa z Kujbyszewa. Program pobytu takich grup niezależnie od pory roku i ekwipunku uczestników był zawsze taki sam. Najpierw Warszawa, potem Kraków, Oświęcim, Wieliczka i Karkonosze (lub Tatry). Jeżeli przybywali do Karpacza, to po zwiedzeniu miasteczka i wycieczce autokarowej po Kotlinie Jeleniogórskiej główną atrakcją dla uczestników było wejście na Śnieżkę (1602 m n.p.m.).

Tego feralnego dnia po śniadaniu grupa ta ruszyła w kierunku dolnej stacji Kolejki Linowej na Kopę. Prowadził ich polski pilot wycieczek z Warszawy. Jak wynika z relacji Andrzeja Brzezińskiego, pracującego wówczas w karpackim Juventurze ubiór uczestników wycieczki budził spore zastrzeżenia: „dziewczyny poszły w szpilkach, a chłopcy w półbutach”.

Po dojściu do wyciągu okazało się, że z powodu silnego wiatru jest on nieczynny.

Wówczas pilot wycieczki ulegając presji młodzieży, której kończył się już pobyt w Polsce zdecydował się poprowadzić grupę na Śnieżkę najkrótszą drogą czyli przez Biały Jar. Dołączyli do nich Polacy i Niemcy, korzystając z możliwości wejścia na Śnieżkę w zwartej 22. osobowej grupie z polskim przewodnikiem. Około godziny 11.10 ta międzynarodowa zbiorowość dotarła do kotła Białego Jaru. Wówczas jeden z turystów (obywatel NRD) odłączył się od reszty i poszedł „za



potrzebą” w krzaki.

Tam, jak później zeznał, szczęśliwie dla niego, zaplątały mu się troki od kalesonów. Walczył z nimi jakiś czas.

W pewnym momencie z górnych krawędzi Białego Jaru zeszła lawina, zabierając wszystkich turystów, w tym żonę i córkę tego Niemca. Tylko do niego nie dotarła. Działając w szoku, dobiegł do dolnej stacji wyciągu i zaalarmował obsługę. Była godzina 11.30. Kierownik wyciągu Zbigniew Pawłowski uruchomił wyciąg i zorganizował ekipę ratowniczą, która z łopatami w rękach wjechała na Kopę. W skład tej grupy weszli: Ryszard Jaśko, Józef Kobec, Ryszard Chojnacki, Zbigniew Pawłowski oraz kilku ratowników-ochotników GOPR. Zespół ten oraz pracownicy górnej stacji kolejki linowej, po około 30 minutach znaleźli się na lawinisku. Tam już byli pracownicy schronisk ”Strzecha Akademicka” - Jerzy Janiszewski i „Samotnia” - Waldemar Siemaszko. Niezwłocznie przystąpiono do akcji ratowniczej, którą kierował ten, który miał największe doświadczenie w tego rodzaju akcjach, czyli Waldemar Siemaszko. Pan Waldemar przed objęciem funkcji kierownika Samotni, przez wiele lat pracował w GOPR jako ratownik zawodowy. To dzięki tej pierwszej grupie ratowników udało się wydobyć spod śniegu dwie żywe osoby i przewieźć je do szpitala w Cieplicach. Niestety o godzinie 11.50 ratownicy odnaleźli pierwszą ofiarę tragedii. Był nią Bolesław Karolewski, a o 12.20 kolejną - obywatela ZSRR Władimira Bondarenkę. Po ponad pięciu godzinach dalszych poszukiwań odnaleziono zwłoki pierwszej kobiety Raisy Bierkowej. Łącznie w pierwszym dniu akcji ratunkowej wydobyto zwłoki 10 osób.

W czasie kiedy informacja o lawinie dotarła do dolnej stacji wyciągu, patrol WOP powiadomił o niej dowódcę Strażnicy pod Śnieżką kpt. Romana Piątkowskiego, ten zaś telefonicznie zaalarmował Stację Centralną GOPR w Jeleniej Górze oraz czechosłowacką Horską Służbę. Ratownicy czescy przybyli na lawinisko skuterem śnieżnym około godziny 13.00 przywoząc z sobą dwa psy wyszkolone w szukaniu ludzi pod zwałami śniegu.

Natomiast naczelnik stacji GOPR w Jeleniej Górze Stanisław Kiezuń wraz ze swoim zastępcą Wiesławem Marcinkowskim załadowali na jedyny będący w ich dyspozycji samochód terenowy: łopaty, piły, sondy lawinowe, pochodnie oraz środki opatrunkowe i pojechali do Karpacza. Wcześniej powiadomili o tragedii władze miasta i powiatu. Na miejsce tragedii przybył kierownik Powiatowego Komitetu Kultury Fizycznej i Turystyki Stanisław Bialikiewicz oraz kierownik Powiatowego Wydziału Gospodarki Wodnej i Ochrony Powietrza Bogusław Mielczarek.

Powołano sztab kryzysowy, na którego czele stanął Stanisław Bialikiewicz. Zdecydowano się zwrócić o pomoc do wojska.

Wojsko z „koszar pod jeleniami” dotarło na lawinisko w godzinach popołudniowych. Dowodził nimi ppor. Andrzej Musiał. Wyposażeni byli tylko w łopatki saperskie, podobnie jak i żołnierze OTK z Lwówka Śląskiego. Przyjechała Straż Pożarna, jak do pożaru - z toporkami i innym sprzętem gaśniczym. Kiedy sztab kryzysowy rozpoczął koordynację akcji ratowniczej, pod wyciągiem stało już kilka karet pogotowia z Kowar z pełną obsługą medyczną. Na lawinisku natomiast ster akcji przejął Stanisław Kiezuń. To on kazał podzielić żołnierzy na drużyny do kopania poprzecznych rowów o głębokości 3 metrów.



Do tych rowów wchodzili ratownicy z sondami lawinowymi. Pierwszy dzień akcji zakończył się około 4-tej nad ranem. Kiedy zrobiło się ciemno, pracowano przy świetle pochodni. Stale liczone, że może ktoś przeżył, chociaż urazy widoczne na wydobytych ciałach, sugerowały, że ludzie pod lawiną zginęli natychmiast.

Na drugi dzień przywieziono z piechowickiej „Karelmy”<sup>\*</sup> agregat prądotwórczy oraz reflektory.

Wojsko z pułku OPL z Jeleniej Góry przywiozło działko bezodrzutowe, którym próbowano odstrzelić nawis śnieżny zagrażający zejściem kolejnej lawiny. Postawiono też w lesie na wysokości czoła lawiny wojskowy namiot i zorganizowano punkt żywnościowy z ciepłymi posiłkami. W tym dniu wydobyto spod śniegu tylko jedno ciało, a na trzeci dzień – pięć. Czwartego dnia trwania akcji wydobyto kolejną – siedemnastą ofiarę tragedii, a ostatnie dwie dopiero 1 i 5 kwietnia.

Jak wspomina Stanisław Jawor: „Wydobywanie ciał było niezwykle trudne. Zwłoki leżały przeważnie głęboko pod śniegiem na dnie lawiniska, wpłątane w konary wyrwanych z korzeniami drzew. Po wysondowaniu miejsca położenia zwłok, trzeba było się do nich dostać, kopiąc wąskie jamy. Bywało tak, że aby wydobyć ciało, trzeba było najpierw odciąć piłą gałęzie, w które zwłoki były wpłątane. Miejsca było mało, pracowało się więc samym brzeszczotem”.

---

<sup>\*</sup>Karkonoskie Zakłady Maszyn Elektrycznych Karelma S.A.



### **Bilans tragedii !**

Dzięki notatkom Waldemara Siemaszko wiemy, że lawina która zeszła w Białym Jarze 20 marca 1968 roku miała 750 m długości i do 80 m szerokości. Średnia grubość lawiny wynosiła około 5 m a w czole 24 m. Na tej powierzchni zaległo ponad 50 tysięcy ton zlodowaciałego śniegu, który trzeba było przeszukać, by znaleźć pod nim zaginionych turystów.

Bilans katastrofy był porażający. Zginęło w lawinie 19 osób:

- 12 obywateli ZSRR;
- 4 obywateli NRD;
- 3 Polaków

Dwie osoby zostały wydobyte spod lawiniska żywe.

Takiej tragedii nie odnotowano do tej pory w całej Europie. W miejscu gdzie zginęli turyści postawiono pomnik upamiętniający ofiary tragedii. Zbudowano go z potężnych granitowych bloków. Niestety po tym pomniku w chwili obecnej nie ma nawet śladu. Kolejna potężna lawina zmiotła go z powierzchni ziemi.



*Odstłonięcie pomnika*

### **Podsumowanie akcji ratowniczej**

W akcji ratowniczej w Białym Jarze uczestniczyło kilkudziesięciu ratowników GOPR, strażaków i milicjantów, kilkuset żołnierzy z Oficerskiej Szkoły Radiotechnicznej<sup>(\*)</sup> w Jeleniej Górze i jednostki OTK z Lwówka Śląskiego, pracownicy ZBM z Karpacza, schronisk górskich i kolei linowej. Wszyscy pracowali ofiarnie i z wielką determinacją. Akcją kierowali doświadczeni ratownicy górscy. Dlaczego więc końcowy bilans okazał się tak tragiczny ?

W walce z żywiołem pierwszorzędą rolę odgrywa czas dotarcia na miejsce akcji i wyposażenie ekip ratowniczych. Grupa Sudecka GOPR dysponowała wówczas skromnym wyposażeniem ratunkowym. Cóż to był za sprzęt? Zaledwie 20 sond lawinowych, kilkanaście łopat i jeden samochód terenowy. O skuterach śnieżnych czy śmigłowcu ratowniczym można było wówczas tylko pomarzyć. W tym czasie w Polsce nie było ani jednego psa wytresowanego w poszukiwaniu ludzi pod zwałami śniegu. Dziś pod tym względem jest znacznie lepiej, ale i tak

---

<sup>(\*)</sup> W akcji brało udział ok. 500 żołnierzy szkoły. Wśród kadry wyróżnili się: mjr Bajgier, kapitanowie: Mateja, Łaguz, Świerk, Flatau, Trawiński, podporucznicy: Janociński, Kluczyński, Musiał, Pawliczko, Syczuk, Hempel oraz podoficerowie Wojciechowski, Wawrzyński. (Biuletyn Jubileuszowy WOSR).

śmigłowiec ratowniczy w służbie GOPR pozostaje w sferze marzeń. Dzięki współpracy jeleniogórskiego GOPR z 25 Brygadą Kawalerii Powietrznej z Tomaszowa Mazowieckiego już od dwóch lat w sezonie zimowym do dyspozycji ratowników górskich jest wojskowy „Sokół”. Odbywają się wspólne ćwiczenia w górach komandosów i goprowców. Pomimo tego w Karkonoszach ludzie nadal giną. Żywiol górski jest ciągle od nas silniejszy.



*„Sokół” o jakim marzą karkonoscy goprowcy*





## Wspomnienia pplk. w st. spocz. mgr. Andrzeja Musiała

Będąc młodym oficerem, rok po promocji, skierowany zostałem do służby w charakterze dowódcy 93 plutonu w Szkole Młodszych Specjalistów WRt przy Oficerskiej Szkole Radiotechnicznej w Jeleniej Górze. W dniu 20 marca 1968 r. pełniłem dyżur popołudniowy w batalionie. O godzinie 16.00 dostałem polecenie ogłoszenia alarmu dla dwóch pododdziałów tj. dla 7 i 9 kompanii. Ubrani w mundury zimowe moro, czapki futrzane i wyposażeni w łopatki saperskie udaliśmy się pod bramę główną „Pod jeleniami” gdzie czekały na nas autokary PKS. Nimi pojechaliliśmy do Karpacza pod dolną stację kolei linowej. Tu widziałem liczne karetki pogotowia oraz ułożone worki.



Kierujący Sztabem Kryzysowym poinformował mnie o tragedii jaka wydarzyła się w Białym Jarze i polecił „docieplić gazetami” moich żołnierzy, z którymi pomimo silnego wiatru, mam wjechać wyciągiem krzeselkowym na Kope i udać się na lawinisko. Gazety wkładano w spodnie i pod bluzy, żeby chronić ciało przed wyziębieniem w górze na krzeselku podczas jazdy wyciągiem.

Po przybyciu na lawinisko współpracowałem z kierującym akcją ratowniczą Stanisławem Kieżuniem i dr Szatarską. Podzieliłem moich żołnierzy na drużyny i wskazałem im miejsca kopania śnieżnych rowów w poprzek lawiniska, w które

wchodzili ratownicy z sondami. Łopatki saperskie okazały się być przydatne w tych nietypowych warunkach. Żołnierze cięli nimi gałęzie, w których najczęściej wpłątane były zwłoki ofiar katastrofy. Tak pracowaliśmy na zmianę z funkcjonariuszami Milicji Obywatelskiej i Straży Pożarnej do północy, kiedy to ogłoszono przerwę na posiłek. Ciepły posiłek zorganizowano dla nas w hotelu „Orlinek”. Niestety nikt z nas po doznanych przeżyciach nie mógł nic włożyć do ust (piliśmy tylko napoje). Po powrocie na lawinisko pracowaliśmy dalej, do około godziny 4-tej nad ranem, wydobywając spod śniegu kolejne ofiary. W tym czasie przybyli do Białego Jaru etatowi dowódcy żołnierzy biorących udział w akcji ratowniczej. Byli to: mjr. Bajgier, kpt. Łaguz, por. Pawliczko, por. Samborowski i por. Hempel. Obraz sinych i pokrwawionych twarzy ofiar tragedii widziany w świetle pochodni był koszmarem, który śni mi się po nocach po dzień dzisiejszy.

### **Od Autora**

Do napisania tego artykułu zainspirowany zostałem kolejną tragedią, która wydarzyła się w tym samym miejscu w 40 – tą rocznicę tej opisaney wyżej. Otóż w marcu 2008 r. zginął w Białym Jarze pod lawiną mój dobry znajomy, 28 letni Szymon Kempisty. Był instruktorem narciarstwa i snowboardu, pełnym życiowych pasji młodym człowiekiem. Niestety nawet on, który przestrzegał adeptów narciarstwa o zagrożeniach podczas zimy w górach, sam uległ magii Białego Jaru.

### **P.S.**

Pierwszy opisany w literaturze śmiertelny wypadek pod lawiną w Białym Jarze miał miejsce zimą 1700 roku. Zginął tam niejaki Samuel Steiner, ówczesny gospodarz dzisiejszej „Strzechy Akademickiej”. Stało się to w czasie, kiedy usiłował pomóc zasypanemu przez lawinę turyście. Zwłoki Steinera odnaleziono dopiero na Zielone Świątki.

### **Materiał ten opracowałem na podstawie:**

- artykułu S. Jawora zamieszczonego w czasopiśmie „Karkonosze” nr 4/2008;
- wywiadu przeprowadzonego z ppłk. w st. spocz. Andrzejem Musiałem – uczestnikiem akcji ratowniczej w Białym Jarze w marcu 1968 r.;
- Biuletynu Jubileuszowego WOSR, Zarys historii uczelni w latach 1967-1972, Wyd. WOSR, Jelenia Góra 1972;
- własnych doświadczeń związanych z tragedią w Białym Jarze. Wówczas pełniłem służbę wojskową w koszarach „Pod jeleniami”.

Z cyklu: „Ocalić od zapomnienia...”

## Pułkownik Henryk Seroka

Pułkownik Henryk Seroka urodził się 25 maja 1924 r. w miejscowości Sitańiec (dawne województwo lubelskie), jako drugi syn Jana i Katarzyny z domu Kozłowska. Rodzice posiadali jednohektarową działkę rolną. Ojciec dodatkowo pracował w tartaku w Zamościu, matka prowadziła gospodarstwo domowe.



W wieku 8 lat poszedł w Sitańcu do szkoły podstawowej, którą ukończył w 1938 r. Po szkole rozpoczął pracę przy melioracji okolicznych łąk, zajmował się też doraźnie sprzedażą owoców na rynku zamojskim, by w ten sposób pomóc rodzinie.

*Rodzinny dom Seroków w Sitańcu*

Wybuch wojny zastał go w rodzinnej miejscowości. Rok 1940 i 1941 spędził w domu ucząc się zawodu murarza, a potem szewca. Rodzina Seroków znalazła się wśród kilkudziesięciu ocalałych, których w grudniu 1942 roku nie dosięgły wysiedlenia Zamojszczyzny i rodzinnego Sitańca. Tuż po zakończeniu rugowań od 10 grudnia Seroka pracował w gospodarstwie rolnym niemieckiego kolonisty. Zatrudnienie to trwało do 17 lipca 1944 r.



*Podchorążowie Oficerskiej Szkoły Piechoty.  
Kraków 1945. Franciszek Mazur i Henryk Seroka*

Po wyzwoleniu zgłosił się wraz z bratem Józefem do punktu zbornoego Wojska Polskiego, który znajdował się w koszarach wojskowych w Zamościu. Przyjęty do wojska wyznaczony został do plutonu ochrony zamojskiego RKU. 2 lutego 1945 roku skierowano go do Oficerskiej Szkoły Piechoty nr 1, przeniesionej z ZSRR do wyzwolonego Przemyśla.

Po egzaminach ustnych został przyjęty, a następnie transportem kolejowym wraz ze szkołą przetransportowany do Krakowa. Tam już w pierwszym dniu zetknął się z kpt. Florianem Siwickim, późniejszym generałem broni - ministrem obrony narodowej.





Przysięgę wojskową złożył na Rynku w Krakowie, a promocja na pierwszy stopień oficerski odbyła się na polach grunwaldzkich 15 lipca 1945 roku. Promocji dokonał Marszałek Polski Michał Rola-Żymierski. Po promocji skierowany został do dyspozycji dowódcy 2 Armii Wojska Polskiego w Poznaniu. Tam spotkał się z gen. dyw. Karolem Świerczewskim i skierowany został do 5 Saskiej Dywizji Piechoty 2 Armii Wojska Polskiego w Krzyżu.

*Po ukończeniu Szkoły Oficerskiej. Kraków 1948 r.*

W dywizji otrzymał skierowanie do 17 pp. koło Kostrzyna na stanowisko dowódcy plutonu strzeleckiego 9 kompanii III batalionu. W tym czasie pracował z żołnierzami przy żniwach, a następnie został dowódcą plutonu w 3 kompanii rusznic przeciwpancernych. W styczniu 1946 roku został wyznaczony przez dowódcę dywizji na stanowisko Komendanta Miasta w Ośnie Zachodnim, a potem nadzorował prace w Nadleśnictwie Lasów Państwowych w Gorzowie Wielkopolskim. Przez kilka kolejnych miesięcy zajmował się szkoleniem młodego rocznika żołnierzy.



30 września 1947 roku został skierowany na kurs dowódców kompanii do Centrum Wyszkożenia Piechoty w Rembertowie koło Warszawy.

W Rembertowie mieszkał w pokoju razem z ppor. Henrykiem Rapacewiczem, późniejszym generałem dywizji, dowódcą Śląskiego Okręgu Wojskowego we Wrocławiu. W tym czasie na Kursie Szefów Sztabów był również ppor. Wojciech Jaruzelski, późniejszy generał armii - minister obrony narodowej.

*Centrum Wyszkożenia Piechoty.*

*Od lewej: Henryk Seroka i Henryk Rapacewicz. Rembertów 1947 r.*

Kurs trwał do 30 listopada 1947 roku. 29 listopada został mianowany na stopień podporucznika.

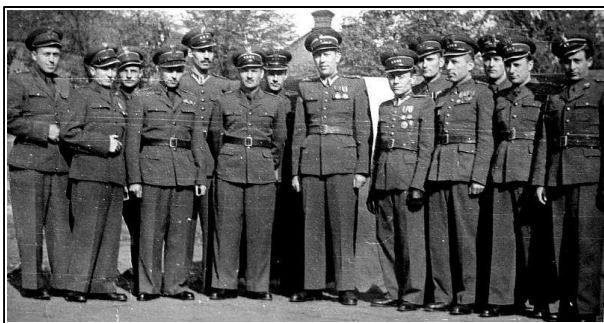


31 grudnia 1947 roku w kościele parafialnym pod wezwaniem św. Bartłomieja w Sitańcu wziął ślub z Krystyną z domu Laszczak. Ślub cywilny miał miejsce 16 lutego 1948 roku. Córka Elżbieta urodziła się 15 marca 1949 roku.

Z dniem 22 kwietnia 1948 roku został wyznaczony na stanowisko dowódcy 6 kompanii II batalionu w 17 pułku piechoty. 22 lipca 1948 roku otrzymał awans na stopień porucznika. 15 marca 1948 roku wyznaczony został na dowódcę Poznańskiej Kompanii Akademickiej, a od 25 października 1949 roku na dowódcę kompanii studentów Wydziału Mechanicznego Wojskowego Fakultetu przy Politechnice w Gdańsku. Ów wydział stał się następnie załącznikiem Wojskowej Akademii Technicznej. W 1950 roku został topografem Oddziału Operacyjnego POW.

### **Początek drogi w Wojskach Radiotechnicznych.**

W grudniu 1951 roku został skierowany na roczny kurs dowódców pododdziałów obserwacyjno-meldunkowych w Rembertowie dający możliwość objęcia stanowiska zastępcy dowódcy do spraw liniowych 8 Samodzielnego Pułku Obserwacyjno-Meldunkowego Obrony Powietrznej w Bydgoszczy. W pułku organizował pracę bojową, szkolenie, rozbudowę bazy szkoleniowej, kontrole w pododdziałach terenowych.



*Oficerowie Sztabu 8 Pułku Obs-Meld. z dowódcą mjr. Ludwikiem Ratyńskim, obok z prawej kpt. Henryk Seroka – zastępca ds. liniowych. Bydgoszcz 1952 r.*

We wrześniu 1953 roku zabezpieczał jesienne wcielenie poborowych na

poligonie koło Grudziądza, a następnie został wyznaczony na stanowisko dowódcy 25 Samodzielnego Batalionu Obserwacyjno-Meldunkowego w Zabrze.

12 października 1954 roku otrzymał awans na stopień majora. Jesienią 1954 roku na bazie 25 Bat. Obsmeld. W Zabrzu sformowano 14 Samodzielną Pułk Obserwacyjno Meldunkowy. Dowódcą pułku został w wieku 30 lat.

W tymże czasie pułk przeniesiono z Zabrza do Krakowa, do koszar 2 plm 7 Dywizji Lotnictwa Myśliwskiego na Rakowicach. Tu przede wszystkim remontowano bardzo zniszczone koszary, budowano obiekty dla kompanii terenowych, organizowano Szkołę Podoficerską.

W grudniu 1956 roku 14 Samodzielną Pułk został przeformowany w 14 Samodzielną Batalion Radiotechniczny i otrzymał sztandar.

12 października 1962 roku mjr Henryk Seroka został awansowany do stopnia podpułkownika.

W 1962 roku 14 Samodzielną Batalion Radiotechniczny przeniesiono do Chorzowa, a w 1966 roku został on w wyniku reorganizacji przekształcony w 19 Pułk Radiotechniczny. Jego formowanie ukończono w sierpniu 1967 roku. Jako dowódca garnizonu nawiązał ścisłą współpracę z Miejską Radą Narodową w Chorzowie, dzięki czemu kadra mogła otrzymać mieszkania. W tym czasie ppłk Henryk Seroka organizował odbudowę i remont zniszczonego obiektu. Asfaltowano drogi, wybudowano nowe ogrodzenie, plac alarmowy, zburzono drewniane szopy i baraki. Zmianie uległa organizacja pododdziałów w terenie. Dzięki owocnej współpracy z KWK „Nowy Wirek”, „Bielszowice” w Rudzie Śląskiej, KWK „Barbara Chorzów”, „Huta Batory” i „Kościuszkowski”, wybudowano nowoczesny Ośrodek Sprawności Fizycznej i szereg sal wykładowych.

W czerwcu 1968 roku został skierowany na półroczny kurs dowódców jednostek w ZSRR. 12 października 1968 roku został awansowany do stopnia pułkownika.



*Sluchacze kursu w ZSRR. Pplk Henryk Seroka pierwszy z prawej w środkowym szeregu. Władimir w czerwcu 1968 r.*

*Ileż na tym zdjęciu znakomitych postaci, które tworzyły historię naszych radiotechnicznych wojsk.;*

W 10 rocznicę powstania Wojsk Radiotechnicznych organizował szkolenie i pokaz sprzętu. Na szkoleniu tym obecni byli szef Sztabu Generalnego WP gen. dyw. Bolesław Chocha, szef Głównego Zarządu Politycznego WP, dowódca WOPK oraz dowódca 3 Korpusu OPK. W tym czasie intensywnie prowadzono prace w obiektach szkoleniowych, remontowano sale wykładowe, wyposażano je w treningowy sprzęt radiolokacyjny.

W latach 1970-1972 przy pułku powstała Szkoła Młodszych Specjalistów, przejęto obiekt w Katowicach – Welnowcu. Dzięki współpracy z Ministerstwem Górnictwa wykonano prace inżynierskie w podległych pododdziałach. Obiekty te należały wówczas do najnowocześniejszych w Polsce. W 1971 roku dowodzony przez płk. Henryka Serokę pułk po raz trzeci zajął I miejsce wśród jednostek radiotechnicznych OPK i otrzymał na własność Puchar Dowódcy WOPK. W tym samym roku pułk był wizytowany przez marszałka ZSRR Iwana Jakubowskiego, a jesienią 1972 roku przez ministra obrony narodowej gen. armii Wojciecha Jaruzelskiego. W 1973 roku podejmował w jednostce attache wojskowych armii węgierskiej i NRD oraz ambasadora Mongolii w Polsce.

W I kwartale 1973 roku 19 Pułk Radiotechniczny został rozformowany. Wojska radiotechniczne wkroczyły w struktury brygadowe. Na bazie pułku w Chorzowie utworzono Szkołę Specjalistów Wojsk Radiotechnicznych.



*19 czerwca 1975 roku płk Henryk Seroka został przeniesiony do rezerwy, jego 32 letnia służba wojskowa dobiegła końca.*

Za wzorową służbę w Siłach Zbrojnych płk Henryk Seroka odznaczony był m.in.: Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski (1963), Złotym Krzyżem Zasługi (1957), Medalami: Zwycięstwa i Wolności (1945), Brązowym „Zasłużonym na Połu Chwały” i „Za Udział w Walkach o Berlin”, Brązowym, Srebrnym, Złotym Medalem „Siły Zbrojne w Służbie Ojczyzny” i „Za Zasługi dla Obronności Kraju”, Dwudziestolecia, Trzydziestolecia i Czterdziestolecia PL, „Za Udział w Walkach z Bandami” oraz „Medalem za Długotrwałe Pożycie Małżeńskie”(1998), radzieckim Medalem „Za Zwycięstwo nad Niemcami w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej 1941-1945”.

Otrzymał następujące odznaki: Grunwaldzką, Centrum Wyszkozenia Piechoty - Rembertów, Złotą Odznakę „Za Prace Społeczne dla Miasta Krakowa”, Złotą Odznakę „Zasłużonemu w Rozwoju Województwa Katowickiego”, Srebrną Odznakę „Zasłużony Działacz Ligi Obrony Kraju”, Brązową Odznakę „Za Zasługi dla Obrony Cywilnej”.

Wyróżniony został również nagrodą Ministra Obrony Narodowej III stopnia (1973) w Dziedzinie Nauki i Techniki (za pomysł zapadni w obiekcie technicznym RLP Radzionków).

Po zakończonej służbie pracował w strukturach obronnych Zjednoczenia Hutnictwa Żelaza i Stali w Katowicach, Biurze Projektów Górniczych i Głównym Biurze Studiów i Projektów Górniczych w Katowicach.



*Wojciech Bonczek i Henryk Seroka w swojej „izbie pamięci” w Chorzowie. Lipiec 2008 r.*

Ten bez wątpienia współtwórca wojsk radiotechnicznych i ich współorganizator na południowo-zachodnich rubieżach naszego kraju obchodzi właśnie 86 rocznicę urodzin. Mieszka wraz z żoną w Chorzowie. Bierze czynny udział w pracy organizacji ZBZZ (koło w Chorzowie). Jest honorowym członkiem Stowarzyszenia Żołnierzy Radiotechników „RADAR” w Radzionkowie.

W 2006 roku wydał w Chorzowie „Wspomnienia z młodości lat i wieloletniej służby wojskowej”.

### **Bibliografia:**

- Marek Walancik „Dowódcy Jednostek Wojskowych w Chorzowie (1922-1998). Zarys biografii;
- Henryk Seroka „Wspomnienia z młodości lat i wieloletniej służby wojskowej”;
- Rozmowy z oficerem.

### **Zdjęcia:**

- Henryk Seroka – z prywatnych zbiorów;
- Wojciech Bonczek;
- Waław Smolik.

## **Polityczno-militarne implikacje Powstania Styczniowego 1863-1864.**

Kłęsa powstania listopadowego i brutalnie tłumiona w ciągu ćwierćwiecza rządów mikołajowsko-paskiewiczowskich idea wolności i niepodległości oraz prowadzona rusyfikacja narodu, a także aktywność policji państw zaborczych spowodowały, że dopiero w czasie wojny krymskiej ożyła sprawa polska. Powolna zmiana stanowiska Rosji spowodowana osłabieniem jej wewnętrznej mocy skłoniła w końcu cara do nieco bardziej liberalnego kursu wobec Królestwa. Zmiany te były jednak zbyt powolne.

Zimą na przełomie 1862/1863 r. sytuacja polityczno-społeczna w Królestwie (mimo wcześniejszych ustępstw caratu: przywrócenia odrębnego rządu, oczyszczania chłopów, wydania dekretów o reformie szkolnictwa, czy ustawy o równouprawnieniu) tylko pozornie i na krótki czas wpłynęła stabilizująco na życie w kraju.

Mianowany w maju 1862 r. przez cara Aleksandra II naczelnik rządu cywilnego Aleksander Wielopolski usiłował mitygować nastroje powstańcze niektórych kręgów społeczeństwa. Próby zjednania zarówno „białych” (obozu politycznego liberalnego ziemiaństwa, burżuazji i inteligencji przeciwnych powstaniu i ugodowej polityce Wielopolskiego) oraz „czerwonych” (obozu niepodległościowego akceptującego program walki zbrojnej o niepodległość i uwłaszczenie chłopów), którzy działali wspólnie w Komitecie Centralnym zakończyły się niepowodzeniem. Margrabia zaczął się więc zastanawiać nad ogłoszeniem karnego poboru do wojska w celu, jak stwierdził, „usunięcia w kraju elementów burzliwych, do niespokojności i anarchii podniecających”.

W miarę radykalizacji społeczeństwa margrabia Wielopolski nie ukrywał swojego negatywnego stosunku do inicjatyw powstańczych. Mówił dosadnie: „Wrzód zebrać i rozciąć go należy. Powstanie stłumię w ciągu tygodnia i wtedy będę mógł rządzić”. Takie krytyczne i prowokacyjne wypowiedzi nie uszły uwagi zwolenników powstania. Niektórzy uznali, że ogłoszenie przez władze poboru (takiej decyzji rychło się spodziewano) powinno być hasłem do rozpoczęcia powstania. Sytuacja stała się wyjątkowo napięta, gdy pod koniec grudnia 1862 r. policja wykryła i zniszczyła drukarnię „Ruchu”, (organu Komitetu) oraz aresztowała Bronisława Szwarcego, członka Centralnego Komitetu Narodowego (tajne kierownictwo obozu „czerwonych”). Równocześnie policja francuska aresztowała emisariuszy Komitetu wysłanych po zakup broni dla powstańców.

Brak jedności i rozbieżności polityczne w Komitecie utrudniało wypracowanie spójnej strategii działania na wypadek nagłych i nieprzewidzianych decyzji ze strony rządu i Wielopolskiego. „Czerwoni”, którzy nie dysponowali odpowiednią kadrą zdolną do pokierowania akcją zbrojną, ludzili się, że do powstania tak szybko nie dojdzie. Ponieważ władze przeprowadziły w nocy z 14 na 15 stycznia 1863 r.

brankę w stolicy, która zaskoczyła zarówno mieszkańców jak i organizatorów powstania, zaistniała sytuacja zmusiła Komitet do podjęcia szybkich decyzji. Tylko część zagrożonej branką młodzieży zdołała schronić się w Puszczy Kampinoskiej i lasach serockich. Zaskoczona młodzież nie ukrywała swojej dezaprobaty.

Aby uprzędzić brankę na prowincji, którą planowano przeprowadzić 25 lub 26 stycznia 1863 r., Komitet Centralny jako Tymczasowy Rząd Narodowy działając w sytuacji wyższej konieczności zarządził rozpoczęcie powstania w nocy z 22 na 23 stycznia 1863 r.

W manifeście wydanym 22 stycznia Komitet wezwał naród do powstania i walki z Rosją, a równocześnie ogłosił uwłaszczenie chłopów i prawo do korzystania z serwitutów. Bezrolnym chłopom, którzy wezmą czynny udział w postaniu, obiecano przydział 3 morgów ziemi (1,68 ha) z dóbr narodowych.

Pierwotny plan powstania przygotowany przez Jarosława Dąbrowskiego opierał się na dwóch założeniach: zdobycie Modlina i uczynienie z tej twierdzy głównego ośrodka działania oraz wywołanie zbrojnego powstania na obszarze zaboru rosyjskiego. Warunkiem powodzenia było nawiązanie porozumienia ze spiskowcami działającymi w Modlinie. Ale rychło okazało się, że rachuby te były mało realne.

Wówczas Zygmunt Padlewski zgłosił nowy plan koncentracji sił na południu – w Sandomierskiem i Olkuskim i podjęcie ofensywy na Warszawę. Na tym etapie planowano też wykorzystać siły powstańcze zgromadzone na północnym-wschodzie w lasach nad Narwią. Jednocześnie kierując się wytycznymi z „Instrukcji powstańczej” opracowanej jeszcze przez Ludwika Mierosławskiego, planowano uderzyć na załogi rosyjskie w całym Królestwie, opanować miasta powiatowe, powołać ludzi pod broń, a także otworzyć komory graniczne i komunikacje z Poznańskiem.

Nagłe ogłoszenie powstania zaskoczyło dowódców na prowincji, a kłótnie z Mierosławskim utrudniły wypracowanie właściwej strategii działania. Poważnym problemem był jednak brak broni. W całym kraju powstańcy posiadali zaledwie 600 sztuk strzelb myśliwskich. Kosy i drągi stanowiły, więc podstawę uzbrojenia w pierwszych tygodniach powstania.

W nocy 23 stycznia do walki przystąpiło ok. 6 tys. osób przeciwko 100 tys. armii rosyjskiej. Spośród 160 miast i miejscowości, gdzie stacjonowały wojska carskie, zaatakowano tylko 18. Ogółem stoczono 33 potyczki, ale bez poważnych rezultatów.

Dysproporcja sił i pewne błędy taktyczne popełnione przez powstańców nie pozwoliły na realizację pierwotnych zamierzeń. Z powodu zaskoczenia wojska rosyjskie przeprowadziły nie zawsze sprawnie dyslokację swoich oddziałów. Błędy, jakie popełnili dowódcy rosyjscy, można było wykorzystać, ale taki zamysł wymagałby zaangażowania szerszych warstw społeczeństwa. Józef Piłsudski analizując przebieg starć zbrojnych, jakie miały miejsce w nocy 23 stycznia 1863 r., uznał, że była to przegrana taktyczna, ale zarazem Polacy odnieśli sukces strategiczny. Szybko zostały uformowane nowe oddziały: Marianowi Langiewiczowi udało się utworzyć zgrupowanie w Wąchocku i okolicy, Apolinaremu Kurowskiemu w Ojcowie; mniejsze oddziały powstały w kilku powiatach w Lubelskiem, na Podlasiu i Mazowszu. W pierwszych tygodniach

powstania siły powstańcze wzrosły do około 20 tys.

O ile szybko powstał tajny aparat państwowy, to znacznie wolniej tworzono organizację wojskową. Brak wypróbowanych oficerów, ich młody wiek i małe doświadczenie bojowe były poważnym utrudnieniem. Pomimo pewnych komplikacji udało się jednak nie tylko zorganizować nowe oddziały powstańcze, ale też zachęcić mieszczan, drobną szlachtę i robotników do poparcia powstania. Chłopi zaś (na ogół nieufni) tylko w niektórych regionach np. na Podlasiu włączyli się aktywnie do powstania. Natomiast zamożna szlachta nie ukrywała swojej dezaprobaty wobec narodowego zrywu.

Oprócz braku broni, jednolitego dowództwa i doświadczonych oficerów poważną przeszkodą było podejmowanie nieskoordynowanych działań. W okolicach Warszawy oddziały większe i mniejsze działały według uznania lokalnych dowódców i nie zawsze chciały się podporządkować władzy zwierzchniej. Kroniki powstania styczniowego odnotowały jednak przykłady niemałego męstwa i waleczności. W pierwszym dniu walk np. we wsi Ciołkowie pod Płockiem stu powstańców uzbrojonych zaledwie w dwie strzelby myśliwskie, trzydzieści kos osadzonych pospiesznie na sztorc, a pozostali w kije rozgromiło zupełnie kompanię wojska rosyjskiego liczącą dziewięćdziesięciu żołnierzy.

Powstańcy mimo przewagi wroga dzielnie walczyli. Na Podlasiu oddziały płk. Walentego Lewandowskiego stoczyły ciężkie potyczki pod Węgrowem i Siemiatyczami i nie dały się rozbić. W Krakowskim dobrze uzbrojony korpus Apolinarego Kurowskiego uderzył 17 lutego na Miechów i choć Rosjanie mieli przewagę ogniową, to poszczególne grupy tego zgrupowania zdołały się połączyć z oddziałem Langiewicza, który zręcznie manewrując w Sandomierskiem, nie dał się osaczyć, zadając Rosjanom spore straty. Ze zgrupowaniem Langiewicza połączył się także oddział Antoniego Jeziorańskiego operujący w województwie Mazowieckim. 24 lutego Polacy stoczyli zaciętą bitwę pod Małogoszczą i choć ponieśli ciężkie straty a Langiewicz został ranny, to jednak zdołali się wycofać w rejon Pieskowej Skały.

Wojska rosyjskie zastosowały prawo zbiorowej odpowiedzialności wobec ludności tych miast i miasteczek, gdzie toczyły się walki. Wymordowali część mieszkańców np. w Węgrowie, Siemiatyczach, Miechowie i innych mniejszych miejscowościach, w których operowały oddziały polskie.

Perturbacje związane z objęciem przez Ludwika Mierosławskiego stanowiska naczelnego wodza, który dopiero w połowie lutego przybył z Francji i brak sukcesów militarnych oddziałów kierowanych bezpośrednio przez niego, utrudnił dowodzenie na poziomie szerszym. Oddział Mierosławskiego wzmocniony zgrupowaniem pod komendą Kazimierza Mieleckiego starł się kilkakrotnie z wojskami rosyjskimi m.in. pod Krzywosądem (19 lutego) i trzy dni później pod Trojaczkami. Wobec braku sukcesów militarnych dyktator opuścił swoje wojska i udał się do Francji. Tam zabiegał o pomoc dla powstańców.

Dopiero zbliżenie prusko-rosyjskie (konwencja Alvenslebena) podpisana 8 lutego 1863 r., w której oba państwa zapowiedziały podjęcie wspólnych działań przeciwko powstaniu, wywołała oburzenie Francji i przyczyniła się do „umiędzynarodowienia powstania”. Wtedy też Napoleon III zaczął myśleć o akcji przeciwko Prusom i ewentualnym porozumieniu z Austrią. Zachęcił, więc Hotel



Lambert, aby skłonił „białych” do aktywnego wsparcia powstania. Jednocześnie Anglia, Austria i Francja 17 kwietnia wystosowały notę do rządu rosyjskiego wzywając go do zapewnienia Polakom „warunków trwałego pokoju”, ale bez konkretnych żądań wobec Rosji. Podejmowane przez niektóre państwa Europy zachodniej inicjatywy były zamierzoną grą polityczną obliczoną na realizację własnych bynajmniej nie polskich celów.

„Biali”, których popierały zamożne koła ziemiańskie, skupili niemal całą energię i środki materialne na rozbudowie, zdobyciu uzbrojenia i umundurowania dla nowych oddziałów tworzonych nie tylko w Królestwie, ale i w Galicji i Poznańskiem. Nowy dyktator powstania Marian Langiewicz, popierany przez „białych”, ale bez akceptacji Rządu Tymczasowego, wobec braku regularnej armii i artylerii zdecydował się na zastosowanie taktyki wojny partyzanckiej. Langiewicz, po zwycięskiej bitwie pod Grochowskimi (18 marca) okupionej ciężkimi stratami i wobec wyczerpania amunicji podzielił korpus na mniejsze oddziały i udał się do Galicji, gdzie został internowany przez Austriaków.

Wiosną 1863 r. siły powstańcze znacznie stopniały, a próby przebicia się oddziałów polskich uformowanych w Galicji i Poznańskiem zostały udaremnione przez państwa zaborcze. Na początku marca został rozbity na Podlasiu oddział Walentego Lewandowskiego, a w połowie tegoż miesiąca zgrupowanie Padlewskiego działające na północnym Mazowszu. Jednocześnie 11 kwietnia pod Budą Zaborowską został zniszczony oddział „dzieci warszawskich”. W tym okresie jedynie w Sandomierskiem i Lubelskiem walczyły jeszcze pojedyncze oddziały powstańcze. Próby rozszerzenia powstania na Litwę i Ruś przyniosły połowiczny sukces. Brak haseł społecznych spowodował, że chłopci nie zdecydowali się na poparcie powstania.

Po upadku dyktatury Langiewicza nieznaczną przewagę w Rządzie Tymczasowym uzyskali „biali”. Rząd usiłował zaktywizować upadające powstanie i 4 maja 1863 r. wydał dekret o zmianie taktyki walki: „z biernej na (...) czynną, zaczepną, niepokojącą ciągle wroga, prawdziwie partyzancką”. Uważano, że nowa metoda walki służy w żołnierzach „ducha biernej rezygnacji i biernego oporu” oraz spowoduje wzrost „ufności w ich siły”.

Zdaniem prof. Stefana Kieniewicza, znawcy powstania styczniowego, rząd „białych” nie wykorzystał jednak szansy, jaką wojnie partyzanckiej dawało lato. Rosja zaś skoncentrowała na zachód od Dniestru ponad 300 tys. armię. Na Litwie władzę objął Michał Murawiew a w Warszawie Fiodor Berg, zwolennicy bezwzględного tłumienia powstania. Dopiero pod wrażeniem klęsk i niepowodzeń „biali” za namową Francji przeforsowali kandydaturę Romualda Traugutta na dyktatora powstania.

Nowy dyktator zamierzał oprzeć się na włościanach, głosząc hasło: „głównie z ludem i przez lud”. Dzięki determinacji, poświęceniu i zdolnościom organizacyjnym zdołał utworzyć jeszcze w maju 1863 r. nowe oddziały liczące ok. 35 tys. ludzi i rozszerzyć zasięg powstania aż po Dniepr i Dźwinę. „Czerwoni” jednak nieufnie odnieśli się do inicjatywy pozyskania na większą skalę ludu. Zapowiedziana interwencja państw zachodnich nie nadchodziła, a ponadto na początku 1864 r. Austria ogłosiła stan oblężenia w Galicji, co *de facto* dość skutecznie zablokowało pomoc materialną dla powstańców.

Trauguttowi udało się zorganizować wojsko według ówczesnych standardów zawodowych. Jeszcze 15 grudnia 1863 r. ogłosił dekret znoszący podział sił zbrojnych na województwa. Dało to podstawę utworzenia regularnego wojska: korpusów, dywizji, pułków, batalionów, szwadronów itd. Mimo ambitnych planów jedynie gen. Józef Bosak-Hauke zdołał częściowo zrealizować plan Traugutta i kontynuował walkę w Sandomierskiem i Kieleckiem aż do wiosny następnego roku. Inne oddziały walczyły ze zmiennym szczęściem. Powstanie zgodnie z oczekiwaniem Traugutta nabrało jednak charakteru ludowego.

Rząd carski, aby pozyskać chłopów, wydał 2 marca 1864 r. dekrety przyznające włościanom na własność ziemię przez nich użytkowaną. Utrzymane zostały serwituty, natomiast bezrolnym obiecano ziemię z dóbr narodowych.

Dekrety carskie osiągnęły cel, gdyż chłopci zaczęli opuszczać szeregi powstańcze. Niebawem 11 kwietnia został aresztowany Traugutt, którego carskiej policji wydał Artur Goldman. Dyktator został wraz z czterema współpracownikami powieszony 5 sierpnia 1864 r. na stokach Cytadeli. Podczas śledztwa wyznał przesłuchującym go Rosjanom, że „celem jedynym i rzeczywistym powstania jest odzyskanie niepodległości i ustalenie w kraju porządku opartego na miłości chrześcijańskiej, na poszanowaniu prawa i wszelkiej sprawiedliwości”.

Powstanie miało swoich bohaterów a także i zdrajców, którzy z wyrachowania, ze strachu, dla pieniędzy bądź z nienawiści do Polaków denuncjowali uczestników zrywu narodowego. Casus Goldmana nie był zjawiskiem odosobnionym. Szczególnie ofensywnym agentem wywiadu austriackiego był Zygmunt Kaczkowski (1825-1896), znany powieściopisarz, którego działalność w czasie powstania styczniowego ułatwiła rozbięcie organizacji spiskowej w Galicji.

Końcowym akordem zrywu powstańczego było aresztowanie i powieszenie w lutym 1865 r. ostatniego przywódcy powstania Aleksandra Waszkowskiego. W końcu kwietnia 1864 r., ostatnią potyczkę stoczył jeden z oddziałów gen. Hauke-Bosaka. Na Podlasiu walczył też chłopski oddział księdza Stanisława Brzóska jednego z pierwszych żołnierzy powstania, a zarazem ostatniego, którego władze carskie powiesiły w maju 1865 r. w Sokołowie.

Pomimo poniesionej klęski, powstanie styczniowe, które trwało ponad 15 miesięcy, było wydarzeniem bez precedensu w historii Polski XIX w. Kierownictwu postania udało się zebrać ok. 200 tys. ochotników, przeprowadzić mobilizację, zorganizować częściowo armię, bez której pospolite ruszenie byłoby zaledwie bezwładną ruchawką. W poszczególnych okresach powstania siły walczące wynosiły najwyżej 30-35 tys. ochotników.

O determinacji, bohaterstwie i poświęceniu świadczy bilans powstania. Stoczono 1229 bitew i potyczek (956 w Królestwie, 237 na Litwie i 35 na Rusi), co daje pewne wyobrażenie o rozmiarze prowadzonej przez naród walki z całą potęgą Rosji, która w lipcu 1864 r. zmobilizowała 340 tys. żołnierzy.

O poświęceniu dla sprawy narodowej świadczą straty ludzkie i materialne, jakie poniosło społeczeństwo. Władze carskie nakazały wykonanie wyroków śmierci, na co najmniej 670 powstańców. Niemalże procent stanowili duchowni, którzy wzięli czynny udział w powstaniu jako kapelani poszczególnych oddziałów, a nawet dowódcy. Księża w parafiach ogłaszali z ambon rozporządzenia władz i solidaryzowali się z powstaniem.

Po upadku powstania około 38 tys. uczestników zrywu wywieziono na Sybir; w tym 10% skazano na katorgę. Trudno oszacować straty ludzkie, gdyż początkowo wojska rosyjskie nie brały jeńców i dobijały rannych. Z obawy przed represjami przeszło 10 tys. osób wyjechało za granicę. Uczestnikom powstania skonfiskowano w Królestwie ok. 1800 majątków. Straty materialne szacowano na setki milionów rubli.

Choć powstanie zakończyło się klęską, to jednak przyniosło pozytywne rozstrzygnięcia. Przeprowadzono choćby pełne uwłaszczenie chłopów, co skutkowało w latach 1864-1890 wzrostem o ponad 8% własności chłopskiej. Jednocześnie klęska powstania, represje caratu i polityka rusyfikacyjna położyła kres próbom porozumienia klas posiadających z zaborcą. Z czasem przyspieszyła też petryfikację więzi narodowych i ewolucję kraju ku nowoczesnemu społeczeństwu. W kolejną rocznicę wybuchu powstania styczniowego pamiętajmy również, że bez zrywów narodowych w XIX w. nie byłby możliwy rozwój świadomości narodowej opartej na bogatej w wydarzenia historii, religii chrześcijańskiej, języku i tradycji jako trwałych wartościach normatywnych. Była to granica dzieląca przeszłość od współczesności, która w jakiejś mierze okazała się punktem zwrotnym w historii państwa i narodu polskiego.

#### Literatura:

- K. Bartoszewicz, Rok 1863. Historia na usługach ludzi i stronnictw, T. I i II, Kraków 1895
- W. Daniłowski, Notatki do pamiętników, Kraków 1908
- M. Dubicki, Romuald Traugutt i jego dyktatura podczas powstania styczniowego, Kijów 1911
- H. Jabłoński, Aleksander Waszkowski, ostatni naczelnik miasta Warszawy w powstaniu 1863-1864, Warszawa 1963
- S. Kieniewicz, Powstanie styczniowe, Warszawa 1983
- S. Kieniewicz, Historia Polski 1795-1918, Warszawa 1975
- M. Kukiel, Dzieje Polski porobiorowej 1795-1921, Paris 1984
- E. Maliszewski, Organizacja powstania styczniowego, Warszawa 1925
- Z.L.S, Ostatnie chwile powstania styczniowego, T. I., Poznań 1887

## Moja Ochota 1944

(absurd decyzyjny - infamia generalów)

Siedemdziesiąt lat minęło od wydarzeń, które jako naoczny świadek, opisuję poniżej. Na przestrzeni tych lat wiele się zmieniło. Czy aby na pewno zmieniło się definitywnie – na lepsze? Sądzę, że może warto wrócić pamięcią do tamtych lat.

### **Historia magistra vitae est.** (Historia jest nauczycielką życia)

Wrzesień, 1940 r. Właśnie minął pierwszy rok drugiej wojny światowej, gdy zamieszkałem na Ochocie. Przyszło mi żyć w dzielnicy okupowanej Warszawy, która cztery lata później, obok Woli stała się symbolem tej, którą opuszczono, zdano na łaskę hord współczesnych Teutonów i Hunów i z oddali bezradnie patrzono na jej zagładę i unicestwienie.

Rok wcześniej, 1 września 1939 r. o czwartej czterdzieści pięć wyskoczyłem z łóżka poderwany w nocy gwałtowną nawałnicą grzmotów. Byłem zdziwiony, bowiem pogoda ostatnich dni sierpnia była wyśmienita. Wybiegliśmy z Ojcem na balkon i okazało się, że nie ma żadnej burzy. A więc to wojna!

Mówiło się o wojnie, ale tak jakoś bez przekonania. Przecież Hitler ma tekturowe czołgi utrzymywano z przekonaniem, Nie odważy się zaatakować Polski. A jeśliby się ośmielił to wspólnie z Anglią i Francją odniesiemy zwycięstwo. Jesteśmy „silni, zwarci i gotowi” – hasło powielane na licznych plakatach rozlepionych na mieście napełnia otuchą. Były to pełne patosu słowa wypowiedziane przez Naczelnego Wodza Wojska Polskiego marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego.

Pamiętam jego przyjazd do Grudziądza chyba w maju 1938 r. na uroczystość przekazania wojsku broni zakupionej ze składek tutejszego społeczeństwa na FON (Fundusz Obrony Narodowej). Uroczystość zorganizowano w reprezentacyjnym punkcie miasta – na Rynku Głównym. Były patriotyczne przemówienia oficjeli i podziękowania marszałka. Na honorowym miejscu na podium ustawiono ckm na trójnogu (chyba Colt Browning), który na tle zgromadzonych tłumów ludności miasta i licznych oddziałów wojska tutejszego garnizonu prezentował się nader skromnie.

Polska była niestety państwem biednym na dorobku. Jednak w opinii ministra spraw zagranicznych Józefa Becka – byliśmy mocarstwem europejskim. Ach ta nasza tromtadracja! Pokpiwali sobie z niej nasi francuscy sojusznicy powodując konfuzję na polu dyplomatycznym.

W radiu podają zagadkowe komunikaty: „uwaga, uwaga czekolada pięć nadchodzi”, po jakimś czasie: „uwaga, uwaga przeszedł”. Okresowo ogłaszane są alarmy przeciwlotnicze. Mieszkałem w mieście położonym dokładnie osiem kilometrów od granicy Prus Wschodnich. Stamtąd, spoza rzeki Osa, pochodził niemiecki ostrzał artyleryjski. Pociski szybowwały nad domem. Jako jeden

z pierwszych ucierpiał trafiony celnie, stojący na wzgórzu jakieś trzysta metrów od mego domu, Kościół Garnizonowy. Piękny w stylu gotyckim z zewnątrz, utrzymany w stylu wojskowym – wewnątrz (z obu stron ołtarza głównego umieszczono figury zbrojnych husarzy, a poszczególne stacje Drogi Krzyżowej oznaczono Krzyżami Virtuti Militari). Zniszczony, chyba nie został nigdy odbudowany.

Dla bezpieczeństwa chronimy się w piwnicach Ubezpieczalni Społecznej. W trzecim dniu września 1939 r. rano, rozpoczynamy ucieczkę wymuszoną utrzymującym się gwałtownym ostrzałem miasta, pośpieszną ewakuacją tutejszego garnizonu wojskowego, władz i służb porządkowych, groźbą dostania się w ręce hitlerowskiego najeźdźcy. Ewakuację autobusami dla kobiet i dzieci swoich pracowników organizuje Ubezpieczalnia Społeczna. Ojciec, jej pracownik, wraz z kolegami z pracy musi uchodzić na własną rękę. Wcześniej, jako porucznik rezerwy, będący na przydziale mobilizacyjnym w 18. pułku ułanów pomorskich nie zostaje zmobilizowany. Powód? Jest reklamowany na pierwszy miesiąc wojny.

Uciekliśmy w porę. Okupacja hitlerowska w Grudziądzu zaczęła się 4 września morderstwami Polaków w mieście i na tzw. Księżych Górach.

Na resztkach benzyny docieramy do Włocławka, by tu już czwartego lub piątego września „przetestować” w biały dzień silne bombardowanie miasta przez Luftwaffe. Bomby spadły w bezpośredniej bliskości budynku tamtejszej Ubezpieczalni Społecznej, w którym byłem zakwaterowany. Szkło i pył wysadzonych podmuchem detonacji okien. Nakazane przez nasze władze zabezpieczenia polegające na zaklejeniu szyb paskami papieru, oczywiście na nic się zdały. Pierwsze ruiny i pożary okolicznych domów, zabici i ranni – cywile, dorosli i dzieci. Obserwuję lawinowo następujące po sobie wydarzenia z przerażeniem.

Dziwne, ale to właśnie wówczas z maniackim uporem bręczą mi w uszach słowa hurra patriotycznego szlagieru:

Marszałek Śmigły Rydz, nasz drogi dzielny Wódz,  
Gdy każe, pójdziem z nim najeźdźców tłuc.  
Nikt nam nie zrobi nic, nikt nam nie weźmie nic,  
Bo z nami Śmigły, Śmigły, Śmigły Rydz.

Wróg ciągle się zbliża. Trzeba wiać dalej. Uciekamy nocami. Panujące w powietrzu lotnictwo niemieckie uniemożliwia jakiegokolwiek przemieszczanie się w otwartym terenie w ciągu dnia. Zdarzało mi się leżeć w kartoflisku i wciskać się w bruzdy tak, aby uniknąć stania się celem dla jakiegoś „swobodnie polującego” niemieckiego myśliwca. „Kosił” kartoflisko lecąc na bardzo małej wysokości. Uciekające grupy cywilów „wystawiał” mu, zupełnie bezkarnie patrolujący w powietrzu Storch (niemiecki samolot obserwacyjny). Były to czysto terrorystyczne działania agresora, skierowane przeciw ludności cywilnej, dla wywołania paniki.

Konnymi podwodami wtapiamy się w nurt wzburzonej rzeki uciekinierów przemierzających się wszystkim dostępnymi drogami, często pod prąd cwałujących naszych oddziałów kawalerii. Tumult, wrzaski, lament, klątwy, przemoc, trwoga są wszechogarniające. Narasta psychoza szpiegostwa. Rzekomo złapano kogoś, kto lusterkiem dawał znaki nieprzyjacielowi. Zagrożenie życia czai

się wszędzie. Wokół kłębiący się zdeorientowany, krańcowo wyczerpany psychicznie i fizycznie tłum. Jeśli istnieje piekło to tak chyba właśnie wygląda jego przedśionek.

Trasą przez Brześć Kujawski, Kowal, Kutno, Gostynin, Gąbin, Żychlin docieramy do Łowicza. Około 9 września przemierzając się rowem melioracyjnym przez szerokie pole, wpadamy pomiędzy dwa stojące naprzeciw siebie ugrupowania artylerii: polskiej i niemieckiej prowadzące wzajemny ostrzał. Pociski z furkotem przelatują nad głową. To jakiś fragment jedynej sławnej bitwy nad Bzurą. Z rzadka spotykamy skape resztki naszej dzielnie walczącej piechoty.

Pochłaniamy kilometry wstęgi szos pieszo (ojciec dotarł do nas we Włocławku). Zaden chłop, za żadne pieniądze nie pojedzie w podwodzie. Wleczemy się w upale przepięknych wrześniowych dni z uwagą śledząc sytuację na niebie. Po drodze mijamy opustoszałe, otwarte wiejskie chaty. Widać, że mieszkańcy opuścili je w trwodze i w pośpiechu. W obejsiach studnie bez wody, którą wybrano do gołego piasku. Idziemy dalej.

Od czoła nadjeżdża jakiś rozbity oddziałek naszej kawalerii. Ostrzegają, że przed nami znajduje się wróg. Zmieniamy trasę. Sytuacja powtarza się.

Wreszcie dominuje, jak mantra, rzucane z różnych stron ironiczne pytanie: „gdzie się do cholery pchacie? Przecież tam są Niemcy!” „Jak to? Przecież my właśnie uciekamy przed nimi. Są z tyłu za nami.”

A więc najeżdźcy są wszędzie? Chyba tak. Kwaterujący obok nas w jakiejś wsi pod Sochaczewem nasi żołnierze bezszelestnie znikają w nocy. Nad ranem około dziewiętnastego dnia wojny dochodzą nas.. Młodzi, opaleni, wyżarci, w doskonałych humorach żołnierze Wehrmachtu. Starają się robić wrażenie przyjaźnie nastawionych. Oni z cywilami nie walczą. Częstują papierosami R-6 i Juno. Z ogromną pewnością siebie twierdzą (po polsku), że rząd II Rzeczypospolitej uciekł do Rumunii a wojna już jest skończona. Radzą: „wracajcie do waszych domów, które w tej chwili być może, rabują złodzieje i Żydzi” (sic! – autentyczne). Nie mamy już, dokąd iść. Decydujemy się wracać do Grudziądza.

Pod traumatyczną presją zagrożenia ze strony V kolumny (hiobowa wieść o „krwawej niedzieli” (3. września) w Bydgoszczy rozeszła się błyskawicznie) nocami przemykamy się ku domowi. Powrót jest trudny i niebezpieczny. Zniszczone linie kolejowe, wysadzone mosty, transport nie funkcjonuje. Należy unikać miejscowości zamieszkałych przez endemicznych Niemców. Zdarzają się przypadki bezkarnych, krwawych, napadów odwetowych na Polaków.

Pod koniec września docieramy do Grudziądza. Miasto jakby obce. Wszędzie wiszą hitlerowskie czerwone flagi z hakenkreutz'em i dają się widzieć gotykiem pisane napisy (polskie zniknęły). Rychło okazuje się, że to jakiś GRAUDENZ na terenie III Rzeszy Niemieckiej.

Nasze mieszkanie nr 3 stoi nietknięte. Właściciel domu (Słowackiego 19) – Niemiec, lojalny polski obywatel – pilnował. Dobytek całego życia rodziców (w sierpniu spłacili ostatnią ratę i wykupili weksle wystawione za meble kupione u Buhlera w 1929 r. we Lwowie) ostał się wojennej zawierusze.

Wiadomości z frontów wojny są porażające. „Silni, zwarci i gotowi”, „nie

damy guzika”- buńczuczne slogany Wodza Naczelnego okazują się całkowitym, szyderczo brzmiącym pustosłowiem.

Padło Westerplatte, Oksywie (dowódca Obrony Wybrzeża płk Dąbek, jak przystało honorowemu oficerowi - zastrzelił się), padła Wizna, a jej bohaterski obrońca kpt. Raginis również targnął się na swoje życie. W czasie szarży pod Krojantami zginął dowódca 18. pułku ułanów (z Grudziądza) płk Masztalerz. Jedyna znacząca bitwa, nad Bzurą, dowodzona przez gen. Kutrzebę, choć w pewnym sensie wygrana, niczego nie zmieniła. W końcu (28 września) padła otoczona przez wroga, walcząca Warszawa. Drugiego października poddał się gen. Kleeberg pod Kockiem... zabrakło amunicji. Oni jednak walczyli do końca.

Inni szczególnie cieszący się względami Naczelnego Wodza, jego decyzjami personalnymi postawieni na stanowiska służbowe: generałowie Juliusz Rómmel, Czesław Młot Fijałkowski i Władysław Bortnowski (dowódca 16.DP z Grudziądza) jako wyżsi dowódcy wojskowi w 1939 r. niestety zawiedli<sup>46</sup>. Sam zaś Wódz Naczelnny w ślad za Prezydentem i Rządem, w nocy 18 września haniebnie opuścił Kraj, Naród i walczące jeszcze wojsko. Horribile dictu (o zgrozo)! Leonidas w Termopilach właściwy przykład dał.

Ponurą drwiną, jak echo brzmia, niedawno (5 maja 1939 r.) rzucone w Sejmie, słowa pułkownika Józefa Becka o h o n o r e, jako wartości najwyższej.

Zbulwersowana, uliczna opinia publiczna trawstując rządowy, propagandowy komunał złośliwie, gorzko pokpiwa sobie z rządzących: „silni, zwarci i gotowi – oddać Polskę Hitlerowi.”

Dopełnił się kielich goryczy. 17 września od wschodu ruszyła sowiecka nawała. Rosjanie zajęli wschodnie rubieże Rzeczypospolitej aż po Bug.

A więc to już koniec dwudziestolecia niepodległości? Tak. Właśnie zaczyna się mroczna noc krwawej hitlerowskiej i sowieckiej okupacji.

Wolno mijają dni bezsilnej wściekłości i bezdennego osłupienia. Jak to było możliwe? Jak to mogło się stać? Gdzie byli nasi zachodni sojusznicy? 3 września, a jakże, wypowiedzieli Rzeszy i prowadzą tzw. „dziwną wojnę” siedząc za linią Maginota – to Francuzi. A Anglicy? Nakazali usunąć znaki drogowe i zabronili używania dzwonów w kościołach, aby zmylić potencjalnego napastnika. Czekają na lepsze czasy na swojej wyspie. Infantylnie i naiwne widzenie aktualnego agresora natychmiast trafia do anegdoty. „Co zrobicie wy Anglicy, jeśli Niemcy zajmą waszą wyspę? My po prostu pozamykamy wszystkie sklepy i restauracje i zmusimy ich głodem do odwrotu.”

Czas płynie. Ojciec nie pracuje, nie chodzi do szkoły (powinienem kontynuować czwartą klasę w Szkole Powszechnej przy ulicy Fortecznej). Wychowawczynią mojej klasy była p. Nawrocka bardzo miła i łagodna Pani. Mieliśmy też katechetkę chudą i surową, która nauczała religii. Zapytany przez nią: „kim byli prorocy” wypaliłem z głupia frant: „prorocy strzelają z procy”. W uznaniu znajomości przedmiotu otrzymałem od katechetki kilka uderzeń linijką na gołą dłoń. Kary cielesne w szkołach na Pomorzu były powszechnie stosowane. Za szkołą na razie nie tęsknię – nigdy nie byłem kujonem. Jej prawdziwy brak odczułem później,

---

<sup>46</sup> / vide: [http://pl.wikipedia.org/wiki/Edward\\_Smigły\\_Rydz](http://pl.wikipedia.org/wiki/Edward_Smigły_Rydz).

gdy trafiłem do pseudo szkoły administrowanej przez niemieckiego okupanta.

Żyjemy zapasami skrzętnie zgromadzonymi przez Matkę tuż przed wojną. Atmosfera gęstnieje. Niemcy rekwirują rowery moich rodziców. Żyję jeszcze wśród swoich, ale już w obcym kraju.

Propozycja pada ze strony p. Kellera właściciela domu: „trzeba podpisać volkslistę albo będą kłopoty”. Przychodzi ze sprawą zobligowany przez nowe władze. O dobrowolnym przyjęciu narodowości niemieckiej (Eingedeutsch) przez mego ojca nie może być mowy.

Z końcem października wyrzucają nas z domu. W ciągu pół godziny, z bagażem ręcznym, pod zagrożeniem karą śmierci w razie oporu.

Nie zapomnę nigdy, kto był w składzie „komisji”: p. Oloff (Niemka, od lat mieszkająca w Grudziądzu, właścicielka domu na ul. Nadgórznej) oczywiście ze znacznikiem NSDAP (Narodowo Socjalistyczna Niemiecka Partia Robotnicza) w kłapie kostiumu, umundurowani: funkcjonariusz Gestapo i policjant Schupo oraz p. Keller. Ten ostatni dyskretnie (chyba szczerze) wyraża słowa współczucia przypominając, że ostrzegął. Zabiera klucze od mieszkania.

Dobrytek życia i wszystkie zapasy „zagospodarowują” dwaj, przydzieleni wcześniej przymusowo na zakwaterowanie, Bawarczycy zatrudnieni w Organizacji Todt (niemiecka zmilitaryzowana organizacja budowlana). Niemcy w średnim wieku zachowywali się dość przyzwoicie. Będąc we dwóch nie podejmowali rozmów na temat wojny. W pojedynkę, nie żalowali słów krytyki pod adresem Hitlera i jego „den geschissen Krieg”- zaszranego wojny.

Trafiamy do obozu przejściowego, w Tuszewie pod Grudziądem. Tu na gołym betonie w halach suszarni tytoniu podlegamy „rozmiękczeniu”. Obozu (Durchganglager) pilnują uzbrojeni miejscowi volksdeutsche mówiący po polsku, o dziwnie znajomych nazwiskach: Wesołowski, Malinowski, Kamiński. Oni nie mieli wątpliwości. Podpisali volkslistę, zostali „Niemcami” jako urodzeni na Pomorzu, czyli w „III Rzeszy”. Nie traktujemy strażników poważnie. Rozmawiamy z nimi. Podśmiewamy się z ich śmiertelnie surowych min i dziarsko trzymany na pasie pewnie „pustych” mauzerów. Ci jednak nie bez fałszywej dumy pokazują nam ostrą amunicję w komorze nabojeowej karabinu. A więc raczej, żartów nie ma. Taki „Wasserpolak” nie zawaha się strzelić. Odosobnienie trwa przez cały miesiąc. W końcu listopada transportem w bydłocych wagonach wywożą nas do Generalnej Guberni. Wysiadamy w Warszawie.

Rozpaczam życie w stolicy Polski okupowanej przez nazistów. Tego czasu nie zapomnę do końca moich dni. Do dziś mam w oczach wrogie czerwone flagi ze swastyką wiszące na budynkach urzędowych i powszechnie eksponowaną przez Propaganda Abteilung (Wydział Propagandy), na każdym murze i ścianie i tę największą, kilkumetrową stojącą przed Dworcem Głównym w Alejach Jerozolimskich, literę „V” – Victoria – symbol zwycięstwa nazistów oraz n a s z e j n a r o d o w e j kłęski i poniżenia. Nie ma takiej litery w polskim alfabecie, powiedział słusznie pewien Generał. Tym bardziej budziła ona uczucia nienawiści, odrazy i duszonej wściekłości wśród ludzi mojego wojennego pokolenia. To ad memoriam dla współczesnych, nader chętnie podnoszących wyciągniętą dłoń z rozczapierzonymi dwoma palcami.



Odpowiedzią na hitlerowską prowokację były kotwice „Polska Walczy”, żółwie (pracuj powoli) i swastyki wiszące na szubienicy (Hitler kaput) – malowane również na murach, ale przez ludzi z Szarych Szeregów. Podnosiły na duchu.

Obowiązuje godzina policyjna od 20.00 do 6.00.

Mnożą się nocne aresztowania, zapelnia się Pawiak. A później pojawiają się na słupach ogłoszeniowych czerwone plakaty z czarnym napisem – Bekanntmachung. Ogłoszenie szefa policji dystryktu warszawskiego: (...) w odwecie za zbrodniczy napad na funkcjonariusza niemieckiej policji w dniu (...) rozstrzelani zostali (...) nazwiska. Relacja była szybywna - 100:1.

„Cena była wysoka. Niemcy mieli zwyczaj rozstrzeliwać za każdego zabitego Niemca stu Polaków”<sup>47/</sup>.

Z czasem egzekucje z Pawiaka przeniesiono na ulice Warszawy. Pamiętam tę w Alejach Jerozolimskich w miejscu dzisiejszego hotelu Forum. Kiedy tylko pracownicy MPO zmyli ślady krwi z chodnika i ściany – natychmiast pojawiły się kwiaty. Leżały tam zawsze, co dzień – świeże.

Odwetowe akcje zbrojne przeciwko okupantowi ludzie podziemia prowadzili m.in. pod hasłem „Pawiak pomścimy” W ich wyniku zlikwidowano kilku najbardziej zajadłych zbrodniarzy hitlerowskich: Schultza, Langego, Buerkla, Weffelsa, Brauna i wreszcie Kutschere<sup>48/</sup>. Te nie budziły wątpliwości. W rezultacie tych akcji doszło do określonego spadku natężenia terroru ze strony okupanta.

Wykonywano też spontaniczne akcje wymierzone w przedstawicieli okupanta, celem zdobycia broni. Racjonalne uzasadnienie takich akcji było wysoce problematyczne. Zabicie Niemca zawsze było okupione śmiercią zakładników. Życie ich było niewiele warte. Wielu z nich oddawało je za jednego Walther’a (etatowa broń Schupo i Kripo – niemieckich oddziałów policyjnych).

Na Ochotę (ulica Krzyckiego 11 m. 39), do mieszkania moich nieżyjących już wówczas Dziadków, trafiał w trzecim kwartale roku 1940. Dom był jednopiętrowy, narożny, położony na skrzyżowaniu ulicy Krzyckiego i Dantyszka (nr 22) na tzw. Kolonii Staszica. Ogródzony siatkowym parkanem, obsadzony był winobluszczem maskującym dom od ulicy. Ów budynek stanowił część zamkniętego ogrodzeniem kwartału wyznaczonego dalej ulicą Raszyńską (nr 15) i Filtrową (nr 73). Z obszernym zagospodarowanym nasadzeniami podwórzem odegrał istotną rolę, w czasie mającego wybuchnąć powstania warszawskiego. W pierwszych jego dniach stanowił względnie bezpieczną wyspę wśród szalejącego wokół żywiołu śmierci i zniszczenia.

Piątą klasę szkoły powszechnej we wrześniu 1940 r. rozpoczynam w pobliskim budynku Biblioteki Publicznej przy ulicy Reja 9. Trwa to niedługo. Wylewają nas, bo lokuje się tu jakaś formacja SS. Szkoła przeniesiona zostaje do gimnazjum im. J. Słowackiego na Wawelską 46. Buda piękna, nowoczesna, jasna – podłogi parkietowe (chodzimy w kapciach). Tu pobieram nauki do maja 1941, bo znowu nas wypędzają. Miejsce szkoły zajmują lotnicy Luftwaffe i tworzą tam składnicę map.

Kończę piątą klasę już na Tarczyńskiej 8 i zaczynam szóstą. Jeszcze przed

<sup>47</sup> / Norman Davies, Powstanie '44, wyd. Znak, Kraków 2004, s. 268.

<sup>48</sup> / op.cit. s. 268-272.

półroczem (w końcówce roku 1941) znów wysiadka. Nasze miejsce zajmuje kompania SS.

Łąduję w szkole powszechnej Nr 13 przy ulicy Śniadeckich 8. Dojeżdżam codziennie tramwajem „osiemnastką”. Wychowawcą klasy jest p. Leon Szulc – nauczyciel-patriota, wypędzony z Poznania. Przerabiamy okrojony program szkoły powszechnej (bez języka polskiego, historii i geografii, ale za to z językiem niemieckim). Musimy prenumerować gadzinowe czasopismo dla młodzieży o nazwie „Ster”.

Zgodnie z nakazem władz oświatowych szkoła bierze udział w zwiedzaniu, przywiezionej z Berlina, wystawy pn. „Szklany Człowiek” Wystawę urządzono w budynku przy placu Trzech Krzyży na skrzyżowaniu Wiejskiej i Prusa. Budynek zewnątrz i wewnątrz udekorowano czerwonymi flagami ze swastyką. Wroga czerwień przytłacza a ogromny portret Hitlera budzi obrzydzenie. Wewnątrz stojąca na podium normalnej wielkości szklana figura człowieka ukazująca podświetlone wewnętrzne organa ciała. Obsługa udziela wyjaśnień (po niemiecku) Oglądamy wystawę bez popadania w euforię.

Nasz wychowawca jest gorącym patriotą. Przemycia zakazane treści. 11 Listopada przy zachowaniu maksimum ostrożności na lekcji wychowawczej śpiewamy półgłosem „Jeszcze Polska nie zginęła”

Okupant stosuje różne formy propagandy. Stara się zawładnąć umysłami Polaków. Posiadanie radia jest zakazane pod karą śmierci. Wiadomości bieżące i te z frontów wojny płyną z rozwieszonych na mieście głośników. Powszechnie nazywano je „szczekaczkami”. Komunikat zwykle zaczynał się od słów: OKW (Ober Kommando der Wehrmacht) donosi... Wiadomości zawsze były interpretowane przez warszawiaków odwrotnie do intencji okupanta. Mieliśmy własne informacje pochodzące z „gazetek” – podziemnych biuletynów informacyjnych.

Jedyną rozrywką jest kino.

„Idą” tam filmy produkcji UFA i oczywiście kroniki wojenne. Ale do kina nie chodzi się. Przez cały okres okupacji nie byłem w kinie ani razu. Bo jak głoszą napisy na murach: „tylko świnie siedzą w kinie”. To działalność Małego Sabotażu, harcerzy z organizacji Wawer.

Z Wojtkiem Królikowskim i Tadzkiem Pokropińskim kolegami z klasy (wszyscy z Ochoty), zakładamy tajną organizację o nazwie „Trójlistek”. Cel: szybkie opanowanie niemieckiego, podsłuchiwanie rozmów okupantów o sytuacji na frontach i redagowanie biuletynu informacyjnego. Dzieciinnie naiwni wierzyliśmy w ewentualne powodzenie naszych zamysłów, mimo powszechnie widocznej hitlerowskiej propagandy na murach, w postaci wyrysowanej sylwetki faceta w kapeluszu i płaszczu z podniesionym kołnierzem oraz napisem „Feind hoert mit!” (Wróg podsłuchuje). Szczytne założenia przerosły nasze możliwości. Sprawy toczyły się zbyt szybko.

Ulice rozbrzmiewają odrażającym wyciem szwabskich „uebermaensch’ów”: „heili, heili, heila, heili, heili, heilo!”, „S.A. maschiert”... Maszerują w charakterystyczny sposób: w kolumnach trójkowych, z bronią „na pas” lub „na ramię”. Śpiewają głośno, wyzywająco, natrętnie, bezzecznie.

Bodajby ich szlag trafił! Czują się tu jak u siebie w domu.

Na warszawskich ulicach i w tramwajach śpiewane są również nasze piosenki:

„Siekiera, motyka, bimber, szklanka,  
W nocy nalot, w dzień łapanka,  
O czym marzyć, o czym śnić,  
Szkozy nam nie dają żyć!”

Ale po klęsce Niemców w Stalingradzie:

Siekiera, motyka, bimber, alasz,  
Przegrał wojnę głupi malarz!

Po lekcjach i w czasie wakacji chodziłem do Ogródka Jordanowskiego przy Wawelskiej 3. Organizowano tam zawsze ciekawe zajęcia dla młodzieży. Było nas kilku chłopaków w wieku dwunastu lat. Ogród sąsiedował przez druciany płot z boiskiem do siatkówki okupowanym stale przez Niemców z Luftwaffe. Kiedyś ich piłka mocno uderzona wpadła na nasz teren. Młody niemiasz szwargocząc domagał się gwałtownie jej zwrotu. Trwało chwilę, nie zareagowaliśmy. Wówczas wściekły fryc przelazszy przez płot, przeklinając: „verfluchte polnische Schweine” sam podniósł piłkę i z rozmachem walnął w twarz na odlew najbliższej stojącego kumpla.

Chłopak nawet się nie skrzywił. Rozsadzała nas nienawiść. Spluwając gęsto oddaliliśmy się w inną część ogródka. Razem z Kolą (kolega z ulicy Rapackiego) postanowiliśmy się zemścić. Przy Alei Niepodległości pomiędzy Filtrową a Nowowiejską vis a vis dzisiejszego Szpitala Nowowiejskiego stał długi, chyba trzypiętrowy podpiwniczony blok mieszkalny zajęty przez urzędników administracji niemieckiej. Uzbrojeni w proce i kamienie, idąc wzdłuż tego bloku w biały dzień wytlukiliśmy wszystkie szyby w piwnicznych oknach. Było tego dobrych czterdzieści a może więcej sztuk.

Pogonił nas jakiś Volksdeutsch. Rozbiegliśmy się. Fryc nie dał za wygraną i dopadł mego kumpla. Kola wcześniej wyrzucił procę i całą winę za szkody zwałił na mnie. Trochę mu się oberwało. Ja pogałem w ulicę Krzywickiego, Koszykową i okrężną drogą wróciłem do domu. Udało się! To był nasz skromny „wkład” w walkę z okupantem. A mogło się nie udać.

„Jedną z charakterystycznych cech niemieckich rządów w Warszawie od roku 1943 stanowiła eskalacja przemocy wobec ludności.” (...) Można było wyjść po mleko do najbliższego sklepiku i nie wrócić już do domu, a potem znaleźć się na liście zakładników rozstrzelanych za zamachy na „niemieckie dzieło odbudowy”, (...). Życie zmieniło się w codzienną grę ze śmiercią.<sup>49/</sup>

Rada Główna Opiekuńcza (centralna instytucja opieki społecznej) prowadziła kuchnię dla ludności, przy ulicy Filtrowej. Wydawana tam zupa była podstawowym źródłem żywienia się wielu mieszkańców dzielnicy. Chodząc często z dzbankiem po tę zupę widywałem dziwne indywiduum. Był nim, ubrany w długi ciemny płaszcz

<sup>49</sup> / Norman Davies, Powstanie '44, wyd. Znak, Kraków 2004 s. 137

z podniesionym kołnierzem, w brązowej studenckiej czapce z daszkiem młody skrzypek. Stojąc tyłem do ulicy w pobliżu wejścia do kawiarni Fuchsa lub małej „Ziemiańskiej” wygrywał smętne melodyjki. Trwało to, co dzień przez pewien czas. Zastanawiało mnie: dlaczego on stoi tyłem do audytorium?

Wracając do domu z jakąś „galop zupką” z zawiścią patrzyłem na niemiecką klientelę sklepu Meinla po drugiej stronie ulicy Filtrowej (nr 64). Kupowali tam delikatesy, o których my prawowici obywatele tego miasta mogliśmy tylko pomarzyć. Obowiązujący od początku okupacji system kartkowy zapewniał możliwość zakupu okrojonych ilości czarnego, jak ziemia, chleba – powszechnie zwanego „dźwiękowcem” (jego spożycie powodowało potężne wzdęcia). Ponad to można było kupić jakieś śladowe (wyliczone w gramach!) ilości margaryny, mąki, kaszy i mięsa (tak zwanej rąbanki).

Codzienne menu obiadowe składało się z ergiewskiej zupy, prażuchy (kartofle zaklepane mąką) lub parzybrody (kapusta gotowana razem z ziemniakami) Jakies mięso bywało w niedzielę.

Mój stryj Czesław (wzięty ginekolog warszawski, mieszkający przy ulicy Wiejskiej) był z natury bardzo gościnnie. Miał trzech synów Andrzeja, Krzysztofa i Ryszarda oraz córkę Hanę. Wszyscy starsi ode mnie.

Krzysztof aresztowany przez Gestapo w jakiejś wyspie, wylądował w Stutthofie i tam zginął w 1944 r.

Stryj urządzał „przyjęcia” dla przyjaciół i rodziny. Pamiętam rodzinne spotkanie 30 listopada 1940 r. Młodzież lała wosk. Hanka bardzo zaferowana poszła do Ojca z odlewem, który kojarzył Jej się z twarzą wojownika. Ojciec spojrzal na biały odlew i stwierdził z przekonaniem, że wygląda on na „kupę” po salwarsanie. Tenże powoduje wybielenie wydzielin. Hanka była niepokieszona.

„Specialite de la maison” (specjalnością domu) były ziemniaki w mundurkach, podawane w dużej wazie, jako zakąska do...wódki.

Tej jak wiadomo – nie brakowało. Wódka (ta z czerwoną kartką) była jednym z narzędzi ukrytej eksterminacji polskiej ludności przez hitlerowskiego okupanta

Na śniadania i kolacje pijało się czarną kawę zbożową z sacharyną, zagryzając dźwiękowcem z marmoladą z buraków lub z czarną paskudną melasą (odpad poprodukcyjny z cukrowni). Czasem zdarzało się mleko (odciągane oczywiście). I tak się żyło. Dla ścisłości dzienna norma żywnościowa dla Reichs i Volksdeutsch'ów wynosiła 2613 kalorii, dla nie-Niemców (Aryjczyków) – 669, a dla nie-Aryjczyków, czyli tzw. podludzi – 184.<sup>50/</sup>

Skrzypek grywał codziennie, aż nagle zniknął. Okazało się, że stojąc tyłem do ulicy obserwował ludzi wchodzących do kawiarni. Wśród bywalców lokali znajdowali się czasem ludzie z konspiracji. Jak ustalono, skrzypek był konfidentem. Z wyroku sądu podziemnego został zlikwidowany za udowodnioną współpracę z Gestapo. Przyczynił się do wpadek jakichś uczestników podziemia.

W początkach lutego 1943 r. zakończyła się zwycięstwem Armii Czerwonej bitwa o Stalingrad. Naziści ponieśli znaczącą dla dalszych losów wojny – klęskę.

---

<sup>50</sup> / ibidem s. 134.

Szczekaczki donosiły: „po ciężkich walkach i zadaniu poważnych strat nieprzyjacielowi w rejonie m. Stalingrad nasze wojska wycofały się na z góry zaplanowane pozycje”. Wreszcie wstąpiła w nas nowa nadzieja. Radość była powszechna i przeogromna. Od tej pory już do końca wojny szkopy wycofywali się „na z góry zaplanowane pozycje”, aż do samego Berlina. Niestety trwało to jeszcze ponad dwa lata.

Chyba w marcu 1943 r. w godzinowej prasie warszawskiej przedstawiono odkrycie, jakiego dokonali Niemcy na ziemi smoleńskiej w ZSSR. W „Nowym Kurierze Warszawskim” szeroko opisywano odnalezienie zbiorowych mogił polskich oficerów zamordowanych w Katyniu. Opisy dokumentowano zdjęciami z miejsc zbrodni oraz opiniami międzynarodowego gremium, które badało wydarzenie na miejscu. Przedstawione materiały wyglądały przekonująco. Pamiętam, że opinia warszawiaków była jednoznaczna. Sprawcami zbrodni są bandyci z NKWD (Narodnyj Komitet Wnucyennych Dzieł).

13 kwietnia 1943 r. skończyłem trzynaście lat życia. Sześć dni później (19. kwietnia) od rana z oddali dało się słyszeć wybuchy i wystrzały. Nad warszawskim gettem pojawiły się kłęby czarnego dymu. Wybuchło powstanie polskich Żydów przeciw hitlerowskiej eksterminacji. Poszedłem z matką pod mury getta. Słyszałem te wybuchy i strzały, widziałem płonące kamienice i skaczących z górnych pięter, na bruk ulicy ludzi. Widok był wstrząsający. Nierówna walka desperatów, z góry skazana na niepowodzenie. Targały mną sprzeczne uczucia.

Pamiętałem z przed wojny oenerowskie (Obóz Zjednoczenia Narodowego) napisy na grudziądzkich murach: „bij Żyda, nie kupuj u Żyda, precz z Żydami”. W przeciwieństwie do Stanisławowa, gdzie mieszałem do 1937 r., w Grudziądzu Żydów nie widywało się. Jednak propaganda narodowców robiła swoje.

Naoczny widok gehenny tych nieszczęsnych ludzi musiał wstrząsnąć sumieniami wielu. Wstrząsnął i moim. Ogarniał mnie bezradny sprzeciw i głębokie współczucie. Nie miałem świadomości wówczas, że nieco ponad rok później, podobny los dotknie mnie samego.

A jednak byli niestety i tacy, którym tragiczne losy bliźnich nie psuły radosnej zabawy na karuzeli wesołego miasteczka zainstalowanego tuż pod murami getta po tzw. „aryjskiej stronie”. Widziałem to osobiście. Wojna to kloaka człowieczych sumień.

Jest noc z 12/13 maja 1943 r. Budzą nas syreny alarmu lotniczego. Wyją przeciągle i natrętnie. Napawają lękiem. Jednak nie wstajemy z łóżek. Dotychczas nigdy nie bombardowano Ochoty. Nagłe, bliskie wybuchy bomb stawiają nas na nogi. Ledwie udało się wpaść do przedpokoj, gdy odłamki szyb wraz z zaciemnieniem wlatują do sypialni. A więc to nie żarty! Tylko w bieliźnie wbiegamy do piwnicy (mieszkailiśmy na parterze). Tu już kryją się pozostali mieszkańcy domu: państwo Siemiątkowscy ze służącą Marysią i Wolscy z córką. Przesiadamy pod murem piwnicznego korytarza.

I właśnie wówczas słyszę przeciągły, narastający w ułamkach sekund świst spadającej bomby. Nie widzę, ale całym jestestwem czuję jej nieuniknione, błyskawiczne zbliżanie się. Dźwięk potężnie, wwierca się w mózg, rozsada czaszkę. Bomba trafiając w dźwigar sufitu mieszkania na pierwszym piętrze wybucha dławiącym hukiem. Gdyby sięgnęła piwnicy byłoby po nas. Dom zatrząsł

się w posiadach. Oszołomieni grzmiotem detonacji otrzepujemy się z piwnicznego gruzu i kurzu. Tym razem mieliśmy szczęście.

Owej nocy na kolonię Staszica spadły dwadzieścia dwie sowieckie bomby. Miały ugodzić w rozlokowaną jeszcze w 1942 r. na Polu Mokotowskim niemiecką baterię dział przeciwlotniczych.

Żeby, chociaż walnęli w budynek Dyrekcji Lasów Państwowych przy Wawelskiej 54, gdzie kwaterowała jakaś formacja SS. Narożnika tego budynku od strony skweru (dzisiaj im. Sue Rider) bronił betonowy bunkier z polem ostrzału w ciąg nieparzystej strony ulicy Krzyckiego. Dom, w którym mieszkałem, stał dokładnie na linii celowania jego broni automatycznej.

Niestety Ruscy przestrzelili. Bomby poleciały na skwer i okoliczne domy zamieszkałe przez ludność cywilną. Spadły również na sąsiednią kolonię Lubeckiego. Jedna z nich trafiła w skład butli z kwasem solnym tuż koło domu Tadzia Pokropińskiego na Grójeckiej. Śmierdziało tym kwasem w całej okolicy przez długi czas.

Było to jedno z serii bombardowań dokonywanych przez Rosjan w maju 1943 r. na obiekty niemieckie w Warszawie. Rzekomo w odwecie za likwidację warszawskiego getta przez hitlerowców.

W czerwcu 1943 kończę naukę w szkole powszechnej. Żęgnam się z profesorem Szulcem. Od września podejmuję edukację na kompletach poza Warszawą.

Był to szczęśliwy okres dziesięciu miesięcy względnego spokoju, dostatku i normalnego życia.

Mieszkałem w Potycku pod Górą Kalwarią, w majątku ziemskim pp. Ireny i Tadeusza Plebańskich. Gospodarze mając możliwości podjęli działalność otaczania opieką i pomocą ludzi „poobijanych” przez wojnę. Stąd Ich dom zawsze był schronieniem dla różnych ciekawych postaci. Dom zabytkowy w charakterystycznym kształcie szlacheckiego dworu z zadaszeniem na czterech kolumnach przed wejściem głównym. Dwór, jak ten z „Pana Tadeusza”: „Właśnie dwukonną bryką wjechał młody panek i obiegłszy dziedziniec zawrócił przed ganek.”

Z obu stron ganku w parterowej zabudowie mieściły się pomieszczenia – z lewej strony, kuchenne a z prawej mieszkalne. Wśród tych ostatnich tuż u szczytowej ściany budynku był wielce tajemniczy pokój. Jak utrzymywał gospodarz domu było to pomieszczenie działającej tam w dziewiętnastym wieku Łoży Masońskiej. Pan Dziedzic był człowiekiem wesołym – zwykł był zadawać zagadkę: „cóż to za ptaszek, co w powietrzu lata? Nie je, nie pije, nie używa świata. Raz tylko zakrzyknie, kiedy się narodzi. Jednemu ulży, drugiemu zaszkodzi!?” („bąk” z trzewi).

Przerabiałem program pierwszej klasy gimnazjum wraz z Ich synem Tomaszem. Uczyla się z nami również Halszka Poniatowska. Była córką żołnierza zawodowego II RP – majora, szefa służby samochodowej DOK IX (Dowództwa Okręgu Korpusu) Mówiła mi, że ojciec we wrześniu 1939 trafił do niewoli i przebywa w Katyniu. O Jego dalszych losach nie wiedziała, ponieważ

korespondencja listowa urwała się w połowie 1940 roku. Dopiero po pięćdziesięciu latach uzyskała potwierdzenie wiadomości o Jego śmierci.

Wykładowcami byli: nauczyciel NN, wysiedlony z terenów zajętych przez III Rzeszę, p. Zofia Gmyz nauczycielka niemieckiego i Zoja Plebańska wykładowca łaciny. Ta ostatnia po Powstaniu trafiła do KL (Konzentrationslager) w Ravensbrueck i poddawana była zbrodniczym eksperymentom medycznym.

Tomek i jego starszy kuzyn Andrzej Łopaciński pięknie grali Chopina. Popołudniami urządzali koncerty fortepianowe. Stamtąd wywodzi się moja miłość do narodowego kompozytora.

W Potyczy uczyłem się jazdy konnej. Kuc był narowisty. Lubił chodzić tam gdzie on chciał i nie poszedł w lewo, jeśli chciał iść w prawo. Aby mnie nauczyć szacunku do siebie rozpędzał się w galopie i nagle zatrzymywał. Nie rzadko przez koński łeb łądowałem na ziemi. Nie bez trudności, poobijany próbowałem pójść w ślady mego Ojca – kawalerzysty szwoleżera.

W majątku były konie robocze i tzw. „cugowe” – do powozu i breku oraz jazdy konnej. Był ogier zarodowy Lampart i cztery rasowe arabskie klacze. Właśnie jedna z nich ożrebiła się wieczorem. Rano pobiegłem do stajni zobaczyć „noworodka”. Żrebię leżało w kojcu i wyglądało jak żywy „konik na biegunach”. Podszedłem chcąc je pogłaskać. Mała (klaczka) zerwała się na równe nogi i wyrznęła mnie kopytkami w kolana. Zwaliła mnie z nóg. Oslupiałem z wrażenia. A przecież mówiono mi: „nigdy nie podchodź do konia od tyłu.” Do konia. Przecież to końskie dziecko, jeszcze nie miało nawet jednej doby życia!

Klaczkę nazwano Cyrenajka na pamiątkę potężnego lania, jakie Niemcy i Włosi dostali w 1943 r. od Anglików w Afryce.

Przyjeżdżała na wieś z Warszawy kuzynka Tomasz – Basia Plebańska. Dwudziestolatka, ładna i zgrabna dziewczyna wspaniale wyglądała w bryczesach i długich butach, niezłe jeździła konno. Młodzież męska kochała się w Niej skrycie na zabój. My smarkacze nie mieliśmy żadnych szans, niestety.

24 września 1944 zginęła w powstaniu warszawskim.

Żył się spokojnie. Szwabski nadzorca (der Treuhaender) za wygodne i dostatnie życie w majątku nie pchał się, gdzie nie potrzeba. Pilnował wydzielania i przekazywania należnego okupantowi kontyngentu produkcji rolnej.

Jedynie nocami parokroć zjawiali się „jędrusie” (potoczna nazwa „partyzantów” nieznaney proveniencji). Ci przychodzili w zasadzie po żywność nie gardząc jednak i innym dobrem. Zwędzili mi (podczas snu) pamiątkowy zegarek kieszonkowy. Dostałem go od stryja Janusza (b. senatora II Rzeczypospolitej), który w czasie powstania warszawskiego wywieziony z Ochoty do Oranienburga tam właśnie zginął.

Widać „jędrusie” uznali, że „obrońcy Ojczyzny” są bardziej predestynowani do posiadania zegarka.

Do Warszawy wróciłem w czerwcu 1944. W lipcu Rodzice wysyłają mnie do Otwocka na jakieś kolonie dla młodzieży. Obiekt, który zamieszkujemy, mieści się w lesie nieopodal rzeczki Świder i sąsiaduje przez siatkowy płot z niemieckimi

wojskowymi magazynami. Codziennie obserwujemy ich uzbrojoną ochronę. Ktoregoś dnia w połowie lipca żołnierze znikają.

Z duszą na ramieniu, przez płot wdzieramy się na teren magazynów. Wartownicy odeszli w trybie alarmowym. Pootwierane drzwi do baraków. Na stołach talerze z niedokończonym śniadaniem. W pomieszczeniach widać oznaki opuszczania ich w pośpiechu, bez zachowania podstawowych zasad porządku wojskowego.

Nareszcie! Nareszcie ktoś szkopom kota pogonił!

W trzeciej dekadzie lipca 1944 zaczął się paniczny exodus wojsk niemieckich okupantów przez Warszawę na zachód. Jechali furmankami Alejami Jerozolimskimi i dalej przez Ochotę. Ich żałosny wygląd budził ogromną satysfakcję. Ewakuacja trwała parę dni. Niestety po ich upływie naziści wrócili. I wszystko było jak dawniej. Za wcześniej się ucieszyłem.

Do domu wróciłem w trzeciej dekadzie lipca. Pogoda była na ogół dobra a w zapasie jeszcze miesiąc wakacji. Dni płynęły szybko, w zasadzie beztrzesko. Nie miałem świadomości powagi i ciężaru gatunkowego zbliżających się wydarzeń. Te zaś nadchodziły milowymi krokami. Z całą bezwzględnością ślepego Losu, przyszłe wypadki miały zaważyć na całym dalszym moim życiu. Zaciążyć na mnie wszystkimi tego faktu konsekwencjami wraz z otarciem się o rozstrzygnięcia ostateczne włącznie.

Nadszedł pogodny, piękny, gorący wtorek 1 sierpnia 1944 r. We wczesnych godzinach popołudniowych poszedłem do kolegi z podwórka, który mieszkał na trzecim piętrze domu przy Raszyńskiej 15. Siedzieliśmy na balkonie od ulicy i graliśmy w „Milionera”. Na Raszyńskiej i Filtrowej trwał powszedni ruch pieszych i pojazdów. Było spokojnie, po prostu normalnie jak w mieście.

Nagle z okolic placu Narutowicza dobiegło echo pojedynczych strzałów pistoletowych. Później, kanonada rosła i przybierała na sile. Patrząc wzdłuż Raszyńskiej w kierunku Filtrowej obserwujemy zaskoczonych i spłoszonych ludzi uciekających do bram okolicznych domów.

Z jękiem kół na podwójnym zakręcie szyn, bez zatrzymania się na przystanku przy Filtrowej, popędził tramwaj „osiemnastka” do Śródmieścia. W okamgnieniu zrobiło się pusto na ulicach. Strzelanina nasilała się. Dochodziła godzina siedemnasta.

„O godzinie 16.52 do stojącego u południowego krańca placu Narutowicza w mundurze granatowego policjanta kpr. „Osya”, żołnierza plutonu ppor. „Krynicy”, podchodzi dwuosobowy patrol niemiecki. Jest w tej minucie prawie spokojnie. Zbliżającym się do „Osya” szupowcom (Schutzpolizei-policja ochronna – przyp. mój) nie podoba się zbyt długie wystawianie policjanta w jednym miejscu. Chcą go może wylegitymować, kpr. „Osa” nie czekając jednak na dalsze wydarzenia wyszarpuje błyskawicznie pistolet. Padają pierwsze strzały, padają pierwsi Niemcy. Powstanie na Ochocie zostaje rozpoczęte.”<sup>51/</sup>

---

<sup>51</sup> / Józef K. Wroniszewski, Ochota 1944, wyd. MON Warszawa 1970, s. 53



Zaniepokojony biegiem wydarzeń, nie mając pojęcia, o co tu idzie, opuszczam mieszkanie kolegi i wracam do domu. Wchodzę do kuchni przez okno od podwórza. Wejście od ulicy Krzyckiego nie jest już możliwe, ponieważ ulica ta a zwłaszcza jej nieparzysta strona jest pod ostrzałem z bunkra przy budynku Lasów Państwowych na Wawelskiej.

Ojciec mówi, że prawdopodobnie wybuchło powstanie przeciw Niemcom, i że Mamy nie ma w domu. Wzięła nowe kartki żywnościowe i pojechała na Wilczą do rzeźnika. Godziny wloką się nieznosnie. Pod parkanem, kilka metrów od wejścia do naszego domu, leży ciężko ranna służąca Marysia. Słabym głosem wzywa pomocy. Na próżno – nie ma żadnych możliwości, aby jej pomóc. Szkopy prują seriami, przy każdym objawie jakiegoś ruchu, niemal bez przerwy. Pełni niepokoju śledzimy rozwój wydarzeń i z najwyższą obawą oczekujemy na powrót Mamy. Wreszcie nadeszła noc. Około północy Mama wraca do domu szczęśliwie. Przeszła ze Śródmieścia skokami od domu do domu korzystając z panujących ciemności i całkowitej pustki na ulicach. Nikt Jej nie zatrzymywał. Jedynie na skrzyżowaniu ul. 6 Sierpnia z Nowowiejską została ostrzelana. Los sprawił, że niecelnie. Uprowadzona o ostrzał ulicy Krzyckiego, prześlizgnęła się parzystą jej stroną i przeskoczyła przez jezdnię na wprost drzwi wejściowych do domu. Wystrzelona seria z ckm – nie sięgnęła celu. Na szczęście jesteśmy znowu razem.

Wołanie Marysi o pomoc ustało. Odeszła. Kilka metrów od miejsca Jej śmierci bliżej ulicy Dantyszka leży jakiś obcy mężczyzna. Nie daje oznak życia. To pierwsze ofiary warszawskiego powstania na Kolonii Staszica, które zginęły w pierwszym jego dniu w pobliżu mego domu. Niestety nie ostatnie. W kolejnych dniach miało ich przybywać. Z czasem na Ochocie, sięgnęły liczby idącej w parę dziesiątek tysięcy.

Mama przynosi wieści ze Śródmieścia. Nastroje są pełne euforii. Bijemy się ze zniechęconym okupantem! Za parę dni Warszawa będzie wolna.

Następnego dnia rano ze strychu domu obserwuję polską flagę wywieszoną na jakimś budynku w Śródmieściu. Dumnie łopocze cały dzień na wietrze ciesząc oko swą nieskazitelną bielą i soczystą czerwienią. Jednak już następnego dnia i w kolejnych dniach obserwuję, jak podziurawiona i porozrywana zwisa bezwładnie na drzewcu. Euforia i entuzjazm ludzi powoli gaśnie. Rachuby szybkiego zwycięstwa okazują się złudne. Ludzie wracają do ponurej rzeczywistości. Pojawiają się głosy krytyki pod adresem Dowództwa Powstania.

„Uczestnik powstania, b. oficer KG AK Jerzy Kirchmajer stwierdził: jest pewne, że powstanie warszawskie zostało wywołane jako demonstracja polityczna. Jest niemniej pewne, że już w swoim założeniu było aktem zbrojnym, przeciwko któremu przemówiły wszystkie argumenty wojskowe. (...) Decyzja powzięta w dniu 31 lipca nie miała podstaw wojskowych, nosiła w sobie zarodek klęski i nieszczęść. To jest jasne nie tylko dzisiaj. To było jasne już w czasie powstania.”<sup>52/</sup>

Kolejne dni upływają w atmosferze pełnej napięcia i niepewności. Przybywa niewinnych ofiar strzelaniny. W gabinecie stomatologa przy Filtrowej 73 tenże lekarz piłką tzw. „laubzegą” obcina zgruchotane podudzie jakiegoś młodego

<sup>52</sup> / Op.cit. s.18

mężczyzny. Wdała się gangrena. Ratuje mu życie, bez żadnej gwarancji na przyszłość.

Zwłoki zabitych, leżących na ulicach, pod wpływem upałów zaczynają się rozkładać. Trupi odór zatrzuwa powietrze. Nie daje się oddychać. Podchodząc od strony Dantyszka, która jest poza zasięgiem ostrzału, bosakiem wciągamy zabitego mężczyznę na teren posesji. Spoczął w grobie wykopanym na podwórzu mego domu. W miarę upływu czasu takich grobów przybywa.

Codzienne życie toczy się nadal w obłęzieniu. Zapasy żywności gwałtownie topnieją i nie ma możliwości ich uzupełnienia. Mieszkańcy domu wspierają się wzajemnie i dzielą tym, co posiadają. Pamiętam, że żyliśmy jakimś makaronem gotowanym na różne sposoby.

Kanonada i wybuchy trwają ze zmiennym natężeniem. Z czasem jednak ich intensywność wyraźnie się zmniejsza.

„Na Ochocie ppłk Grzymała (pseudonim dowódcy Obwodu IV – Ochota, ppłk. Mieczysława Sokołowskiego – przyp. mój) uległ około godz. 1 (dnia 2.8.44) namowom swych oficerów, by wycofać się do lasów sękocińskich”<sup>53/</sup>

I wycofali się, zostawiając ludność Ochoty jej własnemu losowi.

O powyższym fakcie dowiedziałem się znacznie później. Jednak stan opuszczenia, zdania na łaskę bezwzględного wroga, widmo zagłady oraz unicestwienia zbliżał się gwałtownie tak, by nadejść w ciągu kilku najbliższych dni.

„(...) od wczesnych godzin popołudniowych 3 sierpnia przygotowuje się na Okęciu do swego jutrzejszego marszu na Warszawę brygada SS RONA (Russkaja Oswoboditielnaja Narodnaja Armija) (...) będąca w służbie hitlerowskiej (...) rekrutująca się z dezertarów i zdrajców narodów radzieckich (...) udział tej brygady w działaniach przeciw powstańczej Warszawie ograniczył się właściwie do terenu dzisiejszej Ochoty (...) Dowódcą brygady był SS-Brigadefuehrer Mieczysław Kamiński (...) w swym bestialstwie (...) miał niewielu sobie równych (...) brygada (...) niezbyt ochocza w walce, mordowała (...) grabiła, gwałciła i podpałała bez wytchnienia – aż do końca swej działalności w Warszawie (27 sierpnia 1944).”<sup>54/</sup>

„W dniu 6 lub 7 sierpnia około godziny 13 wpadli do domu żołdacy. Wyrzucali wszystkich bijąc korbami opóźnionych, zabierając wszystko, co się dało: zegarki, biżuterię, papierosnice i medaliki zdzierane z szyjek maluchów. Pognali nas ul. Raszyńską, przy której płonęły wszystkie domy i na ul. Żwirki i Wigury, przy ogródkach działkowych ustawili w czwórki”<sup>55/</sup>

Ósmego sierpnia w południe rozległo się walenie korbami w drzwi wejściowe

---

<sup>53</sup> / A. Borkiewicz, Powstanie warszawskie 1944, Warszawa 1969

<sup>54</sup> / J.K. Wroniszewski, Ochota 1944, wyd. MON, Warszawa 1970, s. 124.

<sup>55</sup> / Lidia Ujazdowska, Zagłada Ochoty, Fronda, Warszawa 2005 – relacja p. Haliny Jedynskiej (r.1914) z ul. Dantyszka 15.

do mego domu i wściekle głośy: „otkrywaj jebi twoju mać a to podzigać budziem.” Mieszkaliśmy na wprost tych drzwi. Ojciec zanim je otworzył zdjął z ręki zegarek Doxa i oddał mi go na przechowanie. Ten zegarek być może, uratował nas później przed zagładą.

Wpadli jak furia. Pijana tłuszcza: kacapy i kałmuki. Wrzeszczą: „wychodź, bystra, wsie, niemiedlenno”. Wybiegłem z domu jak stałem: w koszuli, harcerskich krótkich spodniach i w sandałach. W ostatniej chwili Ojciec chwycił i zabrał moją futrzaną kurtkę. Zagnali nas przed garaże willi na Dantyszka. Szybko zwiększała się liczba wypędzonych.

Pilnowało nas dwóch kacapów. Byli podpici. W pewnej chwili jeden z nich zarepetował karabin Mosina, przykleknął, zmierzył się i oddał strzał. Następnie powiedział: „smotri Wańka, pierwszym razem popał”. Na moich oczach, z zimną krwią zastrzelił bez żadnego powodu, jakąś kobietę wychodzącą z domu przy ulicy Rapackiego.

Zebraną grupę wywleczonych, sterroryzowanych mieszkańców w liczbie około trzydziestu osób Rosjanie wśród wrzasków i uderzeń kolbami karabinów doprowadzili na ulicę Raszynską w pobliże tyłów ambasady Iranu, gdzie stali już inni wypędzeni. Mijaliśmy płonące domy, leżące trupy ludzi i wzdętych koni. Wokół pożoga, swąd pożarów, dymy i zgłiszcza. Trupi odór przyprawia o mdłości.

Stoimy sfłoczeni w liczbie około stu osób, mężczyźni, kobiety i dzieci. Przed nami z trzech stron ustawione karabiny maszynowe typu Maxim. Przy nich obsługi. Nakazali oddać wszystkie ostre narzędzia jak nożyczki, scyzoryki i pilniki do paznokci. Mając na nami absolutną przewagę jednak się nas obawiali.

Kobiety lamentują, chyba intuicyjnie wyczuwają, że oto nadchodzi kres życia. Wiedziony jakimś dziwnym przeczuciem, optymistycznie próbuję uspokoić płaczącą Mamę. Ale sytuacja jest absolutnie jednoznaczna. Rozwała nas tutaj bez dwóch zdań.

„Obok stały pojazdy pancerne i wycelowane w nas karabiny maszynowe z zielonymi tarczami ochronnymi. Ojciec powiedział, że to „maksimy”<sup>56/</sup>

Nagle od strony Żwirki i Wigury nadjeżdża samochód terenowy. Są w nim trzej oficerowie Wehrmachtu. Jeden z nich stając na stopniach samochodu oświadcza, że w dniu dzisiejszym Führer Adolf Hitler wydał rozkaz o wstrzymaniu działań pacyfikacyjnych przeciwko polskim bandytom w Warszawie. Zostaną oni przewiezieni do Rzeszy i będą pracować dla zwycięstwa Wielkich Niemiec. Nakazał ronowcom sformować z nas kolumnę marszową i odprowadzić ją na punkt zborny na tzw. Zieleniak. Szliśmy aleją Żwirki i Wigury, później wzdłuż jakichś ogródków działkowych do Grójeckiej. Wszędzie po drodze leżą trupy mężczyzn, kobiet i dzieci. Wokół wypalone i zgruzowane domy.

Niespodziewanie, z tych gruzów padają pojedyncze strzały. Jakiś osamotniony „bohater” próbuje uwolnić kolumnę od eskorty. Czyż nie zdaje sobie sprawy, że naraża nas na odwet ze strony ronowców? Ci jednak otwierają ogień w kierunku skąd padły strzały. Nieznany bojownik milknie a wraz z nim przepadają jego naiwne

---

<sup>56</sup> / Op.cit. – relacja p. Henryka Poborskiego (r. 1932) z ul. Kopińskiej 1 m. 24.

rachuby na nasze uwolnienie.

W czasie marszu obserwuję nurkujące samoloty Ju-87 (Stuka) bombardujące Śródmieście. Zrzucają duże pojedyncze bomby kruszące i po trzy mniejsze. Widać dokładnie jak spadają. Po wybuchu unoszą się kłęby dymu. To bomby zapalające. Samoloty startują z Okęcia, które w planach Dowództwa Powstania miało być opanowane w pierwszej kolejności. Zadanie powyższe w połączeniu ze znacznymi stratami własnymi nie zostało wykonane. Głównie z powodu skandalicznego zaniechania elementu zaskoczenia przeciwnika, poprzez rozpoczęcie walki w biały dzień o godzinie siedemnastej (zgodnie z absurdalnym rozkazem Dowódcy Powstania).

Dochodzimy Grójecką do ogrodzonego betonowym płotem warzywnego targowiska zwanego Zieleniakiem. W najśmielszych, najbardziej ponurych wyobrażeniach nie przewidywałem, co mnie tam może spotkać. Wchodząc na teren placu przekroczyłem wrota piekieł. Z całą pewnością piekło istnieje na ziemi.

„Z najmniejszego powodu bito i strzelano do ludzi, upał, pragnienie, brak wody i żywności oraz lęk przed dziczą – nie da się opisać.(...) Zaduch, brak ubikacji, ranni, chorzy, zabici i zmarli, wariaci, rodzące kobiety – wszystko to razem pod gołym niebem bez wody i żywności”<sup>57/</sup>.

„8 sierpnia. Rozpoczyna się drugi tydzień powstania. Pogoda nadal jest piękna. Noce chłodne, rozgwieżdżone i księżycowe, dniami skwary sierpniowe (...) bezlitosne zwalające z nóg umęczonych, głodnych i spragnionych ludzi. Większość mieszkańców przeżywa gehennę Zieleniaka (...) Na Zieleniaku głód z każdym dniem coraz cięższy, brak wody coraz dotkliwszy, ofiar coraz więcej.”<sup>58/</sup>

Na Zieleniak wiodą dwie bramy. Obie obsadzone przez rosyjskich uzbrojonych po zęby bandytów. Pijani, prowokacyjnie zachowują się szukając byle okazji do bicia i strzelania. Wlewamy się na plac wybrukowany kocimi łbami. Wraz z moimi Rodzicami idzie Ich znajoma z Raszyńskiej 15 młoda farmaceutka p. Zosia Karaszewska i p. Wolscy. Trzymamy się razem. Zdruzgotani nawaleń wrażeń padamy na bruk. Wokół masy nieszczęsnych, zmaltretowanych, głodnych i spragnionych leżących na ziemi mieszkańców Ochoty. Wstawać nie można, bo to niebezpieczne. Za murem targowiska szkopy rozmieścili wyrzutnie raketowe tzw. „szafy” lub „krowy” i ostrzeliwiają miasto. Ryczące pociski przelatują niemal tuż nad naszymi głowami. Potworny hałas dobija nas ostatecznie.

Nadeszła noc ukazując swoje jeszcze bardziej przerażające oblicze. Świećcą latarkami kacapy chodzą po ludziach (dosłownie) i wyszukują młode kobiety. Strzelając i wrzeszcząc wyciągają je z rąk matek i ojców. Jakiejś matce, która objęła córkę rękoma nie pozwalając żołdakom na jej zabranie, bandyci obcięli te ręce. Włoką dziewczyny do wartowni i tam gwałcą. Przejmująco rozpaczliwe krzyki dziewcząt rozlegają się donośnie i nagle strzał i cisza.

Aby ukryć naszą młodą znajomą, wraz z Ojcem przykrywamy Ją własnymi

<sup>57</sup> / J.K. Wroniszewski, Ochota 1939-1944, wyd. MON, Warszawa 1976, s.658

<sup>58</sup> / J.K. Wroniszewski, Ochota 1944, wyd. MON, Warszawa 1970, s.183.

ciałami i tak trwamy do rana.

„9 sierpnia rozpoczyna się wywożenie ludności z Ochoty do obozu przejściowego w Pruszkowie.(...) mieścił się on w nieczynnych (...) warsztatach kolejowych. Warunki bytowania były straszne: bez najprymitywniejszych urządzeń sanitarnych, bez zorganizowania miejsc noclegowych, przy głodowych porcjach żywności Śmiertelność (...) ludności była bardzo wielka”<sup>59</sup>/

Od rana 9 sierpnia formują kolumnę ewakuacyjną spośród mieszkańców Ochoty przebywających na Zieleniaku. Ani chwili dłużej w tym piekle! Wchodzimy do kolumny i otoczeni szczerlnie przez ronowską eskortę, około południa wyruszamy na Dworzec Zachodni. Tu wsiadamy do wagonów kolei elektrycznej i pod asystą Bahnschutz'ów (umundurowana i uzbrojona straż kolejowa) ruszamy do Pruszkowa. Pociąg zatrzymuje się na chwilę we Włochach. Tu już czekają ludzie miejscowi i podają nam ćwiartki chleba, pomidory, ogórki i owoce. Przez okna wagonu dzieli nas ledwie półmetrowa przestrzeń. Po jednej stronie niewolnicy po drugiej ludzie wolni. Obserwujemy młode pary trzymające się pod ręce, rolników pracujących w polu, kolejarzy obsługujących urządzenia kolejowe. Niewiarygodne! Tam za oknem toczy się n o r m a l n y świat.

Przyjeżdżamy do Pruszkowa wprost na teren nieczynnych warsztatów kolejowych, gdzie mieści się Dulag 121 (Durchgangslager), czyli obóz przejściowy dla polskich „bandytów” z Warszawy. Wyrzucają nas z wagonów wrzaskami: „alle raus, schnell, schnell, verfluchte Bande” na teren obozu. Tu o dziwo ludzie z RGO (Rada Główna Opiekuńcza) organizują jakieś zaopatrzenie żywnościowe. Wściekle wygłodzeni chwytny kawałki chleba na zapas.

W obozie wszechwładnie rządzą umundurowani na czarno SS-mani (Schutzstaffeln) sławne z bestialskich działań – oddziały ochrony. Ci z pistoletami w ręku błyskawicznie otaczają nas i wrzaskami spychają w przejście między dwoma budynkami. Tu zaś odbywa się selekcja według schematu: nadający się do pracy – na prawo i nienadający się do pracy – na lewo. Na moich oczach rozdzielają starszą wiekiem matkę od młodej jeszcze córki. Kobiety rozpaczliwie płacząc błagają, aby je pozostawić razem. Pistolet przystawiony przez hitlerowskiego bandytę do skroni matki przesądza sprawę – oczywiście na jej niekorzyść.

Atmosfera selekcji powoduje wzrost napięcia do wartości ekstremalnych. A jednak mamy „szczęście”. Matka, Ojciec i ja trafiamy do grupy przewidzianych do wywózki na roboty przymusowe. Za cenę życia będziemy pracować na rzecz Wielkiej Niezwycięzonej Tysiącletniej Rzeszy Niemieckiej. Tak przynajmniej wynika z tego, co powiedział jakiś wyższy funkcjonariusz Gestapo (Geheimstaatspolizei) – tajna policja państwowa. Nasi sąsiedzi z Krzyckiego p. Wolsey też dostali tę szansę.

Ładują nas do bydłych wagonów, które podstawiono na innym torze. Stłoczeni do granic możliwości w zamkniętych i zaplombowanych wagonach z obstawą Bahnschutz'ów jedziemy ponad dobę do Wrocławia do obozu na Psim Polu (Hundesfeld Breslau). Wystarczy odrobina wyobraźni, aby przedstawić sobie ponury obraz tej podróży.

<sup>59</sup> / op.cit. s. 194

Na wydzielonym polu, ogrodzonym wysokim płotem z drutu kolczastego, z obsadzonymi wieżyczkami wartowniczymi – baraki mieszkalne i jakiś warsztat. Rano dają kawałek chleba i miskę naparu z mięty. Na obiad zupa z pokrzywy (autentyczne) i kolacja taka jak śniadanie. A jednak to było jakieś żarcie, wystarczające, żeby nie zdechnąć.

W obozie masy wysiedlonych mieszkańców Warszawy. Na oko widać, że jest nas zbyt wielu. Pewnie będzie wywózka. Za cenę Doxy Ukrainiec (Ost)<sup>60/</sup> pracujący w warsztacie stolarskim udostępnia nam pomieszczenie. Tu zamknięci w ciągu całej doby, przez okno obserwujemy wywożenie ludzi, jak się później okazało, prosto do Auschwitz.

A więc Los znowu się do nas uśmiechnął!

Następnego dnia już jest spokojnie. Wychodzimy z ukrycia, włączamy się w nurt obozowego życia. Spotykamy p. Wolskich. Im też jakoś udało się uniknąć wywózki. Po dwóch dniach przychodzi zapotrzebowanie na siłę roboczą. Wiozą nas koleją elektryczną przez Waldenburg (Wałbrzych), Landeshut (Kamienna Góra) do Liebau/Schlesien (Lubawka). Trafiamy do obozu pracy przymusowej przy przędzalni lnu o nazwie” Wihardsche Flachsspinnerei”. Kierownikiem obozu jest Lagerfuehrer Ansorge.

Otrzymujemy dokumenty pracy (Arbeitskarte), odzież roboczą i wyjściową, bardzo mizerne zaopatrzenie żywnościowe, prawo do dwunastogodzinnej całotygodniowej pracy i cotygodniowej skromnej wypłaty oraz zakwaterowanie w zapluskwionym i zawoszonym baraku. Dla takiego nędzarza jak ja, który posiada tylko to, co na sobie i dosłownie nic poza tym (mam na myśli choćby szczoteczkę do zębów) – to jest po prostu – bardzo ograniczony powrót do normalności. Jednak za zarobione marki niczego nie kupisz – wszystko objęte jest systemem kartkowym. My oczywiście kartek nie mamy.

„Życie robotników przymusowych (...) mogło się wydawać całkiem znośne.(...) Niemniej jednak (...) lista obowiązujących ich zakazów była nieskończenie długa: „oznakowani literą „P” nie mogliśmy siedzieć w tramwaju, wejść do restauracji, kościoła, kina (...) Nie wolno nam było mówić na ulicy po polsku, gromadzić się (...). Jakikolwiek naruszenie tych reguł uznawano za przestępstwo, którym mogło się natychmiast zająć Gestapo.”<sup>61/</sup>

Znowu miałem szczęście. Moi nieznanymi mi rówieśnicy z Ochoty trafili gorzej: Bogdan Bartnikowski (r.1931) do Auschwitz, Bożena Godycka (r.1930) do Ravensbrueck, Henryk Poborski (r.1932) do Buchenwaldu, Ryszard Lemiszewski do Oranienburga, Wojciech Kucharski (r.1929) do Auschwitz <sup>62/</sup>.

„Biorąc pod uwagę ogromne zapotrzebowanie Niemiec na siłę roboczą trudno do końca zrozumieć, dlaczego w październiku 1944 roku tak wielu warszawiaków zamknięto w obozach

---

<sup>60</sup> / Ost – naszywka noszona na ubraniu Ukraińców-ochotników pracy w Niemczech.

<sup>61</sup> / Norman Davies, Roger Moorhouse, Mikrokosmos, Portret miasta środkowoeuropejskiego, tłum. Andrzej Pawelec, Kraków 2002, s. 423.

<sup>62</sup> / vide Lidia Ujazdowska, Zagłada Ochoty, Fronda, Warszawa 2005.

koncentracyjnych.”<sup>63</sup>/

Załogę fabryki stanowią nieliczni starsi wiekiem majstrowie i wykwalifikowane pracownice - Niemcy. Pozostała przeważająca liczebnie część personelu to ochotnice pracy – dziewczyny Polki z Górnego Śląska, robotnice z Ukrainy (Ost) i około trzydziesto osobowa nasza grupa robotników przymusowych z Warszawy.

Wydano nam naszywki z fioletową literą „P” na żółtym tle, które nakazano nosić stale na ubraniu w widocznym miejscu. Litera oznaczała: ”polnische Arbeitskraft”- polska siła robocza. W wydanej mi Arbeitskarte (karta pracy) w miejscu „przynależność państwowa” wpisano mi „Staatlos” – bezpaństwowiec, narodowość: ”Pole” - Polak. Kraj pochodzenia: General Gouvernement - generalna gubernia. A więc niewolnik. Czuję się jak zbity pies.

Osiem miesięcy dwunastogodzinnej w ciągu dnia ciężkiej ponad moje siły pracy w kurzu, przeciągach, w słońcu, błocie i na mrozie. Miałem wówczas tylko czternaście lat.

Na początku lutego 1945 ustały dostawy węgla unieruchamiając pracę w fabryce. Przerzucono nas (mężczyzn) na drogę wylotową do Kamiennej Góry. Tu wznosimy z sosnowych bali i kamieni tzw. Panzersperre (zapora przeciwpancerna). Okrążywszy oblężony Wrocław zbliża się Armia Czerwona.

Przyjeżdżają wozami konnymi ostatni uchodźcy niemieccy spod Opola. W nocy temperatura spada poniżej dwudziestu stopni mrozu. W wozach przyjeżdżają zamrażnięci ludzie. Atmosfera w mieście i w fabryce osiąga szczyty napięcia, Niemcy ulegają panice. Na zebraniu fabrycznej organizacji NSDAP zapada decyzja: robotnicy przymusowi mają być wysiedleni na teren Protektoratu Czech i Moraw.

Pod koniec lutego formują kolumnę marszową i w asyście uzbrojonych ludzi z Volkssturm’u (pospolite ruszenie) wyprowadzają nas poza miasto. Idziemy bocznymi drogami na południowy wschód w kierunku na Rudę Śląską. W okolicach dzisiejszej Jedliny Zdroju spotykamy idącą z przeciwka kolumnę więźniów obozu koncentracyjnego Gross-Rosen, którzy byli zatrudnieni przy budowie podziemnych bunkrów w Walimiu. Ewakuują ich w głąb Rzeszy. Są w obstawie SS-manów. Dowiadujemy się tych szczegółów od nich samym ukradkiem. W swoich pasiakach, wychudzeni i osłabieni wyglądają naprawdę bardzo źle. Pogoda jest wietrzna. Zaczyna padający śnieg. Jest parszywie zimno. Ewakuację Gross-Rosen związaną z wielką ilością ofiar śmiertelnych spośród więźniów tego obozu nazwano później „marszem śmierci”.

Po trzydniowym marszu eskorta doprowadza nas „warszawiaków” do granicy III Rzeszy i Protektoratu Czech i Moraw, a w Nahodzie oddają do dyspozycji Gestapo. Tu zostajemy poinformowani, że mamy obowiązek stawienia się w obozie, który zostanie określony przez miejscowe władze. Ostrzegają, że nie wolno nam zatrzymywać się na dłużej niż dwadzieścia cztery godziny w jednym miejscu, (czyli tylko na jedną noc) i że nie zastosowanie się do nakazu zagrożone jest karą śmierci. Kierują nas do Czeskiej Skalicy. Tu otrzymujemy „Fahrbefehl”, czyli rozkaz jazdy z wyznaczoną trasą „Trautenuau ueber Eipel”, czyli Trutnov przez Upice nad Metui.

<sup>63</sup> / Norman Davies, Powstanie ‘44, op.cit. s. 630

Powstaje dylemat. Jak nas informują Czesi – Trutnov to obóz koncentracyjny. A zatem należy tak iść, aby tam nie dojść. Udajemy się na północ do Hronova. Przyjmują nas i zatrzymują na trzy dni bardzo życzliwi i serdeczni p. Soukupowie – właściciele małej fabryczki narzędzi. Rozmowom nie ma końca. Niemiłym zgrzytem powraca jednak sprawa Zaolzia sprzed siedmiu lat. Pada pełne żalu pytanie: „Jak pak jste mohli nam tohle to udílat?” (Jak mogliście nam to zrobić?). Niestety nie ma na nie rozsądnej odpowiedzi. Oczywiście jest, że winę za polityczną ślepotę i absurdalną decyzję ponosi sanacyjny Rząd II Rzeczypospolitej. A Czesi próbują to jakoś zrozumieć.

„Prezydent Czechosłowacji Edvard Benes pisał do Władysława Sikorskiego, że fakt, iż Polska uchyliła się od porozumienia z Czechosłowacją w 1938 roku, które kilkakrotnie proponowałem, iż na swój rozpaczliwy list zamiast odpowiedzi płk Beck przysłał mi ultimatum i kilka dywizji na naszą granicę, zdecydowało o tym, że Czechosłowacja nie podjęła wojny z Niemcami.”<sup>64/</sup>

Zima jest piękna. Śniegu po kolana. Przemierzamy zaśnieżone pagórkowate tereny północnych Czech we czwórkę. Jest z nami chłopak, z którym zaprzyjaźniłem się jeszcze w Liebau. Jest moim rówieśnikiem i nazywa się Zygmunt Pejta. Pochodzi z warszawskiej Woli. Jest zupełnie sam. Jego Rodzice zostali rozstrzelani w czasie Powstania.

„Szacunkowe liczby ofiar rzezi na Woli i Ochocie wahają się od 20 000 do 50 000.”<sup>65/</sup>

Chodzimy od wsi do wsi – bez pośpiechu. Mamy czas do końca wojny! Nie spieszy nam się do Trautenau. Wreszcie trafiamy do dużej wioski – Havlovice, pod Upicami. Wójt (po czesku „starosta”) podejmuje decyzję i zostajemy tam na stałe. Mieszkamy u kowala p. Martinka. Pracujemy za wyżywienie u miejscowych „sedlakov” – gospodarzy. Ojciec nawet otrzymał kartki na tytoń. Doznajemy dowodów zrozumienia i współczucia oraz pomocy ze strony Czechów, które w ówczesnej sytuacji zasługują na najwyższe uznanie.

Dni płyną w miarę spokojnie. Czuje się nadchodzący koniec wojny. 5 maja cudem unikamy aresztowania przez funkcjonariuszy żandarmerii niemieckiej, która stacjonowała w Upicach i ewentualnej „rozwałki”. Szczęściem kres panowania uebermensch’ów zbliżał się milowymi krokami. I wreszcie 8 maja nadszedł upragniony koniec wojny. Żegnamy się z Czechami, którym winniśmy wdzięczność za udzieloną nam pomoc.

Wracamy pociągiem do kraju. Po drodze wielokrotnie musimy pokonywać kilometrowe odcinki torów kolejowych zniszczonych przez Niemców. Jedziemy w odkrytych wagonach, w masie innych uchodźców. Towarzystwo międzynarodowe. Wśród innych są również Serbowie. Zdumiewająco łatwo się z nimi porozumieć. Szybko się dogadujemy. Pociąg zatrzymuje się na jakiejś małej stacyjce. Na peronie widać uzbrojoną grupę czerwonooarmistów. Rozlążą się po wagonach. Pada groźnym tonem wypowiedziane pytanie: „Polaki gdzie jeste?” „Niet, my Srby” – odpowiada jeden z naszych nowych przyjaciół ratując nas

<sup>64/</sup> / vide: [http://pl.wikipedia.org/wiki/Edward\\_Smigły\\_Rydz\\_-\\_Stefan\\_Żagiel:\\_Zapomniany\\_marszałek](http://pl.wikipedia.org/wiki/Edward_Smigły_Rydz_-_Stefan_Żagiel:_Zapomniany_marszałek).

<sup>65/</sup> / Norman Davies, Powstanie '44, op.cit s. 343



z niewątpliwej opresji..

Wreszcie dojeżdżamy do granicy czechosłowacko-polskiej. Przed Dziedzicami wysiadamy z pociągu, aby przekroczyć tę granicę. Przed nami szpaler czerwoarmistów. Zatrzymują nas. Padają pytania: „orużije, dziengi, czasy – jest?” Nie. „A mieszk? Czo tam imiejesz?” Koce. „Skolka?” Dwa. „Dawaj odin!” Zabrali mi połowę całego mojego majątku. Zabierali wszystkim - towarzysze krasnoarmiejcy, sojuzniki, oswoboditeli – jednym słowem druzja polskiego naroda!.

Wróciłem do Polski, do mego umęczonego kraju. W Warszawie zastaliśmy tylko zgliszcza naszego domu. Trzeba było zacząć życie od nowa, Jak mówiła moja Mama – od igły i nitki. Mieliśmy tylko to, co na sobie.

Dziś jestem już zaawansowany wiekiem. Kiedyś przez wiele lat byłem żołnierzem Rzeczypospolitej Ludowej, bo taką była moja Ojczyzna i takie było Jej Wojsko. Jak wielu, wielu innych, moich towarzyszy broni – służyłem rzetelnie. Nie muszę chować wzroku – przed nikim. Los dał mi czas na przygotowanie się do „wiecznej warty.” Wykorzystując daną mi szansę, podjąłem próbę opowiedzenia wydarzeń, które osobiście widziałem, przeszedłem i przeżyłem na przestrzeni lat 1939-1945. Musiałem tego dokonać. Sądzę, że winien jestem tę skromną opowieść moim Rodakom, chociażby tym, których znałem i których już nie ma wśród żywych. Żadne ze zdarzeń historycznych, które były udziałem mojego pokolenia Polskiego Narodu a miały miejsce w latach późniejszych (1945–1989), skądinąd będących konsekwencją pozostającą w związku przyczynowo-skutkowym z okresem wojny i okupacji, nie może się z nim równać. Ani wymiarem dramatu, ani rozmiarem strat w ludziach i szkód materialnych, ani ciężarem gehenny pozostawionych przy życiu, ani społecznym kosztem poniesionym przez Naród.

W ubiegłym roku minęło siedemdziesiąt lat od tamtego czasu. Okresu brzemiennego w tragiczne zdarzenia i katastrofalne skutki beznadziejnej walki, zagłady i zniszczenia znacznej części Narodu. To z jednej strony, a z drugiej czasu nieudolności, braku kompetencji, swarów i prywaty Jego przywódców, cywilnych i wojskowych, odpowiedzialnych za klęskę wrześniową roku 1939 i wybuch Powstania Warszawskiego w 1944.

Aby nie zostać posądzonym o jakieś animozje, dla udowodnienia postawionej tezy posłużę się dziełem Normana Daviesa, któremu w tym miejscu oddaję należny szacunek za wielki wkład pracy i dociekliwość historyka. Autor zawarł w bardzo szerokim ujęciu tematykę lat 1939-1945 na ziemiach polskich w książce „Powstanie ‘44’.” Warto poświęcić nieco czasu temu dziełu. Ale zanim przejdę do cytatów – mała dygresja.

Wszelka twórcza, pozytywna działalność ludzka (realizacja) winna być poprzedzona procesem planowania i organizacji. Efektem końcowym tych dwóch etapów winna być d e c y z j a, od której w zasadniczym stopniu zależy oczekiwany wynik, czyli realizacja. W przebiegu podejmowania decyzji w sytuacji skomplikowanej miejscem, czasem i posiadanymi środkami, ważne są również intencje, okoliczności, zależności, układy, wiedza i niewiedza, to, co można i czego nie można było przewidzieć, panowanie i brak możliwości opanowania żywiołu. Ten ogromnie szeroki i wielokierunkowy konglomerat czynników mających wpływ na prawidłowość decyzji winien być brany pod uwagę przez każdego z nas, a przez władze państwowe – w sytuacjach ekstremalnych przede wszystkim. Tym bardziej

moment uruchamiający wykonanie decyzji musi być przedmiotem szczególnej troski i odpowiedzialności decydenta.

Rządowi i Naczelnemu Wodzowi II Rzeczypospolitej zarzuca się błędną politykę wewnętrzną i zagraniczną, podejmowanie mylnych decyzji a w konsekwencji doprowadzenie do upadku Państwa Polskiego.

„Przedwojenny rząd sanacyjny był w najlepszym razie półdemokracją, ponieważ zdominował go element wojskowy o coraz bardziej nacjonalistycznym nachyleniu i ponieważ systematycznie nękał i wykluczał swoich przeciwników politycznych.”<sup>66/</sup>

„Zaolzie samowolnie przechwycone przez Czechów w 1919 roku zostało im samowolnie z powrotem odebrane przez Polaków.”<sup>67/</sup>  
(W roku 1938 – (sic!) kiedy Hitler rozpoczynał, poprzez Anschluss Austrii a następnie zajęcie Czech i Moraw, swój haniebny, bandycki Drang nach Osten – uwaga moja)

„Śmigły Rydz oskarżany jest (...) o to, że poprzez poparcie zajęcia Zaolzia pomógł Hitlerowi w prowadzeniu jego agresywnej polityki, przez co sam przyspieszył moment wybuchu konfliktu zbrojnego z Niemcami.”<sup>68/</sup>

„Klęska z września 1939 roku zdyskredytowała system sanacyjny powszechnie obarczany winą za złe przygotowanie kraju do wojny.”<sup>69/</sup>

Szczupłość miejsca nie pozwala mi na rozwinięcie problematyki politycznych i militarnych przyczyn klęski wrześniowej. Bardziej szczegółowe jej omówienie można znaleźć w pracach powołanych przeze mnie w przypisach. Nie powinno jednak ulegać wątpliwości, że zarówno rząd II Rzeczypospolitej, jak i Jej Wódz Naczelny swymi nietrafnymi decyzjami tę klęskę spowodowali.

W niespełna pięć lat później rząd emigracyjny w Londynie, Dowódca Armii Krajowej i Dowódca Powstania na przestrzeni lipca 1944 podjęli i zrealizowali decyzję o rozpoczęciu Powstania Warszawskiego, która okazała się kolejną klęską narodową. Dla poparcia tej tezy kilka cytatów.

„(...) Krytycy Powstania (...) przytaczają elementarną zasadę z podręczników wojskowości: „Jeśli dana operacja od początku wydate się niewykonalna, nie należy jej w ogóle podejmować” i dalej: „Według (...) (ministra obrony narodowej generała Mariana Kukiele) „Powstanie było „straszną negatywną próbą prowadzenia wojny bez połączenia w jednym ręku władzy politycznej i wojskowej. Tak wojny się nie prowadzi; tego u nikogo nie było. To nie mogło grać w naszych okropnych warunkach.”<sup>70/</sup>

---

<sup>66</sup> / Norman Davies, Powstanie '44, op.cit. s.62

<sup>67</sup> / op.cit s.54.

<sup>68</sup> / vide: [http://pl.wikipedia.org/wiki/Edward Śmigły Rydz](http://pl.wikipedia.org/wiki/Edward_Smigly_Rydz)

<sup>69</sup> / Norman Davies op.cit.s.241.

<sup>70</sup> / Norman Davies op.cit. s. 832 cyt.za Jan M. Ciechanowski, Na tropach tragedii.

„Powstanie bez uprzedniego porozumienia z ZSRR na godziwych podstawach byłoby politycznie nieusprawiedliwione, zaś bez uczciwego i prawdziwego współdziałania z Armią Czerwoną byłoby pod względem wojskowym niczym innym jak aktem rozpaczny.”<sup>71/</sup>

(Powyższe stanowisko prezentował gen. Kazimierz Sosnkowski – do 30.09.1944 r. Naczelny Wódz Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie - na długo przed wybuchem Powstania - przypisek mój).

„W roku 1965 gen. Bór Komorowski solennie oświadczył, że gdyby Naczelny Wódz (gen. Sosnkowski – przypisek mój) zakazał walki o Warszawę, to by jej nie rozpoczął „rozkaz byłby wykonany.” Rozkazu takiego jednak nie otrzymał.”<sup>72/</sup>

Przytoczone stwierdzenie Bora stawia w negatywnym świetle osobę Naczelnego Wodza, który uchyliwszy się od podjęcia decyzji w kwestii rozpoczęcia Powstania, w istotnym momencie pozostawił tę sprawę do rozstrzygnięcia Delegatowi Rządu Jankowskiemu i Dowódcy Armii Krajowej generałowi Komorowskiemu. Ci zaś kierując się względami natury stricte politycznej podjęli tę decyzję z pogwałceniem w sposób karygodny podstawowych zasad sztuki wojennej.

„Nie ma (...) żadnych podstaw do twierdzenia, że powstanie zostało wszczęte w odpowiedzi na radzieckie apele wzywające Warszawę do walki w celu dopomożenia Armii Czerwonej w oswoobodzeniu stolicy.”<sup>73/</sup>

Tego rodzaju nonsensowne, rzekome fakty o istnieniu takich apeli głoszą apologeci Powstania. Idąc dalej skłonni są uznawać Stalina, winnym warszawskiej katastrofy, zapominając o obowiązującej w polityce rządu emigracyjnego teorii „dwóch wrogów” (zarówno Niemców jak i Sowietów). Od wroga oczekiwano pomocy? Przecież to absurd!

„Płonne nadzieje i mylne rozeznanie strategicznego położenia przez gen. Bora-Komorowskiego i jego sztab walnie przyczyniły się do (...) klęski.”<sup>74/</sup>

A zatem, jak już uprzednio wskazałem, dowódca Armii Krajowej generał Bór-Komorowski podjął decyzję w niewłaściwym czasie, miejscu i okolicznościach, a dowódca Powstania gen. Monter (Antoni Chruściel) na tych samych zasadach przystąpił do jej realizacji.

---

Powstanie Warszawskie 1944. Wybór dokumentów wraz z komentarzem, Warszawa 1992, s.116.

<sup>71</sup> / Jan M. Ciechanowski, Powstanie Warszawskie, Zarys podłoża politycznego i dyplomatycznego, PIW, Warszawa 1984 s.460 streszczenie rozmowy Mikołajczyk-Sosnkowski-Kukiel odbytej 3 VII 1944 r.

<sup>72</sup> / op.cit. s. 503

<sup>73</sup> / op.cit. s. 431

<sup>74</sup> / op.cit. s. 410

Postawione cele: ocalenie Warszawy i jej mieszkańców, przechwycenie władzy i wystąpienie w roli gospodarza wobec pogromców nazizmu (Armii Sowieckiej) nie zostały w żadnym stopniu osiągnięte. Zniszczeniu uległa stolica kraju, śmierć poniosło około 200 tysięcy jej mieszkańców, a 800 tysięcy wysiedlono, rozproszono, narażono na poniewierkę, nędzę i groźbę śmierci.<sup>75/</sup>

”Zatem pod koniec wojny, w maju 1945 roku, było już absolutnie jasne, kto wygrał, a kto przegrał Powstanie Warszawskie. Głównymi przegranymi stali się polski rząd na uchodźstwie i jego Armia Krajowa. (...) Pośrednio-zachodnie mocarstwa, które straciły dobrą reputację (...) Zaufanie Polski do Churchilla i Roosevelta okazało się bezzasadne. (...) Na krótką metę Niemcy znaleźli się wśród zwycięzców. (...) hitlerowcy zyskali przewrotną satysfakcję: udało im się dokonać tak kompletnego zniszczenia Warszawy, iż mieli poczucie, że zrealizowali program jeszcze jednego „ostatecznego rozwiązania.”<sup>76/</sup>

Chyląc czoła przed jedynymi autentycznymi bohaterami tamtego czasu wojny, szeregowymi żołnierzami i oficerami Września 1939 r., którzy źle dowodzeni lub pozbawieni dowodzenia stawiali opór faszystowskiemu najeźdźcom i przed tymi, którzy w czasie Powstania 1944 r. walcząc pistoletami i butelkami z benzyną przeciw czołgom, artylerii i lotnictwu wroga trwali do końca na barykadach Warszawy, chyląc czoła przed bezbronną ludnością Kraju i Warszawy, która dała największą daninę krwi, wyrażam zaniepokojenie faktem, że dziś próbuje się nakładać laurowe wieńce na głowy tych, którzy jako rządzący, osobiście ponoszą odpowiedzialność za klęskę Września 1939 i tragedię Powstania 1944.

Czyżby oni również byli bohaterami, zasługującymi na upamiętnienie w pomnikach i w nazwach ulic naszych miast? Czyżby to oni mieli stanowić wzór do naśladowania dla współczesnej polskiej młodzieży?

Warto, być może pomyśleć o tym, że miniony okres siedemdziesięciu lat naszej narodowej historii przebolewał, przeszedł i przeżył Naród, który postawiony w obliczu wyborów ostatecznych potrafił przetrwać walcząc, zwyciężając i tworząc dla siebie. I to On, w przeciwieństwie do rządzących, jest jedynym, prawdziwym i uprawnionym bohaterem tych czasów. Wierzę, że żadne nawet najcięższe próby i klęski, nie zawrócą Go z drogi postępu. Mam nadzieję, że w przyszłości nie będzie musiał wybierać między złym i gorszym rozwiązaniem.

Chciałbym, aby Polacy w przyszłości nie musieli z obrzydzeniem i pogardą myśleć „szkop” o sąsiedzie z zachodu i „kacap” o tym ze wschodu. Ja musiałem. Po prostu – nie miałem wyboru.

Pragnę również, aby współcześnie rządzący obejrawszy się wstecz, doznali olśnienia, odrzucili różniące ich wydumane priorytety, ambicje i osobiste niechęci, zanim podejmą istotną dla Polski decyzję.

I na koniec jeszcze jedna uwaga, a może bardziej przestroga, jaką nam Polakom daje „Anglik w Polsce zakochany”:

---

<sup>75</sup> / vide: Jan M. Ciechanowski, Powstanie Warszawskie, Zarys podłoża politycznego i dyplomatycznego, PIW, Warszawa 1984, s.508

<sup>76</sup> / Norman Davies, Powstanie '44, op.cit. s. 603

„Powstanie Warszawskie jest także ostrzeżeniem przeciwko koalicjom z rozsądku. Pokazało, że wielkie mocarstwa mogą dużo mówić o demokracji i jednocześnie nie przywiązywać do niej dużej wagi. Ktoś, kto się przyłącza do takiej koalicji, niekoniecznie powinien oczekiwać, że się w niej znajdzie na prawach równego partnera ani że inni będą występować w obronie jego interesów. Koalicje rzadko powstają we wspólnym interesie i z korzyścią dla wszystkich członków.”<sup>77/</sup>

No comments! You are right Mr. Davies. Bez komentarza!

Ma Pan rację.

*Jelenia Góra, w styczniu 2010 r.*

---

<sup>77</sup> / op.cit. s.830

## **Powstanie Warszawskie 1944 okiem kamery niemieckiego korespondenta wojennego.**

Zdjęcia pochodzą z broszury K.O. Zottmann: Der Untergang Von Warschau –  
October 1944.



1. Naziści (prawdopodobnie) z 302 odwodowego dywizjonu panc. przygotowują miniaturowy czołg typu Goliath do ataku.



2. Faszystowskie działo przeciwpancerne (prawdopodobnie) z 1 plut. ppanc. grupy uderzeniowej mjr. Reck'a, wspiera natarcie.



3. „Bojec” (prawdopodobnie) z 1 pułku brygady Kamińskiego i jego esmańscy kamraci (grupa bojowa Rohr'a).



4. Czołgi niemieckie (prawdopodobnie) z 1 komp. 500 szturm. baonu pionierów panc. w akcji przeciwko powstańcom.



5. Hitlerowski miotacz płomieni z odwodowego baonu miotaczy ognia „Krone” przygotowywany do użycia.



6. Miotacz płomieni (z grupy uderzeniowej Dirlwanger'a, Reck'a lub Schmidt'a) w akcji.



7. Powstańcy warszawscy konwojowani do niewoli.



8. Ewakuacja powstańców po kapitulacji powstania.



9. Mieszkańcy Warszawy opuszczają swoje miasto.



10. Durchgangslager 121 - obóz przejściowy w Pruszkowie. Miejsce koncentracji ludności Warszawy wysiedlonej przez nazistów w czasie Powstania.



11. Ludność cywilna opuszcza schron warszawskiego Banku Narodowego.

12. Exodus powstańców do niemieckiej niewoli.



13. Po kapitulacji. Kobiety wyczerpane przeżyciami dni grozy.



14. Ofiary powstania – dzieci w szpitalu zakonnym.



15. Chleb dla uchodźców wydawany (przypuszczalnie) w Pruszkowie przez ludzi RGO\*.

Określenia pododdziałów niemieckich podają za:

Jerzy Kirchmayer, Powstanie Warszawskie, KiW, W-wa 1959, s. 507-511 – załącznik nr 17 (podział sił nacierających w Warszawie).

---

\* Rada Główna Opiekuńcza (**RGO**) – polska organizacja charytatywna działająca w czasie obu wojen światowych, obejmująca swoją działalnością Polaków. W okresie 1940 - styczeń 1945 r. korzystało z jej pomocy ok. 700-900 tys. osób rocznie. Pracowało w niej, z reguły bez wynagrodzenia, ok. 15 tys. osób.

## Mecz piłki nożnej „Żydzi – esesmani”

Przed nami Mistrzostwa Europy w Piłce Nożnej. W Polsce Euro 2012 wywołuje rozliczne nadzieje, nie tylko związane z uzyskaniem sławy zwycięskiej drużyny. Im bliżej będzie do daty rozpoczęcia mistrzostw, tym więcej będzie wspomnień z historii najpiękniejszych meczów i o najdzielniejszych zawodnikach piłki nożnej.

Opowieść historię meczu piłkarskiego, gdzie nagrodą dla zawodników była kromka chleba i miska podłej zupy. Opowieść swą opieram na kanwie książki Arnolda Mostowicza: „Żółta gwiazda i czerwony krzyż” (książka ukazała się w 1988 r. nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego) oraz wspomnień własnych z dziecięcych lat. Jako dziecko widziałem fabrykę, baraki poobozowe otoczone płotem z drutu kolczastego i wieże strażnicze. To jest miejsce akcji mojej opowieści.

Nawet dla znawców piłki nożnej mało znany jest fakt, że 65 lat temu w Hirschbergu, czyli obecnej Jeleniej Górze rozgrywane były mecze w piłkę nożną między drużynami międzynarodowymi.

Historia tych kilku niedzielnych spotkań rozpoczęła się latem 1944 roku, kiedy wojenna zawierucha była jeszcze daleko od spokojnej kotliny u podnóży Karkonoszy. W tym czasie przy jeleniogórskiej Schlesische Zellwolle A.G. (późniejsza Celwiskoza) istniała filia obozu koncentracyjnego Gross Rosen. W połowie 1944 r. zaczęli tu „napływać” Żydzi z Węgier i śląskiego Zagłębia. Ostatni transport niewolników do pracy w fabryce chemicznej przybył z Auschwitz na początku października. W sumie do niewolniczej pracy w zakładach chemicznych dowieziono w tym czasie z obozów eksterminacji około tysięcy pięciuset więźniów. Ilu ich było dostarczonych wcześniej dokładnie nie wiadomo.

W obozach koncentracyjnych przeprowadzano ostre selekcje zwożonych tam „podludzi” z krajów okupowanych przez Niemcy. Doświadczeni esesmani oddzielali zdrowych, młodych więźniów od ludzi starszych, chorych, kobiet z dziećmi i same dzieci. Tych niezdolnych do pracy od razu gazowano i spalano w piecach krematoryjnych. „Szczęśliwców”, zdolnych do pracy, wysyłano do mniejszych podobozów. Tu ciężko pracując, mogli cieszyć się życiem nieco dłużej, a zależało to od siły organizmu więźnia i szczęśliwych okoliczności. Przy dużym szczęściu niektórzy nawet doczekali się końca wojny.

Wachmani SS z obozu koncentracyjnego przy Schlesische Zellwolle A.G. mieli dobre rozeznanie w europejskiej piłce nożnej. Wiedzieli, że Żydzi grali w węgierskich klubach ligowych. Postanowili tych piłkarzy wyłowić i wykorzystać do zapewnienia sobie rozrywki sportowej, która urozmaiciłaby ich nudną, rutynarską służbę. Pomysł z niemieckiego rasowego punktu widzenia był niedopuszczalny, wszak nie mogli grać nadludzie z podludźmi. Niemcy jednak wiedzieli, że nic im nie grozi. Mecze miały rozgrywać się wewnątrz obozu, bez świadków innych niż więźniowie, a tym nie przewidywano długiego życia. Nie

wchodziła w rachubę porażka esesmańskiej drużyny w meczu z drużyną więźniów wygłodzonych i zmęczonych wyczerpującą pracą, a także i podtrutyh przy obsłudze aparatury chemicznej. Organizacja tych meczów świadczy o szczególnym cynizmie Niemców, bo kat zabawiał się swoją ofiarą. Przeznaczeni na zagładę więźniowie musieli grać szczególnie fair z sytymi i zdrowymi wachmanami SS.

Kibicem rozgrywek był Arnold Mostowicz. Dzięki jego wspomnieniom znamy dość dokładnie przebieg jednego z ostatnich meczów piłkarskich. Lagerplatz z powodu ulewnych, jesiennych deszczów do gry w późniejszych terminach nie nadawał się.

Była słoneczna ciepła niedziela 29 października 1944 r. Boisko, na którym rozgrywano mecz miało wymiary około osiemdziesięciu metrów na czterdzieści. Jak łatwo zauważyć, plac był mniejszy niż normalne boisko piłkarskie. Kredą wytyczono boki i środek, jak również tzw. „wapno” z którego strzela się rzuty karne. Były również ustawione oryginalne pełnowymiarowe bramki.

Zebrało się około pięciuset kibiców. Przyszli prawie wszyscy więźniowie, którzy pracowali na zmianie nocnej. Esesmanów nie dopingował nikt. Część załogi SS korzystała z wolnej niedzieli poza obozem, reszta pełniła esesmańskie obowiązki w fabryce i obozie.

Sędzią meczu był najstarszy stopniem wachman, SS-Oberscharführer (sierżant) Handke. Na boisko wybiegły obie drużyny. Rozpoczęła się rozgrzewka.

Więźniowie ubrani byli w biało-niebieskie pasiaki z nogawkami podwiązanymi sznurkami. Na czas meczu otrzymali buty skórzane (na co dzień chodzili w drewniakach). Esesmani wystąpili w białych podkoszulkach i zielonych bryczesach swoich zwykłych mundurów. Każda drużyna składała się z ośmiu zawodników. W drużynie więźniów grali Żydzi węgiersey.

Po krótkiej rozgrzewce zawodników, na boisko wbiegł sędzia ubrany w kompletny mundur esesmański. Kibiców przebiegł dreszcz. I nagle zdziwienie, bo stała się rzecz niesamowita - kapitanowie obu drużyn podali sobie ręce. Sędzia dał znak gwizdkiem. Rozpoczął się mecz.

Od pierwszych minut trwała zacięta walka. Pasiaki fruwały w powietrzu niby skrzydła jakichś egzotycznych ptaków. Dziwne to, ale zawodnicy obu drużyn grali uśmiechnięci. Nie był to uśmiech udawany. Esesmani uśmiechali się z pobłażaniem, ponieważ wiedzieli, że ta chwilowa przerwa dla więźniów szybko się skończy i zapanuje „normalny” obozowy porządek. Uśmiech Żydów był wynikiem radości ludzi sponiewieranych, ale świadomych swojej wartości i zdolności do stawienia oporu esesmanom.

Od pierwszych minut meczu uwidoczniło się lepsze wyszkolenie techniczne więźniów. Było widać, że dla wielu z nich piłka nożna jest sztuką dobrze znaną. Kibice coraz śmielej i zgodniej dopingowali swoich i zgodnie protestowali przeciwko, ich zdaniem, nieprzychylnym i stronniczym decyzjom sędziego. Zachowywali się, jak wszyscy kibice na całym świecie. Widzieli tylko faule przeciwników, nie zauważali nieczystej gry swoich ulubieńców. Sędzia według nich był stronniczy, bo patrzył z pobłażaniem na wyczyny esesmanów, a krzywdził błędnymi decyzjami więźniów.

Z upływem czasu na boisku zdobyli przewagę esesmani. Więźniów opuściły siły. Esesmani dominowali, ale bramek zdobyć nie mogli. Bramkarz więźniów miał swój dzień i dokonywał istnych cudów, broniąc bramki w najbardziej nieprawdopodobnych sytuacjach. Ustawiał się zawsze tam, gdzie miała lecieć piłka. Dzięki niemu, wynik do przerwy wynosił dla esesmanów tylko 1:0. Bramkarz, a był nim Żyd węgierski Ferenc Moros został bohaterem meczu. Nawet Niemcy gardzący Żydami, kilkakrotnie poklepywali go po plecach, wyrażając uznanie za udane interwencje.

W czasie przerwy obie drużyny rozłożyły się na boisku. Więźniowie od kapo kuchni otrzymali po misce zupy z brukwi i po kromce chleba. Esesmani raczyli się piwem. Prawdopodobnie to piwo tak ich osłabiło, że po przerwie całkowicie opadli z sił i więźniowie opanowali boisko.

Pod koniec meczu dwa wydarzenia „do czerwoności” rozgrzały kibiców. Była to wyrównująca bramka strzelona przez więźniów, a drugim wydarzeniem był rzut karny, który przeciwko drużynie więźniów zarządził sędzia. Decyzja ta, skądinąd słuszną wywołała gwałtowne protesty wśród kibiców. Na sędziego posypały się epitety w języku węgierskim, polskim a pojedynczo i niemieckim. To mogło być poczytane za zbrodnię. W „normalnych” warunkach obozowych za jakikolwiek najmniejszy opór, czy słowne wyrażenie sprzeciwu wobec esesmana groziła śmierć. A tutaj... mecz trwał dalej.

Ostatnia minuta meczu. Wszyscy zamarli, kibice i Niemcy. Zawodnik – wachman SS – ustawił piłkę na „wapnie” by wykonać jedenastkę i strzelił ... zapadła cisza.

Nagle wszyscy więźniowie jakby oszaleli - Moros obronił i mecz zakończył się wynikiem 1:1. Przebieg meczu i związane z nim wyjątkowe wydarzenia jeszcze długo były komentowane przez więźniów. Bramkarz Moros został bohaterem wśród więźniów pochodzenia żydowskiego i węgierskiego.

W tym meczu był również i polski akcent. Wyrównującego gola dla więźniów zdobył polski Żyd z Będzina. Niestety, kilka dni po meczu zmuszony do pracy bez środków ochronnych zatruł się oparami siarczków i zmarł.

Równie tragicznie zakończył życie bohaterski bramkarz Ferenc Moros, ten podziwiany i chwalony zarówno przez swoich jak i Niemców.

Pracował przy ładowaniu drewna na małe wagoniki, którymi zawożono je do młyna celulozowni. Podczas pracy rozboleł go brzuch. Prawdopodobnie z powodu niedogotowanej zupy z brukwi. Zwykła rzecz. Moros poprosił majstra o zezwolenie na pójście do klozetu. Ten się nie zgodził. Moros poprosił o to jeszcze kilkakrotnie i za każdym razem majster nie pozwalał mu na przerwanie pracy. Moros nie mając innego wyjścia, spuścił spodnie i kucnął za stołem kłoców. Majster uznał to za naigrawanie się z niemieckich rozkazów i wskazał Morosa jednemu z wachmanów, krzycząc że więzień chce uciekać. Esesman bez zastanowienia strzelił kilkakrotnie w stronę Morosa raniąc go w udo i rękę. Rana ręki okazała się ciężka, łokieć został strzaskany. Na drugi dzień Moros zaczął gorączkować i tracić przytomność. W ciężkim stanie został zanieiony do szpitala obozowego, gdzie lekarzem był więzień Neumann - Żyd z Zagłębia. Ten chciał przypochlebić się esesmanom. Postanowił w ich obecności przeprowadzić pokazową operację. Nie był ortopedą, ani chirurgiem, a operację łokcia widział kiedyś na uczelni, gdzie studiował.



Ponadto prowizoryczny szpitalik obozowy nie był odpowiednim miejscem do przeprowadzenia tak skomplikowanego zabiegu.

O podanie narkozy Neumann poprosił Arnolda Mostowicza, który w tym czasie przebywał w szpitalu obozowym jako pacjent. Neumann wiedział, że to symulant udający atak nerek, aby choć na jakiś czas uchylić się przed ciężką pracą przy wyładunku miału węglowego z wagonów kolejowych.

Arnold Mostowicz (lekarz), początkowo nie wyraził zgody na asystowanie Neumannowi. Wtedy ten zagroził, że jako symulanta odeśle go do komanda roboczego. Szantaż był skuteczny. Mostowicz ugiął się. Lepiej było siedzieć w suchym i ciepłym szpitalu obozowym, niż pracować przy węglu przez siedem dni w tygodniu, po dwanaście godzin na zmianę. Do wyładunku wagonu załadowanego piętnastoma tonami mokrego i zamarzłego w tym czasie miału węglowego, wyznaczano pięciu więźniów. Na jedną zmianę norma wynosiła rozładowanie trzech wagonów, a więc na jednego więźnia wypadało do przerzucenia - dziewięć ton. Przy stałym niedożywieniu potrzeba było więźniom olbrzymiego hartu ducha aby się nie poddać i nie skończyć w piecu kotłowni.

Rozpoczęła się operacja. Pacjenta szybko uspieno, wystarczyło kilka kropel eteru na maseczkę. Neuman zabrał się do roboty. To skalpelem, to pincetką, to jakimś innym narzędziem pokazywał esesmanom fragmenty strzaskanego łokcia. Przy tym objaśniał, mówiąc powoli i używając nader poprawnej niemieczyny.

Esesmani pochylili się nad Neumannem i z uznaniem kiwali głowami. Niestety, łokieć był tak strzaskany, że nadawał się tylko do amputacji. Chyba jednak Neuman już kiedyś dokonywał zabiegów amputacji, o czym świadczyły jego sprawne ruchy. Dalej objaśniając każdą czynność doprowadził operację do końca. Niemcy byli naprawdę zachwyceni i niewiele brakowało, by po zakończeniu operacji obdarzyli oklaskami głównego aktora i reżysera tego makabrycznego spektaklu. Nazajutrz Moros zmarł. Jego zwłoki zawieziono wózkiem do kotłowni fabrycznej i tam spalono. Przypadkowo stojący tam wachman SS powiedział: „Ten chłopak był nadzwyczajnym bramkarzem”.

W celu upamiętnienia ofiar obozu koncentracyjnego Gross Rosen w byłej Schlesische Zellwolle A.G. w 1966 r. został zbudowany pomnik przy ul. Karola Miarki, niedaleko bramy głównej do kombinatu chemicznego. Fundatorem i wykonawcą pomnika była załoga Celwiskozy. Przy pomniku organizowano uroczystości patriotyczne z udziałem pracowników Celwiskozy, przedstawicieli władz, delegacji sąsiednich gmin i młodzieży. Przy pomniku wystawiano warty honorowe składające się z żołnierzy Wojska Polskiego i harcerzy. Kilkanaście lat później do pomnika wmurowano tablicę fundacji kombatanów z Francji, upamiętniającą 100. więźniów francuskich zamordowanych i zmarłych na terenie byłej Schlesische Zellwolle A.G. Niestety, po likwidacji Celwiskozy, w ramach radosnej „twórczości” w niszczeniu wszelkich pamiątek, ten pomnik został zburzony. Komuś pomylił się obelisk z „ubeliskiem”. Tak więc znak pamięci o ofiarach faszyzmu niemieckiego, o więźniach obozu koncentracyjnego Gross Rosen w Hirschbergu, został zniszczony.

Słowo o Arnoldzie Mostowiczu.

Pochodził z zamożnej rodziny żydowskiej w Łodzi. Tuż przed wojną, latem 1939 r., w wieku 26 lat ukończył medycynę w Tuluzie. Po wybuchu wojny Arnold

został wolontariuszem w szpitalu. W czasie oblężenia Warszawy dzielnie niósł pomoc rannym i chorym.

Był bystrym obserwatorem życia codziennego, cynikiem z praktycznym i zarazem filozoficznym podejściem do kłopotów dnia codziennego. Dzięki jego relacjom znamy dość dokładnie życie Żydów w łódzkim getcie, gdzie pracował w żydowskim pogotowiu ratunkowym. W sierpniu 1944 r., po likwidacji getta, znalazł się w Auschwitz. Tam na początku października, po selekcji szczęśliwie dostał się do niewielkiej grupy więźniów przeznaczonych do pracy i wywiezionych w nieznanym kierunku.

Po całodziennym podróży pociąg stanął. Odsunięto drzwi wagonu. Jakiś podoficer SS policzył więźniów dokładnie. Nikt nie uciekł, nikt nie umarł, nikt nie przybył.

Przed nimi rozciągała się daleka panorama gór, z grzbietami pokrytymi śniegiem. Nie były to z pewnością Tatry ani Alpy. - Gdzie my właściwie jesteśmy? Ktoś mówi, że to Riesengebirge. Riesengebirge, czyli Góry Olbrzymie. Mostowicz wspomina, że wcześniej nigdy o takich nie słyszał, a na olbrzymie z pewnością nie wyglądały.

Prowadzono kolumnę więźniów szosą. Dojrzał na słupie tablicę z nazwą miejscowości: „Hirschberg”. Nazwa ta, podobnie jak wcześniej Riesengebirge, nie Mostowiczowi nie mówiła. Potem szli czyściutkimi ulicami obramowanymi przesłoniczonymi kolorowymi domami, z niewielkimi oknami, jak w domach dla lalek. Domy były już to zielone, już to żółte, rzadziej czerwone, a okiennice miały kolor ciemnobrunatny. Nie zauważało się śladów wojny. Szli środkiem miasteczka już prawie pół godziny. Zaczęli pokazywać się pierwsi przechodnie, głównie kobiety. Nikt nie zwracał na nich najmniejszej uwagi, nikt za nimi się nie obejrzał. Wreszcie po godzinie marszu doszli do bramy obozu otoczonego drutem kolczastym. Po chwili znaleźli się wewnątrz podobozu KL Gross Rosen przy Schlesische Zellwolle A.G. Ponownie zarządono apel. Wszystko się zgadzało. Esesmani z Auschwitz dowcipkując przekazali miejscowym dostarczony „towar”. Zaprowadzono ich do kantyny. Każdy otrzymał porcję zupy, wodnistej, niesmacznej. Pływały w niej kawałki brukwi. Ale ważne, że była gorąca. Zjedli ją z namaszczeniem. Pozwolono im odpocząć. Niektórzy drzemali, uśmiechając się przez sen. Śnił im się może cudowny świat, gdzie wodnistej zupy z brukwi każdy dostał tyle, ile dusza zapagnie.

Nagle do środka weszło kilku esesmanów. Więźniowie stanęli na baczność. Jeden z esesmanów oznajmił im, że tak ma być zawsze kiedy wchodzi przedstawiciele władzy niemieckiej. (Więzień w obecności esesmana ma stać wyprostowany i z odkrytą głową).

Mimo to, pewnie z powodu zjedzenia gorącej zupy i krótkiego odpoczynku nastroje więźniów były optymistyczne. - To nie straszny Auschwitz – tak im się wydawało, w tych pierwszych chwilach.

Ale to jeszcze nie koniec wrażeń na ten dzień. Jeden z esesmanów w stopniu unterscharführera (plutonowy) kazał Mostowiczowi wstać i iść za nim. Wyprowadził go z kantyny. Wszedł do baraku obok, do jednego z pustych pomieszczeń. Kazał mu usiąść. Zapali pan?

Oślupiał z wrażenia. Już sam ten gest był ze strony esesmana niezwykle, a ponadto Niemiec zwrócił się do niego słowem „pan”. Mostowicz zetknął się dotąd z wieloma esesmanami, ale nie zdarzyło się, by którykolwiek zwrócił się do niego w ten sposób. Codziennością było traktowanie „podludzi” jak zwierzęta. Dlatego drżącą z wrażenia ręką sięgnął po papierosa, pierwszego od czterech miesięcy.

- Chciałem pana o coś zapytać - powiedział esesman.
- Czy prawdą jest to co mówią o Auschwitz? Czy prawdą jest, że tam gazują ludzi? -
- Proszę się nie bać, mówić tylko prawdę. I proszę mówić po polsku. Ja dobrze znam ten język.
- To prawda – odpowiedział Mostowicz.
- Skąd pan to wie?
- Byłem w Auschwitz a tam wszyscy to wiedzą.

Czy takie pytania były zadane? Czy takie pytania mogły być zadane? Brak podstaw, aby autorowi nie wierzyć. Trzeba pamiętać, że wojna zbliżała się ku końcowi. Klęska hitlerowskich Niemiec była już przesądzona. Esesmani wiedzieli, że role mogą się odwrócić. Z myślących mogli stać się szybko zwierzyną łowną.

W szpitalu obozowym Mostowicz spotkał przyjaciela z gimnazjum Maksu Bajgelmana. Kiedyś Maks mu imponował, przeprowadził go przez progi pierwszych niezbędnych doświadczeń dwunastolatka, a przede wszystkim nauczył palenia papierosów. Pierwsze sztachnięcia i związane z tym nudności jemu zawdzięczał. Palenie papierosów należało wówczas do czynów bardzo srogo karanych. A on palił w klozecie, tradycyjnym sposobem wdmuchując dym w miszkę klozetową. Maks wpoił mu teoretyczne podstawy pozaszkolnego wychowania seksualnego, a przede wszystkim wiedzę o tym, że najważniejszym sposobem zabezpieczenia się przed chorobami wenerycznymi jest wystrzeżenie się siusiania pod wiatr. Już w szkole nosił się Maks bardzo elegancko. Zachowywał się dystyngowanie, wyrażał wytwornie. Ta elegancja i ta wytworność cechowała go przez całe życie. Nawet w szpitaliku obozowym, gdy już leżał śmiertelnie chory, nic nie stracił ze swojej elegancji. Nawet za podsuniecie kubła wytwornie dziękował. Ostatni raz na wolności Mostowicz spotkał Maksu w Rouen. W ciągu pięciu lat Maks zdążył zdać, za trzecim podejściem, egzaminy roku wstępnego. Maks stał się przewodnikiem w wędrownkach po kawiarniach. We wszystkich knajpach, kawiarniach i tawernach był osobą lubianą i szanowaną. Życie kawiarniane łączyło się z kartami, a Maks w każdej grze był asem. Opanował zawiloci brydża. Ale główną grą pozostał poker. Maks poznał innego pokerzystę. Był nim Bimba-Dowbór, syn sławnego generała Dowbór-Muśnickiego. Gdy ojciec odciął dopływ pieniędzy na studia, które syn w całości przeznaczał na karty, ten zabrał się do pracy. A pracował w ten sposób, że zdawał egzaminy za innych studentów biorąc za to sowitą opłatę. Nigdy nie oblał nikomu żadnego egzaminu i nigdy nie przegrał w pokera.

Co innego Maks. Przyznał, że nie idzie mu ostatnio karta. Jak się trafia kilkakrotnie z kolorem na karetę, można przegrać nie tylko pieniądze, ale i cały majątek.

Wieczorem Maks umarł. Mostowicz zakrył więc przyjaciela dokładnie kocem. Potem położył się obok niego i zasnął. Rano zachował się tak, jak gdyby nic nie zaszło. Maksowi wsunął termometr pod koc. Gdy przyszedł lekarz obozowy, zdał mu sprawozdanie z nocy, ani słowem nie wspominając o śmierci Maksu. Udawał, że z Makssem rozmawia, odpowiadając na jego pytania. Kiedy zaś rozdano chleb wziął

jego porcję dla siebie. Tego dnia chleb był okraszony zulagą w postaci krążka kielbasy. W południe wziął za Maksą zupę, którą zjadł w izbie opatrunkowej by nikt tego nie zauważył. Wieczorem ponownie zakreślił się koło Maksy. Nazajutrz rano musiał podjąć decyzję. Czy ciągnąć dalej tę grę, czy też ją przerwać. Rozsądek nakazywał by przerwać. Głód - bardzo zły doradca - namawiał, by powrócić. Rano wziął jeszcze kromkę chleba przeznaczoną dla Maksy. Ryzykował życiem dla zdobycia choćby odrobiny pożywienia. W nocy przy pomocy jednego z więźniów przeniósł zwłoki Maksy do komórki. Rano zameldował lekarzowi Neumannowi, że więzień Bajgelman zmarł o tej i o tej godzinie.

W Warmbrunn (*Cieplice Zdrój*) zakładano nowy podobóz Gross Rosen, filię tego z Hirschbergu. Potrzebni byli spośród więźniów fachowcy do obsługi. Wysłano kilku kapo, szefów bloków, dentystę i kucharza. Ciekawa była funkcja dentysty. Niemcy uznali, że złoto z żydowskich zębów stanowić może istotną pomoc w walce z aliantami. Zarówno w Hirschbergu, jak i Warmbrunn każdego nowego więźnia zapisywano w specjalnej kartotece, która odnotowywała ilość złotych zębów, jakie ośmielił się bezczelnie ukryć w jamie ustnej. Jak umierał, zanim zwłoki kierowano do palenisk kotłowni fabrycznej, dentysta obowiązany był wyłamać części szczęk górnych i dolnych wraz ze złotem do nich przymocowanym. Dzięki kartotece esesmani wiedzieli, co każdy więzień jest im winien. Nieco inna była funkcja lekarza obozowego. Polegała na wypisywaniu kart zgonu. Niemcy skrupulatnie przestrzegali, aby nikt nie został pochowany bez karty zgonu. W Rzeszy wszystko musiało być niemiecko-akuratne, nawet żydowska śmierć. Wśród więźniów obozu przy Schlesische Zellvolle rozeszła się wiadomość, że w nowym obozie wybuchła jakaś epidemia. Ponoć ludzie padali tam jak muchy, zmarł nawet dentysta. W tym czasie Mostowicz wraz z przyjacielem, lekarzem z Pragi Emilem Voglem pracował na placu węglowym. Kiedy doszły ich te wiadomości, postanowili zrobić coś, czego dotychczas kroniki obozowe nie zanotowały. Wychodząc z założenia, że lepiej umrzeć lecząc chorych, niż zdechnąć przy ładowaniu węgla, postanowili zwrócić się do esesmańskiej administracji obozowej, by posłano ich do obozu w Warmbrunn jako lekarzy. „Tam moglibyśmy lepiej się przydać jako lekarze, niż tutaj”. Projekt ten wydał się wariacki. Kapo komanda placu węglowego zapewnił ich, że powinni być szczęśliwi, jeśli ta historia skończy się na dwudziestu pięciu pałkach. Obiecał, że sam dołoży jeszcze trochę, jako premię dla leniów, którym nie chce się pracować.

Lecz stała się rzecz niezwykła. Esesmani doszli do wniosku, że pomysł chociaż pochodzi od podludzi, nie jest pozbawiony rozsądku. W pierwszej połowie lutego, odziani w nowe pasiaki i nowe płaszcze, pod eskortą uzbrojonego wachmana ruszyli pieszo w drogę do Warmbrunn. Mróz sięgał dwudziestu pięciu stopni. Na gołych nogach mieli drewniaki. Marzli strasznie, szczególnie w stopy. Pocięającym widokiem był zandarm, który mimo że odziany w wełniany kaptur, walonki i gruby płaszcz z sukna, gorzej znosił mróz niż prowadzeni przez niego więźniowie. Dotarli do celu i szczęśliwy wachman przekazał ich swoim kolegom.

Pobyt w nowym obozie zaczął się od tego, że tutejsi esesmani przekazali ich pod władzę kapo kuchni – Davidka, który był poprzednio kucharzem w obozie Hirschberg. Kiedy ten otworzył usta błyszczał złotem tak, że robiło się jasno dookoła. Pochodzenie tego złota i manifestowanie tego bogactwa świadczyło, że żył dobrze z esesmanami, prawdopodobnie zamieniał kradzione więźniom produkty żywnościowe na złoto. Esesmani mieli z tego swoją, i to z pewnością niemałą, dółę.

Davidek na powitanie dał każdemu dwie pajdy chleba z margaryną oraz talerz gęstej zupy. W tym czasie w kuchni na patelni smażyły się dwa piękne sznycle, na które patrzyli tak, jak musieli patrzeć archeolodzy na odkryte przez siebie pierwsze tabliczki gliniane w Mezopotamii. Niestety, sznycle były przeznaczone dla esesmanów i nawet Davidek nie śmiał ich tknąć.

Więźniowie obozu w Warmbrunn pracowali w tutejszej firmie "*Dorris-Fuller Bad Warmbrunn*" (późniejszej Fabryce Maszyn Papierniczych). Było ich w sumie około siedmiuset. W tym czasie chodziło do pracy nie więcej niż trzystu. Reszta chorowała lub była tak osłabiona po przebytej chorobie, że o pracy nie mogło być mowy.

Davidek wiedział, że esesmani jak ognia boją się wystania na front. Dlatego będą robili wszystko, by obóz utrzymać. Nawet jeśli jest to zupełnie sprzeczne z dyscypliną a nawet zdrowym rozsądkiem.

Niemcy zamierzali wewnątrz obozu utworzyć coś w rodzaju kwarantanny. Mieli się w niej znaleźć wszyscy chorzy bądź podejrzani o chorobę, a także obydwa lekarze. W obozie panował dur plamisty. Sale, były potwornie brudne i zaśmiecone. Zawszenie było znacznie większe niż w Jeleniej Górze.

Do lekarzy należeć miał rozdział chleba i zupy. Codziennie należało podawać stan żyjących chorych, a zmarłych wystawiać na zewnątrz przed blok. Chodziło o to, żeby liczba więźniów żywych i martwych zgadzała się, a liczba posiłków odpowiadała dokładnie liczbie żywych chorych. Lekarze mieli obowiązek pobierania krwi u nowych chorych. Próbkę krwi wysyłano do centralnego laboratorium, które znajdowało się w Auschwitz. Rzecz w tym, że Auschwitz od czterech tygodni znajdował się w rękach Rosjan. Gdyby taka epidemia wybuchła kilkanaście miesięcy wcześniej, to cały obóz w ciągu paru godzin zostałby posłany do gazu. Jednak w lutym 1945 roku interesy więźniów i esesmanów odpowiedzialnych za obóz były identyczne. Jednym i drugim zależało na tym, aby utrzymać się przy życiu, a więc obozu nie likwidować.

Wokół budynku, w którym znajdował się szpital, postawiono zasieki z drutu kolczastego. Pozostawiono tylko wąskie przejście do przekazywania chorych w jedną, a zmarłych w drugą stronę. Normalnie, Mostowicz i Vogel jako lekarze obozowi mogli liczyć na jakieś okazjonalne porcje żywnościowe, ale zamknięci w kwarantannie, na nic liczyć już nie mogli. Sposób jednak był, wypróbowany jeszcze w Jeleniej Górze. Należało przytrzymać zwłoki dwa, trzy dni dłużej przed przekazaniem ich Niemcom. W ten sposób lekarzom przypadłyby dodatkowe porcje zup i chleba. Ryzyko nie było duże, bo Niemcy od kwarantanny będą trzymać się z daleka. Zatem zwłoki przetrzymywali w klitce, gdzie spali. Pod łózkami mieściło się nawet kilka trupów. Trzeba było jednak uważać, aby zwłok nie oddawać w zbyt posuniętym rozkładzie. Początkowo system działał należycie. Lekarze zjadali porcje zmarłych. Dodatkowa kromka chleba i miska zupy była nie do pogardzenia. Ale zaczęły się komplikacje. Pierwsza to dezynsekcja, która jednak choroby nie powstrzymała. Druga komplikacja to zdradliwa woń i zakażenie, które dopadło autora, który zachorował na dur plamisty. Trzecia komplikacja okazała się najgroźniejsza w skutkach.

Był początek marca 1945 r. Obóz w Cieplicach odwiedziła wysoka komisja SS. Na jej czele stał doktor-śmierć – Mengele. Z całą swiłą wjechał do obozu.

Oprowadzał go po szpitalu Emil Vogel. Mostowicz przebywał w tym czasie w kwarantannie. Wizytacja odbywała się kulturalnie i elegancko, jak to między dżentelmenami. W pewnym momencie Mengele otworzył szafę, z której wysypały się na niego zwłoki w daleko posuniętym rozkładzie. Zapomnieli o nich likwidując wszystkie tego rodzaju schowki. Jeden z trupów spadł na doktora Mengele. Esesman sięgnął natychmiast po pistolet, by zastrzelić Vogla. Na szczęście, ktoś ze świty powstrzymał esesmana. Vogel zwałił całą winę na Mostowicza, który leżał nieprzytomny w izolatce. Czy Mengele ochłonął po drodze z wściekłości, czy też widok umierającego chorego tak podziałał dość, że były naczelny lekarz Auschwitz machnął tylko ręką i poszedł dalej. Komisja obejrzała sobie resztę kwarantanny, wydała jakieś polecenia, których nikt nie zamierzał wykonać i pojechała.

Epidemia zaczęła wygasać. Z ośmiuset więźniów na początku, po kilku miesiącach pozostało czterystu, ale wychodzili do pracy, pomagali nawet wywozić maszyny w głąb Niemiec. Trudno powiedzieć dokąd, terytorium Rzeszy w marcu 1945 r. było w całości zagrożone zajęciem przez Aliantów.

Początkiem kwietnia David przyniósł im hiobową wieść. Obóz w Cieplicach trzeba ewakuować. To była bardzo zła wiadomość. Nikt nie miał pojęcia, jak ewakuacja będzie przebiegać. Esesmani nie kryli rozdrażnienia. Sądzieli, rzecz jasna, że obóz będzie trwał do końca wojny i tym samym będzie osłaniał ich przed wysłaniem na front. Wyprowadzono więźniów na rampę kolejową. Podłogi wagonów zostały pokryte grubą warstwą słomy, wywnioskowali z tego, że nie jada na śmierć. Pociąg ruszył. Jechali kilka godzin. Ktoś odsunął drzwi wagonu i wrzucił kromki chleba. Rozpoczęła się walka. Nikt nie wiedział, gdzie kromki chleba padały. Silni i sprawniejsi zagarnęli dla siebie po kilka kromek. Słabsi i leżący nie znaleźli żadnej. Jechali znowu całą noc. Nagle pociąg zahamował. Ktoś włożył do środka duży gar z kawą. Była gorąca. Jechali jeszcze kilka godzin. Nareszcie pociąg stanął. Esesmani otworzyli na całą szerokość drzwi węglarki, swoim zwyczajem krzycząc coś głośno i wydając szczełającym głosem rozkazy. Okazało się że dojechali do celu. Zarządzono apel. Oczywiście esesmani bez apelu obejść się nie mogli. Dodawali, odejmowali, sprawdzali. Na szczęście okazało się, że suma martwych i żywych zgadza się. Siedmiu chorych nie przeżyło drogi. Znaleźli się w obozie w Erlenbusch (dzisiejszy Olszyniec koło Świdnicy). Około trzystu więźniów wychodziło stąd do pracy, która polegała na kopaniu przez dziesięć godzin dziennie głębokiego na dwa metry rowu.

Nadszedł dzień 9 maja 1945 roku. Przez bramę obozową wjechał mały, wojskowy samochód radziecki. Oprócz kierowcy siedział w nim bardzo młody oficer. Cały świat od dwudziestu czterech godzin wiedział, że wojna się skończyła.

Więźniów tego obozu upewniło w tym dopiero pojawienie się radzieckiego samochodu. Esesmani zniknęli rankiem poprzedniego dnia. Zniknęli, ale czy czegoś nie knują? Tego nikt nie był pewien. Chociaż nie było straży, nikt nie ośmielił się opuścić obozu. Radia nie było. Nie dochodziły żadne wieści z pobliskiego miasteczka. Wjazd gazika został przez więźniów przywitany okrzykami radości i szczęścia. Każdy chciał przywitać się z młodziutkim oficerem, nawet go dotknąć, pogłaskać - sprawdzić czy to nie sen. Oficer doniosłym głosem przywitał wyzwolonych więźniów w imieniu armii radzieckiej. Mówił po rosyjsku, chociaż nie wszyscy rozumieli jego słowa, wszyscy rozumieli treść przemówienia.

Oficer mówił o geniuszu Stalina, ojcu tych zwycięstw. Mówił o niezwykłych ideach komunizmu, które wypisane na sztandarach robotniczych zatriumfują w Europie i na całym świecie. Więźniowie wzniesli okrzyki na cześć Związku Radzieckiego, Stalina i armii radzieckiej.

Z pobliskiego kościoła rozległo się bicie dzwonów na Anioł Pański. Radośnie i szeroko rozchodził się ten dźwięk, zwiastując nadejście ery pokoju.

\*\*\*\*\*

Był początek maja 2006 r., dzień słoneczny i ciepły. Wybrałem się na targowisko do Cieplic przy ulicy Lubańskiej. Stąd niedaleko do miejsca, które opisuje Mostowicz. Chciałem porównać opisy książki z dniem dzisiejszym.



Patrząc, stoją cztery jednopiętrowe budynki i jeden odmienny w kształcie i parterowy. Domy otynkowane, firanki w oknach. Niczym nie przypominają baraków obozowych z lutego 1945 roku. Dziś jest to część ulicy Wojewódzkiej. Jak tu mogło pomieścić się siedmiuset więźniów?

Przed domami stały niezłej klasy samochody. Dzieci, pięknie ubrane i radosne szły do Pierwszej Komunii. Nie widać bogactwa, ale biedy również nie widać. Normalnie. Miejsce ciche i bezpieczne na zapleczu stadionu.





Przy budynkach stoi niewielki pomniczek z pionowo ustawionego ciosu granitowego i na nim tablica z napisem:



Na schodkach podstawy pomnika siedzi kilku wyrostków w wieku 10-12 lat i nagabuje o papierosy dla „mamy”. Przypomniałem sobie zaraz Bajgelmana. gdy uczył palić Mostowicza. Czasy się zmieniły, ale dzieci dalej palą.

Czy te dzieci wiedzą, w jakich pięknych czasach żyją i jaka jest przeszłość tego miejsca gdzie mieszkają?



## Jak wypędzałem Niemców z Jeleniej Góry i inne grzechy dzieciństwa.

Tytuł tych wspomnień jest oczywiście na wyrost. Nie wypędzałem Niemców z Jeleniej Góry, pomagałem im tylko wyjechać. A to nie to samo. W czasie tych wydarzeń miałem około 8 – 9 lat. Widziałem je oczami dziecka. W tym wieku można już dużo widzieć i zapamiętać.

Był rok 1946 lub 1947. Dokładnej daty nie pamiętam. Rodziców nie spytam, są już na tym innym, ponoć lepszym świecie.

Mieszkaliśmy przy ulicy Pańskiej (Krótka) w drugim domu od kina Tatry. Jest to obecnie dom po remoncie, pomalowany na brzydki, ciemnozielony kolor. O ile dobrze pamiętam dom miał nr 5. Pod nami na pierwszym piętrze mieszkała rodzina niemiecka: kobieta w średnim wieku, jej syn w moim wieku oraz zasuszony staruszek, jej ojciec lub teść. Matka na syna wołała „Rudi”, szybko od dzieci otrzymał jak to się dziś mówi „ksywkę” „Rudy Hitler”. Dzieci bywają okrutne. Pamiętam, że za to przewisko bardzo się złościł, płakał, tupał nogami. Jego ojciec miał piekarnię w tej kamienicy i zginął lub zaginął gdzieś w bezkresnej Rosji. Zwyczajny los wielu niemieckich rodzin. Nasi sąsiedzi spodzielali się wysiedlenia, kilka transportów już wyjechało. Tobałki mieli spakowane. Siedzieli, jak to się mówi „na walizkach”.

Stosunki między nami były poprawne, ale nie serdeczne. Nie mogły być inne. W świadomości Polaków tkwiło, że Niemcy to nasz wróg. Żadnych kłótni nie było, jak również pożyczania soli lub cukru. Oni żyli swoim życiem, a my swoim.

Dzień wcześniej sąsiedzi dostali wiadomość, że następnego dnia rano mają być gotowi do wyjazdu. „Frau”, jak to kobieta, nieco popłakała. Byłem naocznym świadkiem wysiedlania, więc mogę z całą odpowiedzialnością za słowa zaświadczyć, że wszystko odbyło się bez żadnych ekscesów, ponagleń, bicia i wrzasków tak typowych przy wysiedlaniu Polaków przez Niemców i towarzyszy radzieckich.

Ojciec wieczorem w butelce po wódce zrobił herbatę i wraz z konserwą od „ciotki UNRRy”<sup>1</sup> dał Niemce. Ta mocno zaskoczona i wzruszona aż się rozpląkała

---

<sup>1</sup>United Nations Relief and Rehabilitation Administration (UNRRA z ang. - *Administracja Narodów Zjednoczonych do Spraw Pomocy i Odbudowy*) - organizacja utworzona przez Narody Zjednoczone w 1943 r., w Waszyngtonie, w celu udzielenia pomocy obszarom wyzwolonym w Europie oraz Azji, po zakończeniu II wojny światowej. Ok. 70% świadczeń na rzecz UNRRA, pochodziło z USA. Największymi odbiorcami były: Chiny, Polska, Włochy, Jugosławia. Ze względu na znaczącą rolę w zapewnieniu środków utrzymania w zniszczonym kraju, organizacja ta zyskała sobie w Polsce żartobliwe określenie "ciotcia UNRRA". Łączną wartość przekazanych przez tę organizację darów szacuje się na prawie 4 miliardy dolarów. Działalność prowadzona przez UNRRA, polegała na łataniu przysłówiowych dziur, w gospodarkach państw. Takie działanie nie prowadziło do większych korzyści. Dlatego USA, zaproponowały Europie pomoc w postaci Planu Marshalla. Organizację rozwiązano w 1947 r.

i pocałowała Ojca w policzek. Nie spodziewała się takiego gestu. Właśnie o tę konserwę pogniewał się nasz polski sąsiad. Bardzo był oburzony, że Ojciec dał ją Niemcom, a nie jemu Polakowi. Wyraził się dosadnie: „cholernym szwabom”. Jeszcze długo to Ojcu wypominał.

Ojciec niedawno wrócił ze Szwajcarii, gdzie był internowany w kantonie niemieckojęzycznym. Tam początkowo stosunek tubylców do internowanych żołnierzy polskich był niezbyt przyjemny, a niekiedy nawet wrogi. Opowiadał, że wraz z kolegą z plutonu żandarmerii, Ślązakiem z Katowic, wybrał się na piwo do restauracji skąd dochodziły dźwięki skocznej muzyki. Gdy weszli, orkiestra przestała grać, a skrzypek odłożył instrument i powiedział głośno po niemiecku „przyszły polskie świnie”. Ślązak znający ten język przetłumaczył to Ojcu. Panowie wzięli się do roboty. Rozbili skrzypce na głowie grajka. Ponoć ze skrzypiec został tylko gryf i struny. Cóż, skrzypce to bardzo delikatny instrument. Zaczęła się bójka. Reszta orkiestry stanęła w obronie kolegi. Szybko zjawili się miejscowy żandarm, ponoć tylko jeden był w miasteczku. Uciszył awanturę, spisał protokół i zamknął naszych dzielnych wojaków w miejskim areszcie. „Złoczyńcom” to lokum bardzo się spodobało. W celi było ciepło, sucho i przytulnie. Nie tak jak w barakach, gdzie mieszkali. Nie musieli rano wstawać do ciężkiej i wyczerpującej pracy przy budowie dróg i wyrębie lasów. Posiłki bardzo smaczne przynoszono im z pobliskiej restauracji. A co najważniejsze, do każdego obiadu otrzymywali po butelce wina na głowę. Za wszystko oczywiście płacił rząd RP w Londynie. Niestety, co dobre szybko się kończy. Odbyla się rozprawa, sędzia wysłuchał stron i wydał wyrok: Kazał odkupić skrzypce, a muzykantom przeprosić internowanych za obelżywe słowa pod ich adresem. Obie strony były zadowolone, a to jest rzadkością na sali sądowej. Strony podały sobie ręce na zgodę i udały się do restauracji na wodę sodową.

Dowódca pułku rozkazał z funduszu kulturalno-oświatowego zakupić nowe skrzypce, co też uczyniono. Fundusz ten pochodził ze składek oficerów i aspirantów Drugiej Dywizji Strzelców Pieszych internowanej w Szwajcarii.

Nie często dochodziło do takich drastycznych spięć. Był zwyczaj, że rodziny szwajcarskie zapraszały internowanych Polaków na święta do domu aby dać im chociaż namiastkę rodzinnego ciepła. Dotyczyło to głównie świąt Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy. Szwajcarzy obchodzili te święta bardzo uroczyście.

Ale wróćmy do głównego tematu, czyli wysiedlania Niemców.

Prawie każda rodzina niemiecka miała mały wózek, dokładną miniaturę wozu drabiniastego. Rano wysiedleni wraz z tobołkami wyszli z domów. Meble i większe przedmioty zostawili w mieszkaniach, które zostały zaplombowane. Wszelkie precjoza kobiety chowały w staniakach i reformach. Nic i to jednak nie pomogło. Każdy transport kilkakrotnie był zatrzymywany przez *czerwonoarmiejców*, którzy okradając wysiedlonych i gwałcąc kobiety, dobrze znali te skrytki.

Utworzył się konwój. Wpadłem na genialny pomysł, jak mi się wydawało. Postanowiłem pomóc sąsiadom pchać wózki. Nic tu nie było z altruizmu – tylko czyste wyrachowanie. Chciałem koniecznie mieć taki wózek. Nie potrafię dzisiaj wyjaśnić dlaczego, i po co wózek był mi potrzebny. Po prostu dziecinna zachcianka. Wózek ciągnęła Niemka a ja z Rudim pchaliśmy go z tyłu. Za nami szedł zgrzybiały

starsuszek. Plan mój był prosty i łatwy do wykonania. Pomogę pchać wózek i zabiorę go do domu.

Trasa konwoju wiodła z ulicy Pańskiej (Krótka) do Alei Wolności (Bankowa). Następnie Kolejową (1 Maja) przez wiadukt kolejowy do ulicy Wincentego Pola. Na wysokości rzeźni miejskiej z prawej strony była brama metalowa, którą wjechaliśmy na rampę. Wagony były już podstawione. Dziwne to, ale wszystko przebiegało bardzo sprawnie. Wjechaliśmy na rampę, „moi Niemcy” wyładowali się, a ja zabrałem „swój” wózek i pojechałem w stronę bramy wyjazdowej. Już byłem prawie na drugiej stronie, gdy jakiś wąsаты żołnierz z karabinem kopnął mnie w cztery litery i krzyknął: „gówniarzu, odstaw ten wózek”. Cóż miałem robić. Rozkaz wykonałem. Koło rampy wózków był już cały plac. Ale do dzisiaj nie mogę zrozumieć, po co wojsku były potrzebne te wózki. Czyżby to były wózki bojowe?

Takiego samego kopniaka dostałem pod koniec wojny od żołnierza niemieckiego. Ale za niego powinienem tylko podziękować. Być może uratował mi życie. Ale o tym później.

W nocy przed kamienicę gdzie mieszkaliśmy podjechał bardzo duży samochód z plandeką. Kilku ludzi wyniosło meble i resztę rzeczy, które zostały po niemieckich sąsiadach.

Takie to były czasy, że trzeba było siedzieć cicho, nic nie widzieć i nic nie słyszeć. Telefonu nie było. Jak później mówili sąsiedzi z innej kamienicy, załadunku pilnowało dwóch milicjantów. Tak już jest, że gdzie są złodzieje, tam muszą być też milicjanci. Mieszkanie długo stało puste, nikt się nim nie interesował. Później wprowadziła się rodzina polska – nawet sympatyczna. Żyliśmy z nimi w zgodzie i przyjaźni. Z ich synem Tadkiem K. przyjaźnimy się do dzisiaj. Ostatnio mniej się widzimy. Po perypetiach sercowych Tadeusz wybrał spokojne życie na wsi pod Jelenią Górą.

Wróć do kopniaka, którego dostałem od żołnierza niemieckiego. Wojna jeszcze trwała, koło naszego domu Niemcy mieli punkt naprawy sprzętu pancernego, który zwozili z pól bitewnych. Ponieważ łączność im szwankowała, postawili antenę. Ile miała metrów, nie potrafię określić. Byłem mały, więc wydawała mi się niebosiężną. Do zamocowania linek odciągowych żołnierze użyli bagnetów karabinowych. Właśnie taki bagnet chciałem zdobyć. Może już wtedy odezwała się we mnie żyłka kolekcjonerska. Z wielkim trudem wyjąłem jeden bagnet. Widocznie inne były wbite niedbale, bo nagle cała konstrukcja z hukiem runęła na ziemię. Nie zdążyłem się nawet wystraszyć, dopiero później zrozumiałem co zrobiłem. Stałem jak zamurowany między linkami a masztem. Byłem cały i zdrowy. Z warsztatu wyskoczył żołnierz z pistoletem w dłoni. Zobaczył zwalony maszt, zaklął i kopnął mnie w tyłek, aż podskoczyłem do przodu. Był bardziej wystraszony niż ja. Matka wyszła z domu zobaczyć co się dzieje. Niemiec doskoczył do Matki i machając pistoletem coś krzyczał, wskazując na mnie. Ale jak to choleryk, szybko wybuchnął i szybko się uspokoił. Jak później opowiadała Mama, awantura zakończyła się tym, że obiecała Niemcowi zakup mięsa na paczkę do domu. W Niemczech był kryzys, więc żołnierze nielegalnie i bez świadków kupowali mięso. Oczywiście przy wpadce były bardzo surowe kary dla kupujących i sprzedających. To mięso przeważnie wędzili i wysyłali w sobie tylko znany sposób w paczkach do rodzin. Nie mogę nic złego powiedzieć o tym niemieckim żołnierzu, bo w pełni zasłużyłem na kopniaka. To musiało być jakieś pocziwe „szwabisko”.

Drugi wypadek o wiele groźniejszy w skutkach wydarzył się niedługo po zwaleniu masztu. Niemcy po każdym remoncie pojazdu robili jazdy próbne. Wyglądało to w ten sposób, że wsadzali miejscowe dzieciaki do czołgu lub samochodu pancernego i jeździli po różnych wertepach. Była to dla dzieci niesamowita frajda. Dopiero później dowiedziałem się że Niemcy to nasz największy wróg. Ale jak mogłem ich wtedy nienawidzić: dawali dzieciom cukierki (najczęściej dropy), suchary a niekiedy, chociaż rzadko, czekoladę. Dawali też dzieciom ryż na mleku, który zostawał ze śniadania. Przecież w domu tego nie było. Największym przysmakiem w domu była kromka chleba posypana cukrem, ale często i tego brakowało. Dzisiaj wydaje się to śmieszne, ale była wojna i te niemieckie przysmaki były nie do pogardzenia. Może ci żołnierze też mieli małe dzieci, które zostawili w domu idąc na wojnę. W każdym narodzie ludzie są dobrzy i źli. Nie wszyscy Niemcy byli potworami. Dobrym człowiekiem był ten kto dał dziecku cukierek. Ale trafiłem też na innych Niemców.

Kiedyś wdrapałem się na czołg który remontowano. Kierowca mnie nie widział bo wchodziłem od tyłu. Ruszył ostro do przodu a ja spadłem na ziemię i złamałem obojczyk. Zacząłem płakać, jak to dziecko. Matka myślała że grymaszę i dołożyła jeszcze klapsa. Sprawa wyglądała poważnie i wymagała interwencji lekarza.

Niemiecki dowódca warsztatu zaferował pomoc. Dał samochód ciężarowy, bo innego mniejszego akurat nie było. Kierowca zdjął zasmarowany kombinezon i przebrał się w czarny mundur wyjściowy, na głowę założył берет. Na wyłogach kołnierza miał trupie czaszki. Nie był to esesman, lecz żołnierz wojsk pancernych. Ponieważ połamany nie mogłem sam wejść do samochodu, to kierowca musiał mnie wnosić i wynosić. Droga po wybojach była straszna, cały czas kość tarła o kość, co bardzo bolało. Żołnierz zawiózł mnie do niemieckiego szpitala polowego, który mieścił się pod namiotami. Wysiadł zasięgnąć języka. Wrócił po chwili i podeszliśmy do dwóch lekarzy – oficerów, w mundurach z kaburami na brzuchach. Grali w ping – ponga. „Mój” żołnierz zameldował się oficerowi najstarszemu stopniem. Ten bardzo uprzejmy, uśmiechnięty, przerwał grę, wysłuchał meldunku i nieco zdziwiony spojrział w moją stronę, zrobił się czerwony, a później aż purpurowy i nie krzyknął, nic z tych rzeczy, ale wrzasnął „RAUS” pokazując jednocześnie ręką na bramę. „Mój” Niemiec – kierowca, bardzo wystraszony złapał mnie za rękę i uciekliśmy do samochodu. W czasie jazdy kierowca meł w ustach jakieś przekleństwa. Cóż, chłop chciał dobrze, chciał pomóc – nie wyszło, bo ten „lekarz” ze szpitala był z gatunku lekarzy sk...synów. Wiem, że to słowa złe, nie powinny być używane, ale żadnego innego odpowiedniego nie mogę znaleźć.

Moja religia nakazuje wybaczać wrogom, tym którzy nas skrzywdzili. Ja już wybaczyłem, ale nie miałbym nic przeciwko temu, gdyby jakiś czerwonoarmista tego „lekarza” ustrzelił. A może to był dobry lekarz, przecież mógł mnie bezkarnie zastrzelić, a nie zrobił tego. Co mogło go obchodzić czyjeś zapłakane, połamane dziecko. Tak, chyba był dobrym niemieckim lekarzem.

Tu mała dygresja. Ponad czterdzieści lat byłem ratownikiem górskim. Nigdy dla mnie nie stanowiło żadnej różnicy czy ofiara wypadku jest Niemcem, Polakiem czy Rosjaninem. W miarę swej wiedzy i środków starałem się każdemu pomóc. Tak samo postępowali koledzy – ratownicy.

Kończę te wspomnienia z dzieciństwa.

Matka znalazła felczerą – Polaka, który założył na obojczyk dwie duże taśmy samoprzylepne z przykazaniem, że trzeba często machać ręką, aby obojczyk się równo zrósł. Tak się też stało.

A jak wyglądało życie codzienne w Jeleniej Górze w pierwszych miesiącach powojennych?

Wojna, która przeważyła się przez świat zapomniała o małym, bo liczącym 35 tysięcy mieszkańców miasteczku schowanym gdzieś w Riesengebirge (Karkonoszach). Przybyłem ze zrujnowanej Polski, miasto wydało się oazą spokoju, porządku i dobrobytu. Utworzono tu wiele centralnych zarządów, które w miarę powstawania życia w Warszawie tam przenoszono. Jelenia Góra była centrum życia kulturalnego. W samym mieście i okolicy zamieszkiwało wielu znanych ludzi pióra. Należy przypomnieć, że w miejscowym teatrze grano sztuki z udziałem najznakomitszych aktorów scen polskich. Zjechało tu wielu ludzi przedsiębiorczych, jak również złodziei i tzw. „niebieskich ptaków”. Znalazło tu również schronienie wielu członków organizacji niepodległościowych. Liczyli, że w ogólnym rozgardiaszu uda się przetrwać czas największych represji. Jakże się mylili. Rodzime NKWD znacznie przewyższyło swojego nauczyciela – było godne mistrza.

Komenda Wojenna Wojsk Radzieckich mieściła się przy alei Wolności (obecna Bankowa) nr 21/22. Komendantem był mjr Smirnow. W mieście można było spotkać grupy czerwonooarmistów wечно pijanych i szukających zaczepki. Często dochodziło do bójek między nimi a żołnierzami WP. Nie należały to szukać sensacji. Wszędzie gdzie są zgromadzone wojska różnych narodowości dochodzi do bójek i awantur między nimi. Ruscy odróżniali się tym, że na każdej ręce nosili po kilka zegarków. Opowiadano, że zegarki nosili również na nogach, ale ja tego nie widziałem. Nie zwracałem uwagi na te rzeczy. Nazywano ich różnie: Moskalami, bolszewikami, Kałmukami a najczęściej pogardliwie kacapani.

Między bajki można włożyć przyjaźń i braterstwo broni między żołnierzami polskimi a rosyjskimi. Jak może się zaprzyjaźnić dupa z batem? Przyjaźń zniszczyła oglupiająca, tępa, wszechobecna propaganda. W tym okresie wielka przyjaźń panowała między Rosjanami a Niemcami. Niemcy bardzo często chodzili na skargę do Komendanta rosyjskiego, oskarżając Polaków o różne sprawy. Oczywiście, każda skarga poparta była wódką, zegarkiem lub bardzo w tym okresie poszukiwanymi – ubraniami męskimi i damskimi. Oczywiście, że Niemcy zawsze mieli rację, zawsze byli krzywdzeni, zawsze wygrywali. Wszystko na tzw. Ziemiach Odzyskanych było tymczasowe. Ziemie te jeszcze były „niczyje”. Wszyscy mówili, że na wiosnę na pewno wybuchnie trzecia wojna światowa. Wróć Niemcy, a Polsce zostaną oddane zagrabione przez Rosję nasze Ziemie Wschodnie. Jak widać, najtrwalsze są rzeczy tymczasowe. A na razie ludzie korzystali z chwilowej swobody i hucznie się bawili.

Restauracje były dobrze zaopatrzone i zawsze pełne gości do ostatniego miejsca. Pamiętam że u wejścia do obecnego Biura Wystaw Artystycznych na rogu Długiej i Rynku pod arkadami była restauracja. Leżały tam na stosie olbrzymie cielska jeleni. Taki sam stos był na styku ul. Drucianej i Rynku. Trzeba było kilku ludzi aby takiego jelenia wciągnąć do kuchni. Mimo długoletniej i wyniszczającej wojny zaopatrzenie sklepów w mięso było bardzo dobre. Na Długiej, w okolicy

dzisiejszej „Zabki”, był sklep mięsny, zawsze dobrze zaopatrzony. Wisały tam na hakach półtusze wieprzowe. Na skarpie od ulicy Kopernika znajdował się tzw. „czarny rynek”. Można tu było dostać wszystko, czego dusza zapagnie. Największym wzięciem cieszyły się modne ubrania.

W kinach był zawsze tłok, grali głównie filmy amerykańskie i zachodnie. Dopiero później nastąpiła era filmów radzieckich. Narodził się nowy, nieformalny zawód „konik kinowy”. Polegało to na tym, że taki konik sobie znanym sposobem wykupywał bilety w kasie a następnie z zyskiem odsprzedawał chętnym.

Moją szkoła była Szkoła Powszechna nr 1 przy ul. Strzeleckiej (obecnie Piłsudskiego). Dyrektorem był Władysław Mróz. Raz z kolegą zupełnie przypadkowo, podsłuchaliśmy rozmowę dwojga nauczycieli. Mówił nauczyciel do nauczycielki, że dyrektor jest „czerwonym bolszewikiem”. Wiele nas to zaintrygowało. Co znaczy „bolszewik” dobrze wiedzieliśmy, bo tym słowem rodzice straszili niesforne dzieci, ale dlaczego „czerwony”? Akurat byliśmy na etapie polykania książek o czerwonoskórych. Kolega taki sam mądry, jak ja twierdził, że na pewno nasz dyrektor jest potomkiem Indian i musi mieć czerwoną skórę. Raz z okazji jakiejś akademii „ku czci” podeszliśmy bardzo blisko dyrektora. Ku naszemu wielkiemu zdumieniu jego skóra była biała, taka sama jak nasza i – nie ma Indianina. I właściwie nie wiem do dzisiaj, dlaczego dyrektora nazywali „czerwonym bolszewikiem”. Może ktoś wie?

W szkole codziennie, każdy uczeń dostawał łyżkę tranu z dorsza. Wyglądało to w ten sposób że klasa stała w szeregu, a nauczycielka jedną łyżką karmiła wszystkich. Jedną łyżką bez mycia obsługiwała całą klasę. Ponoć ten tran miał nas wzmocnić. Może był zdrowy, ale ohydny. Jeszcze dzisiaj czuję ten smak rycyny.

Uczniowie uprawiali bardzo popularne gry. Jedną to była zośka. Do ołowiu przyczepiało się wełnę i podbijało nogą. Drugą grą, znacznie popularniejszą, było odbijanie od cegieł monet, głównie srebrnych poniemieckich, bo innych nie było. Cała „szkoła jedynka” miała na wysokość dziecka odbite czerwone cegły. Dość popularną grą był też cymbergaj, który wszyscy znają i nie trzeba tłumaczyć zasad tej gry.

W szkole jeszcze odbywały się lekcje religii. Pamiętam, że była dość liczna grupa tzw. „innowierców”. Było kilku prawosławnych, grekokatolików, jeden Świadek Jehowy i kilku wyznania mojżeszowego. Oczywiście najlicniejszą grupę stanowili uczniowie wyznania rzymskokatolickiego. Religii uczyliśmy się na pierwszej lekcji. Uczniowie innych wiar przychodzili na drugą lekcję. Nie było między nami żadnych sporów. Wiara była osobistą sprawą ucznia, a głównie jego rodziców. Po Pierwszej Komunii urządzono nam przyjęcie w szkole. Każdy dostał kubek kakao i ciastko podobne do późniejszej wuzetki. Nie było żadnych innych prezentów, ani rewii mody, tak później popularnych. Wszyscy byli równi. Jak pamiętam, na lekcji religii czytałem po kryjomu pod ławką książkę. Ksiądz – katecheta, olbrzymie chłopisko o donośnym głosie stanął koło ławki. Ja zaczytany, byłem w innym świecie, nie zauważyłem niebezpieczeństwa i tej ciszy która nastąpiła. Dostałem otwartą ręką od księdza po głowie. Klasa miała ubaw. Czy miałem za złe księdzu, czy miałem się gniewać? Moja wina. Nie zachowałem ostrożności, a co ważniejsze złamałem regulamin szkolny. Tego księdza zawsze mile wspominam.

W szkole uczono nas dziwnych wierszyków, które trzeba było znać na pamięć, jak na przykład taki:

Stalin wszystkich bojów naszą chwałą.

Stalin to młodości naszej blask.

Ze Stalinem walcząc zwyciężając,

Ze Stalinem idzie Naród nasz.

Dziwne to, że Polacy uważający siebie za naród mądry i roztropny, tak szybko ulegli nowej ideologii. Hasła głosiły walkę o pokój, zapominając o kuchni i spiżarni. Nam dzieciom kazano podpisywać apel o uwolnienie radzieckich agentów, którzy za pieniądze zdradzili tajemnicę broni atomowej. Na szczęście Amerykanie wyrok śmierci wykonali. Zdrajcy zostali przykładowie ukarani.

Perfidia polityki Niemiec hitlerowskich i Związku Radzieckiego odniosły pożądany skutek. Inteligencja w Polsce została zniszczona, reszta się nie liczyła przez długie lata.

Historia lubi się powtarzać. W czasie wojen husyckich w Cechach również wyróżniło prawie całą szlachtę. Przez długie stulecia Czesi nie mieli inteligencji.

To samo zdarzyło się i w Polsce.

**Jak to się wszystko skończyło – dobrze wiemy.**

plk w st. spocz. mgr Paweł Kaliński

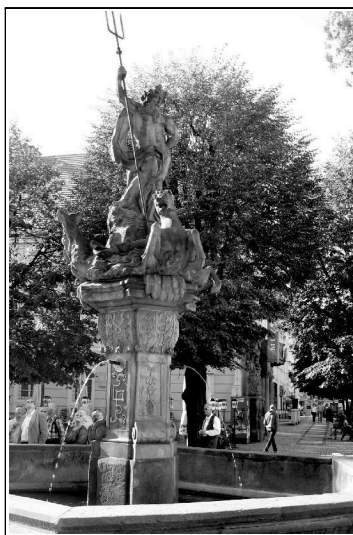
plk rez. mgr Franciszek Michalik (*zdjęcia*)

## Wycieczka w nieznane – wrzesień 2009

Wrzesień w naszym kraju bywa pogodny. Potwierdzeniem tej tezy był ostatni miesiąc trzeciego kwartału ubiegłego roku. W piękny, słoneczny, ciepły dzień członkowie Radaru, zgodnie z planem przedsięwzięć stowarzyszenia biorą udział w wycieczce krajoznawczej. Wśród uczestników znajdują się gościnnie byli oficerowie Wojsk Radiotechnicznych (absolwenci KWIRTU<sup>78</sup>) oraz koledzy z ZBZZ i OR a także członkowie rodzin.

Jedziemy do Świdnicy. Miasto około sześćdziesięcioletnie położone nad rzeką Bystrzycą. Ośrodek przemysłowy o wielorakim charakterze. Produkuje się tutaj wagony kolejowe, sprzęt elektrotechniczny, precyzyjny, maszyny cukrownicze i materiały budowlane. Działają zakłady przemysłu drzewnego, skórzanego, wełnianego, odzieżowego i spożywczego. Tak, to wszystko tu b y ł o i działało jeszcze trzydzieści lat temu. Dzisiaj, w opinii mieszkańców miasta, nie wiele z tego zostało.

W latach 1291 – 1392 Świdnica była stolicą księstwa Piastów Dolnośląskich. Przez wieki przewaliło się, przez te ziemie, wiele wydarzeń z historii Piastów, Prusów, Czechów i Austriaków. Została historia i zabytki.



*Neptun na starówce.  
Czyżby go z Gdańska przywieźli?*

<sup>78</sup>

Kijewsko Wojennyje Inżynieryjno Radiotechniczeskije Ucziliszcze



Ewenementem na skalę światową jest, jeden z trzech, na Dolnym Śląsku Kościół Pokoju wpisany na listę Światowego Dziedzictwa Kultury UNESCO. Kto nie widział, niech koniecznie zobaczy.

W roku 1648 zakończyła się pokojem westfalskim – wojna trzydziestoletnia na Śląsku. W wyniku postanowień tam podjętych, zwycięski cesarz Ferdynand III stojący na czele sił kontrreformacji dał zgodę ewangelikom na wybudowanie trzech tak zwanych Kościołów Pokoju. W Jaworze, Głogowie i Świdnicy. W swej łaskawości nie poszedł zbyt daleko. Postawił drakońskie warunki:

- obiekt miał być pozbawiony wież i dzwonów i powstać poza murami miasta,
- miał zostać zbudowany wyłącznie z drewna, słomy, gliny i piasku,
- budowa winna się zamknąć w czasie jednego roku.

Luteranie pod kierownictwem mistrza budowlanego Albrechta von Saebisch'a i cieśli Andreea Kaempera wmurowali kamień węgielny 23 sierpnia 1656, a już 24 czerwca 1657 roku odprawiono w świątyni pierwsze nabożeństwo. Ażeby było ciekawiej, kościół może pomieścić ponad sześć tysięcy wiernych.



*Ewangelicko-Augsburski  
kościół pod wezwaniem  
Św. Trójcy  
- Kościół Pokoju w Świdnicy  
- największy drewniany  
kościół w Europie*

W kościele luterzańskim, (to osobliwość) obowiązują cztery podstawowe zasady:

- Jedynie słowo Boże jest środkiem zbawienia (sola verbum).
- Jedynie Chrystus jest Zbawicielem i Pośrednikiem między Bogiem a człowiekiem, (solus Chrystus).
- Jedynie łaska Boża dzięki ofierze krzyżowej może zbawić wierzącego. Pobożne praktyki i dobre uczynki nie zapewnią zbawienia (sola gratia).
- Jedynie Pismo jest źródłem wiary i życia chrześcijanina (solum scriptura). Tradycja i soborowe orzeczenia nie mogą ich kształtować. Wiara wywodzi się ze Słowa i przezeń jest formowana.

*Bogaty wystrój wnętrza  
drewnianej Świątyni Pokoju.*



*Kazalnica.*

Chodzimy po centrum miasta. Wokół pięknie, kolorowo malowane, zabytkowe kamieniczki. Ich widok robi przyjemne wrażenie.

*Zabytkowa fontanna na  
rynku miejskim.*





*Handel kwitnie  
– kiermasz pszczelarzy -  
miody, pyłki i wosk*

Wyobraźnia podsuwa obrazy dawno minionych dni.

Pod nr 37 w Rynku mieści się Muzeum Dawnego Kupiectwa Śląskiego ułożowane w budynku miejskiego Ratusza, pochodzącego z XVI w.

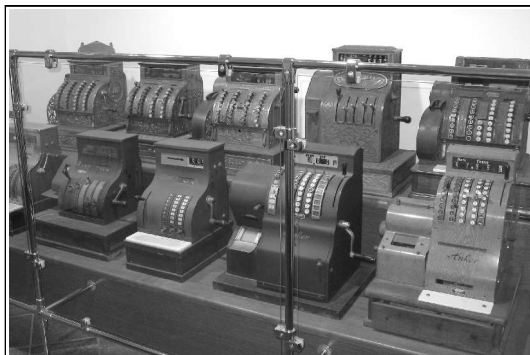
*Rynek 37. Wejście do  
Muzeum Dawnego  
Kupiectwa Śląskiego,  
czynne 10-15,  
w piątki wstęp w o l n y!*



Nieopodal wejścia na ścianie umieszczono pamiątkową tablicę z napisem:

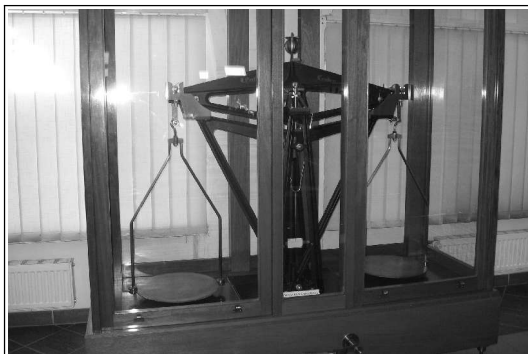


W muzeum zgromadzono wiele przedmiotów używanych w dawnych czasach przez miejscowych kupców i handlarzy. Są tu odważniki różnych kształtów i wymiarów, wagi, miary długości i pojemności. W dawnych wiekach Świdnica handlem stała.



*Kasy kupieckie, jakie już nie każdy pamięta.*

*Wagi szalkowe.*



*Odważniki.*

Opuszczamy Śródmieście udając się do, położonej w innej części miasta, barokowej Katedry. Idziemy wąską ulicą zabudowaną średniowiecznymi domami. Widok bardzo sympatyczny. Prawie wszystkie budynki mają odnowione, kolorowo malowane elewacje z zachowanymi

elementami zdobniczymi. W drodze budzą się pewne wątpliwości, czy uda nam się wejść do świątyni. Podobno gospodarz-dobrodziej nie szczególnie chętnie gości turystów na swojej posesji.

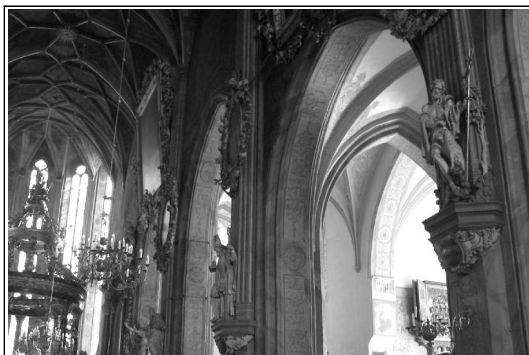


*Jurek Górski  
w swoim żywiole,  
z wycieczkowiczami przed  
wejściem do Katedry.*

Sytuacja klaruje się, nasz nieoceniony przewodnik Jurek Górski sprowadza przewodniczkę parafialną i... wchodzimy. Niestety na samym wstępie pada zastrzeżenie: nie wolno pod żadnym pozorem posługiwać się fleszem. Ponoć jego błysk poważnie szkodzi obrazom... na cerę. Tak, więc zdjęcia niestety będą ciemne i ponure, jak i sama Katedra.



*Katedra – widok z zewnątrz.  
Wieża ma ponad 100 m  
wysokości.*



*Wnętrze Katedry.*

*Oltarz główny.*



Kolejnym celem wycieczki jest wieś Krzyżowa położona nieopodal, w bok od drogi nr 382. Mieściła się tu posiadłość grafu von Moltke. W latach powojennych przekształcona w Państwowe Gospodarstwo Rolne z czasem popadała w ruinę. Przed wejściem, wewnątrz obiektu umieszczono tablicę pamiątkową, która wiele wyjaśnia:

„W tym miejscu w latach II wojny światowej zawiązana została tajna organizacja antyhitlerowska pod nazwą „Koło z Krzyżowej” skupiająca grupę obywateli niemieckich”

*W 50 rocznicę wybuchu II wojny światowej*

*Wrzesień 1989 r.*



*Przyjazd wycieczki  
RADAR'u do Krzyżowej.*

Właściciel posiadłości Kreisau, graf Helmuth James von Moltke (1907–1945) był przeciwnikiem nazizmu. Wraz z Peterem Dietloff von der Schulenberg, Hennigem von Treskow, Wernerem von Haekon, Hansem von Dohnanyi i Clausem von Stauffenberg oraz szeregiem innych tworzyli jedną z najważniejszych grup opozycyjnych wobec ideologii narodowego socjalizmu. 20 lipca 1944 r. zorganizowali zamach na Hitlera, który niestety nie udał się. Spiskowcy zostali aresztowani i oddani pod Sąd Ludowy pod przewodnictwem niejakiego Freislera.

Skazano ich na karę śmierci. Przebywający w więzieniu w Tegel, von Moltke w październiku 1944 r. pisał do synów:

*„Od czasu dojścia narodowego socjalizmu do władzy, starałem się łagodzić jego skutki dla ofiar i torować drogę przemianom. Tak nakazywało mi moje sumienie.”*

Zaniedbana posiadłość von Moltke została przejęta przez Fundację „Krzyżowa” dla Porozumienia Europejskiego. Celem fundacji są działania na rzecz pokojowego współistnienia narodów. Fundacja prowadzi swą działalność w różnych formach integracyjno - wychowawczych już ponad 20 lat.

*Zabudowania folwarczne  
zamienione na hotel  
i restaurację.*



Odrestaurowane budynki gospodarcze zmieniły swe przeznaczenie na miejsca hotelowe i gastronomiczne. Pałac stanowi obiekt konferencyjno-muzealny. Krzyżowa w swej dzisiejszej postaci przedstawia przykład tego, ile można dokonać wspólnym wysiłkiem idei, woli, dobrowolnej pracy i młodzieńczego zapału. Fundacja „Krzyżowa” jest organizacją pożytku publicznego, funkcjonuje na zasadzie *non profit*. Działalność Fundacji opłacana jest z dotacji przyznawanych na realizację konkretnych projektów takich jak: spotkania młodzieży, seminaria, konferencje, szkolenia, wystawy, warsztaty, dyskusje. W finansowaniu działań Fundacji uczestniczy szereg podmiotów krajowych i zagranicznych.



*Dawna wozownia.*

*Zabytkowy portal  
– wejście do pałacu*



*Jedna z sal pałacowych.*

*Uczestnicy wycieczki*





Z Krzyżowej jedziemy do położonej pod Świdnicą wsi Witaszów. Tu posiada małe gospodarstwo rolne pan Stanisław Gabryś.



*Właściciel muzeum  
Stanisław Gabryś.*

Od szeregu lat, realizując swą życiową pasję namiętnego zbieracza, pokonując nie raz niebotyczne trudności, narażając domową kasę na utratę płynności finansowej i cierpliwość oddanej Mu całym sercem Małżonki ściąga do siebie wszystko, co nosi charakter wojskowy. W ten sposób powstało ogromnym nakładem siły woli, uporu, samozaparcia i konsekwencji:

#### MUZEUM BRONI I MILITARIÓW.



*Wjazd do muzeum  
w Witaszowie.*

Zaprzyjaźniony z RADAREM gospodarz, jak sam mi opowiadał, w wojsku nie służył. Ale ręczę za to, że na sprzęcie wojskowym, jego danych taktyczno-technicznych, zastosowaniu bojowym i pochodzeniu zna się na pewno lepiej niż niejeden wojskowy.

Na stosunkowo niewielkiej przestrzeni zgromadzono znaczne ilości militariów. Na pewno jest tam klucz samolotów odrzutowych, niepełna bateria haubic 122 mm, pół baterii dział polowych towarzyszących piechocie i przeciwpancernych, działo przeciwlotnicze oraz elementy posterunku radiotechnicznego - stacje radiolokacyjne.



*Sprzęt radiolokacyjny.*



*Samolot myśliwski MiG-21.*



*Samolot szturmowy Su-7B.*

*Samolot szkolno-bojowy Iryda.*

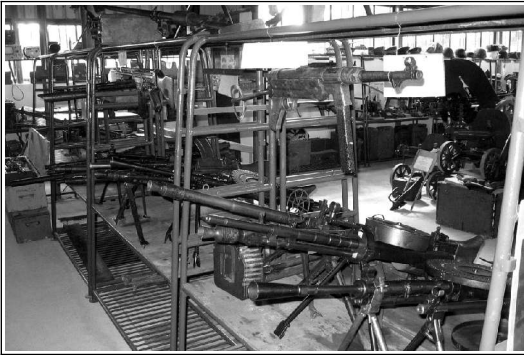


*Samolot szkolno-treningowy Iskra.*

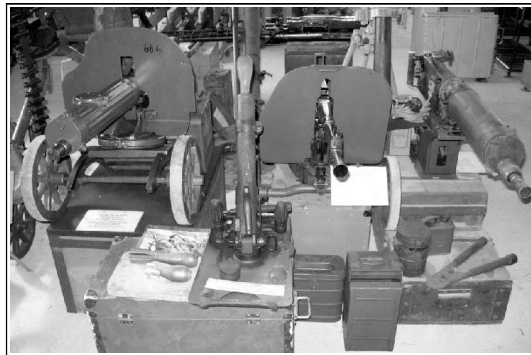
Wewnątrz zaś „stodoły” duże ilości broni ręcznej i automatycznej, uzbrojenia lotniczego i wszelkiego rodzaju sprzętu wojskowego przeróżnej proveniencji. Pewnie dla kompanii wojska, by tego starczyło. Sądzę, że nie jedno „prawdziwe” muzeum miałoby powody do zazdrości.

*Broń strzelecka piechoty.*





*Niemiecki Schmeiser  
i sowiecki rkm Diegtiarow.*



*Sowiecki ckm Maksim.*



*Działo bezodrzutowe.*

*Honorowy Prezes wręcza  
dyplom pamiątkowy twórcy  
muzeum.*



Wycieczkę tradycyjnie kończymy biesiadą. Na stoły wjeżdża „zupa bojowa”, czyli grochówka wojskowa, jak zawsze nie do pobicia. Podają także kielbaski z rusztu. Była też „czysta” – oczywista. Humory dopisują. Choć zleźliśmy się do ostatnich zelówek – wycieczka była nad wyraz udana.



*Biesiada wiadomo: „przez  
żołądek... do serca.”*

I myśmy tam byli, czaj i wódkę pili...

## Jeleniogórskie „Dziady”

Staraniem Towarzystwa Przyjaciół Jeleniej Góry, Osiedlowego Domu Kultury w Jeleniej Górze, Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich - Oddział w Jeleniej Górze oraz Jeleniogórskiego Stowarzyszenia Żołnierzy Radiotechników „RADAR” w Jeleniej Górze w dniu 4 listopada 2009 roku odbyło się „Spotkanie Wspomnieniowe”. Gospodarzem spotkania był Osiedlowy Dom Kultury mieszczący się przy ulicy Komedy-Trzczińskiego, który udostępnił salę widowiskową wraz z nagłośnieniem.

Prowadzącym spotkanie był p. Stanisław Firszt wieloletni dyrektor Muzeum Karkonoskiego. Jak wynikało z treści słowa wstępnego, spotkanie zostało zorganizowane po raz kolejny, co wskazuje na istnienie pewnego rodzaju tradycji w tym dziele.

Celem spotkania było przybliżenie zebranych postaci mieszkańców Jeleniej Góry, którzy tu żyli, pracowali, zmagali się z trudami działalności zawodowej, pokonywali je i wnosili nową jakość w życie naszego miasta. Dziś ludzi tych nie ma już wśród nas. Odeszli. Zasłużyli sobie na wspomnienie. Trawestując słowa znanego duchownego-poety, chciałoby się rzec: „śpieszmy się dokumentować pamięć o ludziach zacnych, którzy tak szybko odchodzą.”

Wielcy Nieobecni tego wieczoru, wspomniani przez przyjaciół, krewnych, kolegów i podwładnych to:

Maria i Borys Jarmolukowie. Ona prawnik, On ichtiolog a oboje razem długoletni pracownicy redakcji tygodnika „Nowiny Jeleniogórskie”. Pełni pasji twórczej i poznawczej, zaangażowani w śledzenie problemów naszego miasta, poświęcili mu wiele czasu i sił. Zamiłowani w dziedzinie turystyki, tak istotnej na tutejszym terenie – wymyślili i realizowali hasło: „W niedzielę nie ma nas w domu”.

Plk dypl. w st. spocz. Czesław Jasiński – były Kwatermistrz Wyższej Oficerskiej Szkoły Radiotechnicznej w Jeleniej Górze. Referujący odsłonił nieznaną kartę Jego życiorysu. Okazuje się (o czym z pewnością nie wiedzieliśmy my byli żołnierzem tej Szkoły) pułkownik już w roku 1941, mając siedemnaście lat był żołnierzem wileńskiej Armii Krajowej i posiadał stopień wojskowy kaprała. Brał udział w walkach o Wilno przeciw najeźdźcy ze wschodu. W ostatnim czasie w uznaniu Jego wkładu w wyzwolenie Ojczyzny został odznaczony Krzyżem Srebrnym Orderu Virtuti Militari.

Dr med. Tadeusz Rolski były dyrektor nieistniejącego już Szpitala Miejskiego im. Stefana Żeromskiego. W ciągu wielu lat pracy i działalności organizacyjno-dydaktycznej nacechowanej żelazną konsekwencją, doskonałą wiedzą i zaangażowaniem integrował środowisko lekarskie Jeleniej Góry. Godzi się wspomnieć, że Jego współpracownicy dr med. Janusz Ptaszyński pełnił wojskową służbę okresową, a dr med. Mirosław Mucha był na przydziale mobilizacyjnym w Wyższej Oficerskiej Szkole Radiotechnicznej. Tak oto toczą się sprawy tego świata.

Ks. Dominik Kostial wieloletni administrator kościoła parafialnego pod wezwaniem św.św. Erazma i Pankracego. W Jeleniej Górze posługiwał przez okres dwudziestu pięciu lat, aż do końca swych dni. W opinii sprawozdawcy, duchowny cieszył się zasłużenie szacunkiem i przyjaźnią Jego parafian. Szczególnie zaskarbił sobie ciepłe uczucia najmłodszych, którymi lubił się otaczać. Świadcstwo prawdziwe dał sam prowadzący wspominki, który jako młodzian był ministrantem u księdza.

Barwne wspomnienia o zmarłych przeplatane były fragmentami prozy i poezji wybranymi przez lektorkę p. Alinę Obidniak.

Jeleniogórskie, jak je nazwałem „Dziady” – są przedsięwzięciem kulturalnym na wskroś chwalebny i wartym kontynuowania. W moim oglądzie wypadły jednak nieco zbyt skromnie. Zabrakło mi tego, co w dzisiejszych czasach powinno być powszechne i oczywiste. Oprawa audio-wideo. Mówiono o ludziach, których przecież nie wszyscy znamy choćby z widzenia. A zatem, należało pokazać, jak wyglądali za życia rzucając na ekran ich fotografie. Należało stworzyć atmosferę powagi, ale i określonego nastroju, uruchamiając odpowiedni podkład muzyczny.

I tu widzę rolę niektórych członków naszego Stowarzyszenia (poza kol. Jankiem Ginowiczem od lat udzielającym się w organizacji „Spotkań Wspomnieniowych”), którzy dysponując odpowiednią techniką mogliby się aktywnie włączyć w realizację zadań związanych z kolejnym takim spotkaniem. Sądzę, że nas Radarowców będzie stać na to, aby sprostać temu nowemu wyzwaniu. Zamienimy w ten sposób pozycję biernych obserwatorów w aktywnych kreatorów kultury. Zyskamy, mam nadzieję, tak właśnie pozycję czynnych uczestników jednego z nurtów życia jeleniogórskiej społeczności i jej zasłużone uznanie.

A więc – do dzieła!

Ochotnicy wystąp!

## „Jest w orkiestrach dętych jakaś siła”

*(Spojrzenie z ukosa...)*

W połowie maja każdego roku, już od 58 lat, żołnierze jeleniogórskich wojskowych szkół radiotechnicznych obchodzą swoje święto. Czternastego maja 1952 roku została powołana do życia, nowa w Wojsku Polskim, uczelnia wojskowa pod nazwą Oficerska Szkoła Radiotechniczna Obrony Przeciwlotniczej Obszaru Kraju. W bieżącym roku dodatkową okazją do świętowania jest 60 rocznica powstania Wojsk Radiotechnicznych. Nowego w owym czasie rodzaju wojsk.

Staraniem Zarządu Jeleniogórskiego Stowarzyszenia Żołnierzy Radiotechników RADAR i jego prezesa honorowego gen. bryg. Bronisława Peikerta, wśród kilku różnych przedsięwzięć rocznicowych, dzięki zrozumieniu i poparciu odnośnych decydentów z Ministerstwa Obrony Narodowej, przybyła do Jeleniej Góry Orkiestra Reprezentacyjna Centralnego Zespołu Artystycznego Wojska Polskiego z Warszawy.

Gospodarzem, mającego mieć miejsce koncertu, był jak zwykle od szeregu lat, kapelan tutejszego Kościoła Garnizonowego, ks. plk dr Andrzej BOKIEJ, który za niedługo zostanie niestety jedynym żołnierzem zawodowym, reprezentantem Wojska Polskiego w naszym mieście. W serdecznych słowach, pułkownik przywitał, w pięknie odrestaurowanej, przestronnej Świątyni, licznie zgromadzonych byłych żołnierzy wojsk radiotechnicznych (w tym kilku aktualnie pełniących służbę generałów z Szefem WRT gen. bryg. Michałem Sikorą na czele) ich rodziny oraz mieszkańców naszego grodu.

Rozpoczął się koncert.

W ogromnym wnętrzu Kościoła, w warunkach niemal wzorcowej akustyki, rozległy się potężne, energetyzujące dźwięki orkiestry dętej pod batutą mjr. Jacka Kowalskiego i Grzegorza Mielimąki. Orkiestra dała z siebie wszystko, co najlepsze a dwoje solistów stworzyło nastrój pełen uczuć patriotycznych najwyższego lotu. W niejednym oku błysnęła łza wzruszenia. Nie ominęło mnie ono również.

Zespół zaprezentował utwory muzyczne i pieśni w szerokim przekroju czasowym naszej rodzimej historii.

Były, więc pieśni patriotyczne z okresu powstań narodowych 1830 i 1863 roku. Były też dwa utwory Fryderyka Szopena, które w wykonaniu orkiestry dętej brzmiały szczególnie dostojnie i wzniośle. Śpiewano ”Hej dziewczyno, hej niebogo...”, „Ułani, ułani malowane dzieci...”, „Wojenko, wojenko, cóżeś ty za Pani...” i inne piosenki wojskowe z czasów I Wojny Światowej.



Ze szczególnym wzruszeniem i atencją wysłuchaliśmy „Pierwszej Brygady”, którą ja osobiście wyssałem z mlekiem Matki. Wychowany w duchu patriotycznym, brałem udział wraz z Rodzicami w każdej państwowej uroczystości przed wojną, a jako pięcioletek pamiętam do dziś wysłuchany w radio przebieg pogrzebu Marszałka Piłsudskiego. „Pierwsza Brygada” do dziś jest, dzięki memu Ojcu piłsudczykowi, najbardziej ukochaną i wzruszającą moją pieśnią wojskową. Z pewnością nie tylko moją, ale również i pozostałych uczestników koncertu. Wysłuchaliśmy Jej na stojąco.

Była też „Warszawianka” – wspaniała, potężny, patetyczny marsz, który towarzyszył mi w każdej uroczystej defiladzie, w której brałem udział w ciągu blisko czterdziestu lat mojej zawodowej służby wojskowej w ludowym Wojsku Polskim.

Słowa: „Oto dziś dzień krwi i chwały, oby dniem wskreszenia był...” kazały unieść wzrok, przeżyć pierś, równać krok. Nie wstydzę się łez wzruszenia zawsze, kiedy jej słucham.

Grano i śpiewano „Serce w plecaku” a także wspomniano o żołnierzach II Korpusu generała Andersa, walczących i ginących na obcej ziemi, w piosence „Czerwone maki na Monte Cassino”.

Brawurowo, zawiadacko, euforycznie zabrzmiały znane piosenki Powstańców Warszawskich: „Marsz Mokotowa”, „Pałacyk Michła”, „Warszawskie Dzieci” w wykonaniu orkiestry. Piosenki znane mi z autopsji, śpiewane po Powstaniu Warszawskim sławiące tych żołnierzy Powstańczej Warszawy, którzy oddali swe młode życie w beznadziejnej walce o wolność. Zginęli śmiercią bohaterów.

Całkiem odrębny wymiar i wymowę miał piękny, wiele mówiący, wzruszający utwór pod tytułem „Cisza” poświęcony tym dwudziestu dwu tysiącom oficerów, policjantów i innych obywateli polskich, którzy z rozkazu Stalina zginęli w Katyniu, Charkowie i Miednoje. Zginęli śmiercią niepotrzebną, bezskuteczną, zginęli na próżno. Ich groby, tam daleko od ojczystego kraju dziś spowite we mgłę, otacza nieprzenikniona c i s z a. Nie wiem, czy będzie to po myśli autora tekstu, w moim przekonaniu owa c i s z a winna trwać nie tylko w przemożni.

„Święta miłości kochanej Ojczyzny, czują Cię tylko umysły pocziwe...” Pieśń śpiewana rokrocznie przez absolwentów wyższych uczelni wojskowych, z okazji promocji na pierwszy stopień oficerski. Śpiewali Ją oczywiście i nasi absolwenci Wyższej Oficerskiej Szkoły Radiotechnicznej do roku 1997, kiedy to Szkołę niestety – rozwiązano.

„Święta miłości kochanej Ojczyzny...

Tyś tarczą twoich Polaków od wieka,  
Z ciebie się pasmem szczęścia nasze wiodły,  
Większaś nad przemoc – a kto ciebie godny  
Pokruszył jarzma albo padł swobodny.”

Te słowa niewątpliwie, tkwią głęboko w duszach w s z y s t k i c h Polaków. A może, aby być ścisłym, Ich ogromnej większości.



14 maja 2010 r. - Kościół Garnizonowy w Jeleniej Górze – Orkiestra Reprezentacyjna Wojska Polskiego

Koncert był zachwycający. Orkiestra w swych historycznych mundurach z okresu Księstwa Warszawskiego grała wspaniale. Soliści śpiewali pięknie, z uczuciem, wzruszająco. Widownia w podniosłym uniesieniu biła brawo stojąc.

A jednak czegoś mi tu z a b r a k ł o.

Już od połowy lat sześćdziesiątych ub. wieku, jako lektor, z okazji rocznic wydarzeń historycznych, stojąc przed symbolem pamięci narodowej, w asyście kompanii honorowej ze sztandarem Szkoły, ”wzywałem do apelu” (cytuje z pamięci): żołnierzy września 1939 roku, żołnierzy Westerplatte, którzy jako pierwsi stanęli do boju z nawałą hitlerowską, żołnierzy Gdyni, Helu, obrońców Poczty Gdańskiej bestialsko zamordowanych przez faszystów.

Wzywałem: **”Stańcie do apelu”**

**„Polegli na polu chwały”** – odpowiadali podchorążowie.

Wzywałem: obrońców Wizny, bohaterów bitwy nad Bzurą, obrońców Warszawy i żołnierzy ostatniej w kampanii wrześniowej, walki pod Kockiem, wzywałem bohaterów marynarzy polskich walczących na Atlantyku i lotników walczących w bitwie o Anglię. Wzywałem Strzelców Podhalańskich walczących w bitwie o Narwik.

**„Polegli na polu chwały”...**

Wzywałem żołnierzy II Korpusu generała Andersa walczących o Tobruk w Afryce i tych na kontynencie europejskim bijących się o Monte Cassino, Bolonię i Anconę, żołnierzy generała Maczka przelewających krew w bojach pod Falaise, w Belgii i Holandii, wzywałem żołnierzy generała Sosabowskiego, którzy ginęli w desancie nad Arnhem, wzywałem wszystkich żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie toczących walki, z dała od Kraju, za jego wolność i niepodległość.”

**„Stańcie do apelu!”**

**„Polegli na polu chwały.”**

Wzywałem walczących w Kraju, żołnierzy oddziałów partyzanckich Armii Ludowej, Armii Krajowej i Batalionów Chłopskich, wzywałem żołnierzy i harcerzy, bojowników Powstania Warszawskiego z ugrupowania „Baszta”, „Zośka” i „Parasol”. Wzywałem żołnierzy I i II Armii Wojska Polskiego, którzy w zaciętych bojach prowadzonych przeciw hitlerowskiemu najeźdźcom na szlaku bojowym w Kraju, walczyli w rejonie środkowej Wisły, o Warszawę, i dalej na północ o Wał Pomorski, Kołobrzeg, Kamień Pomorski i Zatokę Gdańską i wreszcie na zachód, ginących w walkach o Dąbie. I tych, którzy w operacji brandenburskiej oddawali życie uczestnicząc w zdobyciu Berlina i wyjściu nad Łabę. Wreszcie i tych, którzy umierali na południu w walkach o Budziszyn, Drezno i Mielnik w kierunku na Pragę.

**„Stańcie do apelu!”**

**„Polegli na polu chwały”, „Chwała bohaterom.”**

Na komendę: „Ognia”, kompania wykonywała salwę honorową. Tak było.

Słowami tekstu Apelu Poległych oddawaliśmy cześć

**w s z y s t k i m**

bojownikom walk o wolność i niepodległość naszej Ojczyzny. Bez względu na to, skąd szli. Oddawaliśmy tę cześć w przekonaniu, że wszystkim im jednakowo ta cześć się należy, że to my którzyśmy dzięki Nim przeżyli, mamy ten niezbywalny, święty obowiązek tę cześć Im oddać. Tak było.

**Bowiem, żołnierska krew przelana w walce za Ojczyznę**

**j e d n a k ą m a c e n ę.**

W repertuarze koncertu Orkiestry R e p r e z e n t a c y j n e j Centralnego Zespołu Artystycznego Wojska Polskiego nie padło ani jedno słowo, nie zabrzmiała ani jedna nutka piosenki tych, co to „spoza gór i rzek, wychodzili na brzeg” i pytali: „czy stąd nie daleko już, do grających wierzb, malowanych zbóż?” Tak było.

Trudno winić zespół orkiestry za ten ewidentny faux pas, delikatnie mówiąc. To są żołnierze. Grali, jak im kazano.

Przez skórę czuję jednak, że maczali tu palce nasi W.Sz. politycy. Wszak to niektórzy z nich właśnie, wygłaszają bzdurne teorie o „słusznych” i „niesłusznych” drogach do Wolności, „słusznych” i „niesłusznych Jej bojownikach. To oni próbują, dzieląc Polaków, zatrzeć w pamięci Narodu, czterdzieści pięć lat istnienia powojennej Polski.

Robią błąd. W żaden sposób nie da się tego dokonać. Naród pamięta.

I to, co było złe, bo było, ale i to, co złe nie było. Było też sporo dobrego.

Kiedyś, bardzo dawno temu czytałem fraszkę. Chyba w „Szpilkach”. Autora niestety nie pomnę.

Słuchajcie: jedynie „słuszni, prawdziwi” Polacy! Rzecz może być o Was!

Patrz Kościuszko na nas z nieba!  
Tak Polak skandował.  
I spojrzął nań Naczelnik,  
No i wymiotował.

Ot, co! No właśnie.

P.S.

Sądzę, że warto wziąć pod uwagę jeszcze jeden aspekt wyżej przedstawionej sprawy.

Dziewiątego maja 2010 r. w uroczystej moskiewskiej defiladzie wojskowej, z okazji sześćdziesiątej piątej rocznicy zwycięstwa nad hitlerowskimi Niemcami, wzięła udział kompania honorowa Wojska Polskiego.

Nasi kochani chłopcy, nasza duma, prezentowali się w Moskwie – wspaniale.

Ale nie byłoby ich na Placu Czerwonym, gdyby nie ci „spoza gór i rzek”, którzy walcząc w 1945 r. krwawo zdobywali Berlin i ścigali wroga aż do Łaby!

## Wojska specjalne w Wojsku Polskim – rola w systemie bezpieczeństwa państwa - zarys zagadnienia

### Wstęp

Artykuł ten ma na celu - z racji ograniczeń objętościowych niestety jedynie skrótowne i mające charakter przyczynkarski – opisanie roli wojsk specjalnych Wojska Polskiego w systemie bezpieczeństwa Polski. Szczególny nacisk został położony na opisanie roli wojsk specjalnych na polu walki i w systemie bezpieczeństwa państwa w ogóle, a w perspektywie Polski – na okres ostatnich dwóch dekad. Jest to okres chyba najpoważniejszych przemian w ich historii, obejmujący przekształcenia od niewielkich pododdziałów przeznaczonych do działań na atomowym polu walki w warunkach paneuropejskiego konfliktu, do dużej, samodzielnej i zróżnicowanej struktury realizującej szeroki wachlarz zadań w czasie pokoju, kryzysu, wojny, zarówno na obszarze własnego kraju, jak i regionu oraz na innych kontynentach. Owa ewolucja jest oczywiście konsekwencją fundamentalnych zmian polskiej polityki zagranicznej i obronnej, której to polityki wojska specjalne stają się coraz to istotniejszym narzędziem.

Z uwagi na znaczny stopień utajnienia wielu spraw związanych z tym rodzajem wojsk, podstawowym problemem dla badacza jest dotarcie do wiarygodnych źródeł. Mimo ukazania się w ostatnich latach kilku pozycji książkowych na ten temat, ich przydatność jest zróżnicowana – są to zarówno poważniejsze opracowania, jak i pozycje o charakterze popularnym, publicystycznym i wspomnieniowym. Nie negując wartości literackiej tych pozycji, starając się zachować obiektywizm i chcąc opisać faktyczne procesy, należy podchodzić do niektórych zawartych w nich treści w sposób ostrożny i krytyczny. Nieco szerszą bazą są artykuły prasowe, które jednak również wymagają adekwatnego podejścia do ich treści. Wreszcie źródła internetowe, choć najłatwiej dostępne, potrafią być najbardziej mylące i najmniej wartościowe merytorycznie. Artykuł ten oparty jest na powszechnie dostępnych, jawnych publikacjach.

W tekście – zgodnie z tytułem uwzględnione zostały jedynie jednostki specjalne należące do struktur wojskowych, zarówno wykonujące „typowe” dla swoich czasów zadania dywersyjne, rozpoznawcze i inne typowe dla sił wojskowych, (co zmieniło się wraz z upływem czasu i zostało uwzględnione). Pominięto jednak pododdziały specjalne Żandarmerii Wojskowej oraz Nadwiślańskich Jednostek Wojskowych – z uwagi na odmienne zadania i częściowo przeznaczenie oraz ograniczenia objętościowe tekstu. Podobnie pominięto Jednostkę Wojskową 2305 (GROM) w okresie podporządkowania jej MSW.

Z uwagi na brak (znanych autorowi) źródeł, nie zostały opisane pododdziały, które według bardzo fragmentarycznych informacji mogły w omawianym okresie funkcjonować w Wojskach Ochrony Pogranicza lub Wojskowej Służbie Wewnętrznej. Objętościowe ograniczenia nakazały także pominięcie interesującej tematyki pododdziałów i oddziałów rozpoznawczych, które dysponowały

i dysponują pododdziałami dalekiego rozpoznania oraz mylnie w mediach określanych jako „komandosów”, wojsk desantowo – szturmowych i aeromobilnych. Pominięto także temat Biura Ochrony Rządu, będącego w latach 1990 – 2001 jednostką wojskową, z uwagi na jego zupełnie odmienną specyfikę i zadania.

### **Wojska Specjalne – definicja i charakterystyka**

Zgodnie z definicją prezentowaną obecnie przez Ministerstwo Obrony Narodowej RP wojska (siły) specjalne:

„stanowią samodzielne oddziały i pododdziały, złożone z wyselekcjonowanych, specjalnie wyszkolonych i wyposażonych żołnierzy, przygotowanych do działań w niewielkich grupach o różnym składzie, w środowisku podwyższonego ryzyka. Wojska specjalne wykonują zadania o znaczeniu strategicznym i operacyjnym w okresie pokoju, kryzysu i wojny<sup>79</sup>”.

Z kolei według definicji używanej przez Dowództwo Operacji Specjalnych USA (US SOCOM), operacje specjalne są to:

*„operacje prowadzone przez specjalnie zorganizowane, wyszkolone i wyposażone siły wojskowe lub paramilitarne, w celu osiągnięcia celów militarnych, politycznych, gospodarczych, lub psychologicznych, przy użyciu niekonwencjonalnych środków militarnych we wrogich, nieprzyjaznych lub delikatnych politycznie regionach. Operacje te prowadzone są w okresie pokoju, konfliktu i wojny, samodzielnie lub we współpracy z siłami konwencjonalnymi”<sup>80</sup>.*

Zgodnie z publikacjami doktrynalnymi USA<sup>81</sup> operacje te mogą obejmować następujące rodzaje działań:

- akcje bezpośrednie (zasadki, rajdy, końcowe naprowadzanie amunicji precyzyjnej) mające na celu zniszczenie lub przejęcie określonego celu (obiektu);
- rozpoznanie specjalne (terenu, środowiska działania, sił przeciwnika, skutków ataku);
- tzw. zagraniczną obronę wewnętrzną (wspieranie sił państwa gospodarza w działaniach przeciw partyzanckich i przeciw wywrotowych);
- walkę niekonwencjonalną (wspieranie ruchu oporu, ugrupowań partyzanckich);
- zwalczanie terroryzmu (w tym ratowanie zakładników, operacje wywiadowcze, zwalczanie infrastruktury);

<sup>79</sup> [http://www.wp.mil.pl/pl/strona/12/LG\\_14\\_20\\_25](http://www.wp.mil.pl/pl/strona/12/LG_14_20_25) 19.03.2009

<sup>80</sup> H. Królikowski *Próba definicji* *Militarny Magazyn Specjalny „Komandos”* 10/02,

<sup>81</sup> *Joint Publication 3-05 Doctrine for Joint Special Operations*. Joint chiefs of staff - 17 December 2003, *Joint Publication 3-05.3 Joint Special Operations Operational Procedures* Joint chiefs of staff – 23 August 1993

- zapobieganie proliferacji broni masowego rażenia;
- operacje wspierania ludności cywilnej;
- operacje psychologiczne;
- operacje informacyjne;

Należy zwrócić uwagę na fakt, że w ciągu ostatnich lat, trzy z tych funkcji stały się operacjami wykonywanymi rutynowo przez wojska regularne, a działania psychologiczne poza USA nie są włączane w obręb „operacji specjalnych”<sup>82</sup>. W polskim piśmiennictwie z reguły identyfikowano je jako działania dywersyjne i rozpoznawcze, nie została jednak przyjęta jedna definicja doktrynalna<sup>83</sup>.

O siłach specjalnych z całą pewnością można powiedzieć, że:

- wykonują one działania odmienne od wojsk konwencjonalnych (pancernych, zmechanizowanych, lotniczych, obrony przeciwlotniczej, raketowych i artylerii, oraz inżynierskich);
- są to jednostki mniej liczne i dysponujące mniejszym potencjałem w zakresie siły ognia i mobilności, ale mające możliwość znacznie bardziej precyzyjnego użycia środków;
- są one w stanie prowadzić działania w sposób maksymalnie skryty i zaskakujący dla przeciwnika – do tego stopnia, że przeciwnik może w ogóle nie zdawać sobie sprawy z faktu prowadzenia operacji specjalnej.
- ich taktyka, techniki działania i procedury dostosowane są do działania w małych pododdziałach (grupach) o podwyższonym znaczeniu czynnika ludzkiego.
- ich potrzeby logistyczne są mniejsze niż analogicznych struktur konwencjonalnych skokowo jednak wzrasta zapotrzebowanie na informacje i ich ochronę.

Zadania, w jakich przede wszystkim wykorzystywane są wojska specjalne to:

- Rozpoznanie specjalne – prowadzone w sposób skryty, pozwalające poprzez obecność grup (grupy) specjalnej uzyskać lub weryfikować informacje z pierwszej ręki na temat warunków meteorologicznych, geograficznych, społecznych, politycznych, militarnych w danym regionie, ocenić siły przeciwnika, ich wyposażenie, uzbrojenie, morale i wyszkolenie. Możliwe jest również pozyskiwanie i wykorzystywanie przez siły specjalne osobowych źródeł informacji. Jest to – pomijając typowe rozpoznanie agenturalne – wiedza niedostępna dla innych środków rozpoznania, względnie mogąca być przez nie uzupełniona.

<sup>82</sup> Por. polskie grupy działań psychologicznych lub pododdziały działań psychologicznych w Bundeswehrze. Operacje psychologiczne (propagandowe, agitacyjne) nigdy nie były specyfiką wyłącznie sił specjalnych.

<sup>83</sup> Por. G.W *Działania specjalne, – czym są?* MMS „Komandos” 1/96, K.Piątkowski *Zapomniany problem MMS:Komandos* 4/98.

- Akcje bezpośrednie – prowadzone w celu czasowego wyeliminowania, zniszczenia, przejęcia lub odzyskania obiektów, urządzeń, nośników informacji, jak również kluczowego personelu wojskowego, w formie najść, napadów ogniowych, zasadzek, sabotażu i dywersji. Wojska specjalne są w stanie wykonać tego typu działania samodzielnie lub we współpracy z innymi siłami, mając możliwość precyzyjnego i elastycznego doboru środków rażenia. W razie potrzeby są też w stanie zapewnić skrytość prowadzonych działań.
- Zwalczenie terroryzmu – wojska specjalne o ile odpowiednio wyszkolone i wyposażone, podobnie jak wykonujące te zadania jednostki specjalne służb policyjnych są jedyną formacją zdolną do prowadzenia skutecznej operacji ratowania zakładników (jak również jeńców wojennych). Żaden inny rodzaj wojsk ani sił nie jest w stanie przeprowadzić tego typu działań nie stwarzając nadmiernego zagrożenia dla życia zakładników, (czyli zamieniającego wynik operacji w następstwo gry loteryjnej). Działania mogą być również nakierowane na odsunięcie zagrożenia ze strony sprawców przed lub po dokonaniu przez nich zamachu terrorystycznego oraz na rozpoznanie ich zamiarów, sił, środków będących w ich dyspozycji, oraz miejsc przebywania. Są to, więc działania należące zarówno do rozpoznania specjalnego, jak również akcji bezpośrednich, jednak prowadzone przeciwko specyficznemu przeciwnikowi.
- Zadania ewakuacyjne i ochronne – w odróżnieniu od operacji ratowania zakładników. Ich celem jest ewakuacja osób nie pozbawionych wolności, ale zagrożonych przez siły nieprzyjacie, np. zestrzelonych pilotów, dyplomatów i innych osób ze strefy konfliktu zbrojnego. Wojska specjalne mogą w tych warunkach zapewnić różne sposoby ich ewakuacji, samodzielnie lub wraz z wojskami konwencjonalnymi. Wojska specjalne mogą także – z reguły w ograniczonej skali i czasie - zapewnić ochronę osób szczególnie narażonych na zamachy (np. wyższych dowódców, polityków) w strefach konfliktu zbrojnego.

### **Krótką historia polskich działań specjalnych**

W okresie przed wybuchem II wojny światowej Wojsko Polskie rozpoczęło przygotowywanie zakonspirowanych sił dywersyjnych, mających w razie wojny atakować ważne obiekty – zwłaszcza komunikację na zapleczu przeciwnika. Inspirowano się doświadczeniami z okresu walk o granice, jak również tymi z I wojny światowej. Siły tzw. dywersji pozafrontowej zostały jednak użyte także ofensywnie, przeciwko Czechosłowacji (Zaolzie i Ruś Zakarpacka). We wrześniu 1939 r., formacje te niestety nie odegrały liczącej się roli ani na szczeblu strategicznym ani operacyjnym.<sup>84</sup> W okresie wojny, formacje specjalne funkcjonowały zarówno w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie, jak również w ludowym Wojsku Polskim<sup>85</sup>.

<sup>84</sup> A. Czerwiński *Dywersja pozafrontowa* MMS „Komandos” 3/96, 4/96

<sup>85</sup> Autor z uwagi na ograniczenia objętościowe i doskonale opisanie tematu, świadomie pomija organizacje podziemne działające na obszarach okupowanych.



Na Zachodzie powstały trzy odmienne struktury: pierwszą z nich byli „cichociemni” – a więc nie tyle zwarta jednostka, co stale szkoleni i zrzucający do Polski specjaliści – w tym z zakresu dywersji i sabotażu. Drugą była 1 Samodzielna Kompania Commando, wchodząca w skład 10 Commando. Formacja ta, wyszkolona podobnie jak inne (brytyjskie i alianckie) siły „Commando” była wykorzystywana na froncie włoskim jako doborowa formacja lekkiej piechoty (taką samą rolę odgrywały na tym i innych frontach inne formacje Commando). Finalnie trzecim pododdziałem była 1 Samodzielna Kompania Grenadierów, formowana z zamiarem użycia do działań dywersyjnych w Europie Zachodniej, ostatecznie jednak, jako zwarta formacja nie została użyta bojowo<sup>86</sup>.

Na Wschodzie utworzono w 1943 roku 1 Polski Samodzielny Batalion Specjalny, na bazie, którego formowano grupy dywersyjno – rozpoznawcze desantowane za linię frontu, w tym dla wsparcia Gwardii/Armii Ludowej oraz do działań rozpoznawczych na terenach III Rzeszy.

Po 1945 roku, przez kilka lat w Polsce, podobnie jak w ZSRR, nie istniały żadne formacje specjalne. Wojsko Polskie jako część sił zbrojnych tzw. bloku wschodniego było w zakresie zadań, doktryny, struktur, uzbrojenia i wyszkolenia odwzorowaniem strategicznych koncepcji i interesów ZSRR. Stawało się w miarę narastania antagonizmów na linii wschód – zachód, ciężką pancerni – zmechanizowaną formacją obliczoną na udział w wielkiej, ofensywnej operacji na kierunku zachodnim. Wraz ze zmianą zapatrywań na rolę sił specjalnych, jaka w ZSRR następowała od początku lat pięćdziesiątych<sup>87</sup>, także w WP zaczęto formować pododdziały specjalne.

W roku 1951 utworzono dwa samodzielne plutony rozpoznawcze – 5. w Sztumie i 6. w Opolu. Były to jednostki przeznaczone do prowadzenia dalekiego rozpoznania na korzyść okręgów wojskowych – Pomorskiego i Śląskiego (a więc pierwszorzutowych armii na czas „W”). W roku 1953 rozwinięto je do etatów kompanijnych zmieniając ich numery na odpowiednio 9. i 10. oraz jednocześnie dyslokując je do Inowrocławia i Oleśnicy. Rok później sformowano z nich 19. Samodzielny Batalion Rozpoznawczy (Oleśnica, potem Wrocław). Wraz z utworzeniem 6. Pomorskiej Dywizji Powietrzno-Desantowej, batalion ten włączono w jej struktury i przeniesiono do Bielska-Białej, zachowując jego specjalny charakter<sup>88</sup>. Prawdopodobnie w wyniku ujawnienia faktu istnienia utajnionej jednostki, przeformowano ją w roku 1961 w batalion powietrzno-desantowy, z czasem zmieniając jego numer na 18

Aby podtrzymać zdolność WP do prowadzenia dalekiego rozpoznania i dywersji, w roku 1964 wydzielono z 6 PDPD 26. batalion szturmowy, przeniesiono do Dziwnowa i przemianowano na 1. Samodzielny Batalion Szturmowy. Była to jednostka podporządkowana Sztabowi Generalnemu WP, a w czasie „W” dowództwu Frontu Polskiego. Batalion tworzyły cztery kompanie specjalne, kompania pletwonurków, kompania łączności oraz pododdziały zabezpieczenia. W roku 1967 dodatkowo – na bazie batalionu – utworzono jeszcze trzy samodzielne kompanie specjalne dla potrzeb okręgów wojskowych. Były to 48. ks. w Krakowie,

<sup>86</sup> J.Rybak *Commando.pl* Warszawa 2007 str. 19-37

<sup>87</sup> Od 1950 roku w ZSRR zaczęto formować kompanie

<sup>88</sup> A. Czerwiński *Zaczęło się w Opolu (1) MMS „Komandos” 1/96 Z. Gwóźdź Zaczęło się w Opolu (2) MMS „Komandos” 2/96*

56. ks. w Bydgoszczy (później Szczecinie) i 62. ks. w Bolesławcu<sup>89</sup>. Kilka lat później małe kompanie sformowano w ramach dywizyjnych batalionów rozpoznawczych<sup>90</sup>. Dodatkowo, w Marynarce Wojennej utworzono w 1974 roku Zespół Badawczy ds. Płetwonurków Morskich. Rok później na jego bazie powstała samodzielna jednostka, od 1987 roku nazywana Wydziałem Działań Specjalnych<sup>91</sup>.

Wszystkie te jednostki – podobnie jak całe Wojsko Polskie - były przygotowywane do udziału w jednej wojnie, czyli III wojnie światowej. W realiach konfliktu zdominowanego przez szybkie działania głęboko urzutowanych zgrupowań wojsk pancernych i zmechanizowanych, przez desanty powietrzne i morskie szczebla operacyjnego, oraz raketowe i lotnicze uderzenia jądrowe, ich zadaniem było przede wszystkim prowadzenie rozpoznania na korzyść nacierających wojsk odpowiedniego szczebla. A przede wszystkim zaś wykrywanie celów takich, jak stanowiska dowodzenia, węzły łączności, nosiciele broni masowego rażenia, składy materiałów pędnych i smarów (MPS), przeprawy i węzły komunikacyjne, zgrupowania wojsk nieprzyjaciela. Dywersja miała prawdopodobnie mniejsze znaczenie, z uwagi na małą ilość materiałów wybuchowych, jakie mogła mieć w dyspozycji grupa specjalna<sup>92</sup>, dłuższy czas, jaki jest potrzebny do dokonania dywersji (rozpoznanie obiektu, opracowanie planu, wykonanie go) oraz możliwość ujawnienia faktu działania grupy specjalnej (zwłaszcza w razie najść, zasadzek i tym podobnych działań). Specyficzne zadania „Formozy” jak nieoficjalnie nazywano jednostkę specjalną MW obejmowały ataki na jednostki pływające, obiekty hydrotechniczne, rozpoznanie odcinków wybrzeża pod kątem wyładunku sił desantu morskiego, (czyli: 7 Łużyckiej Dywizji Desantowej).

Metody działania były, więc zbliżone do radzieckiego Specnazu GRU (wojskowych sił specjalnych wywiadu wojskowego), zakładające przerzut grupy poza front (drogą desantu spadochronowego, śmigłowcowego, przeniknięcia drogą morską, ewentualnie przez linię frontu na pojazdach (grupy ze składu kompanii dywizyjnych). Podobna była także struktura kadrowa, oparta na żołnierzach zasadniczej służby wojskowej i zawodowej kadrze oficerskiej (częściowo podoficerskiej). Grupy specjalne miały operować na głębokości powyżej 50 - 100 km w ugrupowaniu przeciwnika, przy czym górna granica tej odległości nie jest jednoznacznie określona w źródłach. Można przyjąć, że było to powyżej 400 kilometrów, być może nawet 700, a więc tereny ówczesnej RFN, państw Beneluxu, być może Francji i zapewne Skandynawii<sup>93</sup>.

## **Stan wojsk specjalnych po transformacji ustrojowej**

---

<sup>89</sup> W razie wojny jednostki te miały by być prawdopodobnie rozwinięte do struktur batalionowych, por J.Rybak *Commando.pl* Warszawa 2007 str. 179

<sup>90</sup> CH *Ukrzyci we własnych szeregach* MMS „Komandos” 1/96

<sup>91</sup> <http://www.wojskaspecialne.mil.pl/21-mjds.html?ln=pl> 20.03.2009

<sup>92</sup> Wiadomym jest, że na potrzeby wojsk specjalnych USA i ZSRR opracowały małowagarytowe przenośne ładunki jądrowe, przewidziane do niszczenia tuneli, mostów, wiaduktów itp. obiektów. Nie wiadomo nic, aby takowe środki miałyby być na czas wojny wydane polskim grupom specjalnym.

<sup>93</sup> J.Rybak *op.cit* str. 104. Kierunek skandynawski wynika z założonych na czas W zadań 7 Łużyckiej Dywizji Desantowej – uderzenia na kierunku Danii i Norwegii.

Jednostki opisane powyżej zaczęły na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych przechodzić zauważalne zmiany. Wygaszanie „zimnej wojny” i zmiana doktryny obronnej oznaczała także zmianę zadań dla wojsk specjalnych.

Doświadczenia wykazywały niezbicie konieczność uzawodowienia sił specjalnych. Okres służby zasadniczej, mimo że relatywnie długi (2 lata w wojskach lądowych, 3 w marynarce wojennej) i pozwalający na doskonałe przygotowanie kondycyjne, był jednak za krótki na wszechstronne wyszkolenie żołnierza do działań specjalnych.

Nowe założenia opierały się na działaniach typowo obronnych, prowadzonych na terytorium kraju, w tym także w sytuacji całkowitej lub częściowej okupacji, na obszarze aglomeracji miejskich. W roku 1990 we wszystkich jednostkach specjalnych wojsk lądowych utworzono zespoły Kadrowych Grup Specjalnych, złożone wyłącznie z żołnierzy zawodowych, i według opublikowanych informacji – na szerszą niż wcześniej skalę współpracujące z innymi strukturami, w tym wojskowym Agenturalnym Wywiadem Osobowym, strukturami pozamilitarnymi oraz specjalistami spoza wojska<sup>94</sup>. Wypracowywano także nowe, niestandardowe i nowatorskie rozwiązania w zakresie szkolenia, taktyki, wyszkolenia specjalistycznego<sup>95</sup>.

Jednostki te były także – według jednego z opracowań – wykorzystywane do zadań związanych ze sprawdzaniem szczelności zabezpieczeń instalacji i obiektów wojskowych, kontynuując także standardową wręcz procedurę wykorzystywania grup specjalnych w roli „przeciwnika” podczas dużych ćwiczeń poligonowych<sup>96</sup>.

W roku 1993 planowano rozwinięcie kompanii bolesławieckiej i szczecińskiej do etatów batalionowych, jednak zamiast tego nagle zdecydowano o koncentracji całości wojsk specjalnych w Lublińcu, w postaci 1 Pułku Specjalnego, podlegającego Sztabowi Generalnemu WP<sup>97</sup>. Jednostka ta, funkcjonująca w strukturze batalionowej, w dalszym ciągu składała się głównie z żołnierzy służby zasadniczej, uzupełnionych przez żołnierzy nadterminowych i zawodowych. Faktem jest jednak, że część żołnierzy zawodowych z kompanii specjalnych nie zdecydowała się na służbę w Lublińcu, przechodząc do innych jednostek wojskowych, struktur nie podlegających MON, lub do cywila. Mimo tego, pułk podjął intensywne szkolenie, w tym z wojskami specjalnymi USA (10 Grupa Sił Specjalnych) i Wielkiej Brytanii (21 pułk SAS), Niemiec (200 Kompania Dalekiego Rozpoznania)<sup>98</sup>.

Drugą jednostką specjalną WP w owym okresie była jednostka Marynarki Wojennej, od 1990 roku nazywana Grupami Specjalnymi Płetwonurków, podlegająca Grupie Okrętów Rozpoznawczych<sup>99</sup>. Prawdopodobnie w owym okresie była już jednostką całkowicie zawodową.

---

<sup>94</sup> A. Kups <<Oczy i uszy>> armii MMS Komandos 3/99, P. Bernabiuk *mjr Kups o 56 kompanii specjalnej* Warszawa 2007 str. 271 – 294, 316 - 317

<sup>95</sup> CH <<Szczeciński Specnaz>> MMS Komandos 1/94

<sup>96</sup> P. Bernabiuk *op.cit* str. 295 - 315

<sup>97</sup> *Ibidem* str. 318. W Lublińcu od 1985 roku stacjonował już 1 Samodzielny Batalion Szturmowy.

<sup>98</sup> [http://www.wojskaspecjalne.mil.pl/20-1\\_psk.html?ln=pl](http://www.wojskaspecjalne.mil.pl/20-1_psk.html?ln=pl) 25.03.2009

<sup>99</sup> J. Rybak *Komandosi. Jednostki Specjalne Wojska Polskiego* str. 72

Zadania wojsk specjalnych w omawianym okresie trudno dokładnie określić, z uwagi na brak jawnych źródeł. Można natomiast domyślać się, że w ówczesnych realiach geopolitycznych i militarnych, ich podstawowe zadania w razie kryzysu lub wojny obejmowałyby działania rozpoznawcze, dywersyjne, być może także organizowanie działań nieregularnych po zajęciu części terytorium przez nieprzyjaciela. Nie wiadomo natomiast, czy te jednostki miały wykonywać jakies zadania w czasie pokoju, na przykład wspomagając Policję w zwalczaniu terroryzmu. Należy także zwrócić uwagę na stosunkowo słabe zaplecze materiałowe, gorsze niż w innych krajach Europy wyposażenie i uzbrojenie (de facto tylko nieznacznie zmodyfikowane wzory ogólnowojskowe oraz nieliczne egzemplarze nowoczesnego sprzętu<sup>100</sup>). Brak adekwatnego wsparcia lotniczego – takiego, jakie istnieje w innych państwach, zwłaszcza w USA i Wielkiej Brytanii – lotnictwa sił specjalnych. Lotnictwa zdolnego działać w specyficznych warunkach (loty na ekstremalnie małych wysokościach, w nocy i trudnych warunkach atmosferycznych, z wykorzystaniem urządzeń noktowizyjnych). Dodatkowo żadna z istniejących jednostek lotniczych nie była przewidziana wyłącznie do wsparcia wojsk specjalnych.

Za poważną zmianę należy uznać włączenie do sił specjalnych w roku 1999 Jednostki Wojskowej GROM (Grupa Reagowania Operacyjno – Mobilnego, JW 2305). Wobec zmian w systemie obronnym państwa, zakładających przekazanie pełnego zwierzchnictwa nad formacjami wojskowymi ministerstwu obrony<sup>101</sup>, formacja ta, tworzona od roku 1990 przy dużym wsparciu amerykańskim i brytyjskim a wyspecjalizowana w działaniach przeciw-terrorystycznych (ratowaniu zakładników), została bezpośrednio podporządkowana Ministrowi Obrony Narodowej. Należy zauważyć, że oddział ten posiadał istotne doświadczenia bojowe z działań prowadzonych wewnątrz kraju oraz na misjach zagranicznych (Haiti, Wschodnia Sławonia). Wraz ze zmianą podporządkowania, poszerzył się jej zakres zadań o inne, typowo wojskowe działania<sup>102</sup>. Zmianie podporządkowania towarzyszyły niejasne okoliczności, pomówienia i burza medialna będące rezultatem dymisji dowództwa jednostki dokonanej tuż przed jej wprowadzeniem.<sup>103</sup> W nowych strukturach jednostka zdołała ostatecznie utrzymać swoją specyfikę i poziom wyszkolenia, jednak jej miejsce w strukturze wojska nie zostało do końca jednoznacznie określone.

Okres ten, wraz z wejściem do NATO był także czasem zwiększonego zaangażowania w misje zagraniczne. Dotąd nie wykorzystywano na nich zwartych jednostek, wystawiając doraźnie formowane kontyngenty, w których znajdowali się także żołnierze wojsk specjalnych (nie tworzyli oni żadnych oddzielnych struktur). Od rozpoczęcia misji IFOR pod egidą NATO w Bośni (1996 rok) zaczęto używać jednak zwartych pododdziałów i oddziałów, uzupełnianych przez żołnierzy z zewnątrz. Dotyczyło to także wojsk specjalnych, które kierowano na Bałkany w związku z niepokojami w Macedonii – w roku 2001 żołnierze GROM zostali wysłani do Kosowa, gdzie prawdopodobnie prowadzili działania wymierzone

<sup>100</sup> Por np. I.Chloupek, *Z czym do NATO? MMS Komandos 5/2000 i 6/2000*

<sup>101</sup> Poza MON znajdowały się: Nadwiślańskie Jednostki Wojskowe MSW, Biuro Ochrony Rządu i JW2305. NJW rozwiązano, BOR stał się samodzielną formacją o charakterze ochronnym działającą na podstawie odrębnej ustawy.

<sup>102</sup> K. Jałoszyński *Współczesny wymiar antyterrorystyczny* Warszawa 2008 str.145 – 149.

<sup>103</sup> Por. H.Królikowski *Wojskowa Formacja Specjalna GROM* Warszawa 2000 str. 73-79

w nielegalne ugrupowania zbrojne i grupy przestępcze wspierające rewoltę albańską w Macedonii<sup>104</sup>. W latach 2001 – 2003 żołnierze 1 Pułku brali udział w działaniach w samej Macedonii w ramach natowskiej misji „Amber Fox”, później znanej jako „Allied Harmony”. Podczas tej operacji, 4.03.2003 r. dwaj żołnierze pułku zginęli a dwaj zostali ranni w wyniku zamachu bombowego. Sam pułk od roku 2002 stawał się jednostką w coraz większym stopniu zawodową, a żołnierze dobierani byli w drodze specjalnego procesu selekcyjnego, podobnie jak w większości jednostek specjalnych innych armii.

Po rozpoczęciu przez USA po zamachach 11.09.2001 r. tzw. „wojny z terroryzmem”, czynnie popartej przez Polskę, wojska specjalne zaczęły być znacznie bardziej intensywnie używane. Początkowo dotyczyło to GROM-u, którego żołnierze w niewielkiej liczbie zostali wysłani do Afganistanu jako część Polskiego Kontyngentu Wojskowego w roku 2002, wykonując zarówno zadania ochronne jak i prawdopodobnie biorąc udział w bardziej ofensywnych działaniach. Należy jednak zwrócić uwagę, że tego rodzaju siły mogłyby być prawdopodobnie efektywniej użyte w większym autonomicznym zgrupowaniu. Od roku 2004 zastąpili ich żołnierze z Lublińca, a następnie zwiadowcy 2 Pułku Rozpoznawczego<sup>105</sup>.

Dużo większy rozmach miały działania prowadzone w Iraku. Już od 2002 roku, w Zatoce Perskiej obecni byli komandosi „Formozy”, oraz morskiej grupy GROM-u. Z dostępnych informacji wynika, że ci drudzy zajmowali się kontrolą żeglugi w ramach wymuszania embarga nałożonego na reżim Saddama Husseina, dokonując we współpracy z morskimi siłami specjalnymi USA licznych operacji abordażowych na podejrzanych jednostkach.

Podczas operacji „Iracka Wolność” również użyto GROM-u, w sile kilkudziesięciosobowego pododdziału do dwóch ważnych zadań o charakterze strategicznym. Pierwszym było opanowanie w dniu rozpoczęcia działań zbrojnych (20.03.2003), przy wsparciu sił amerykańskich morskiego terminalu przeładunkowego ropy KAAOT i niedopuszczenie do ataku przeciwnika. Zniszczenie terminalu oznaczałoby katastrofę ekologiczną i konieczność zmiany planów działania sił alianckich na wybrzeżu irackim<sup>106</sup>. Drugim było przeprowadzone w połowie kwietnia opanowanie tamy Mukarain na północ od Bagdadu<sup>107</sup>. W działaniach tych, Polacy byli w dużym stopniu wspierani przez Amerykanów – zwłaszcza w zakresie transportu lotniczego jak i morskiego.

Po objęciu przez Polskę we wrześniu 2003 roku strefy stabilizacyjnej w Iraku, w ramach polskiego kontyngentu trafiła tam początkowo kompania ze składu 1 Pułku. W miarę kurczenia się sił Międzynarodowej Dywizji Centrum Południe w kolejnych zmianach redukowano liczebność także komponentu specjalnego. Pododdziały te wykonywały zadania ochronne oraz wspierały działania przeciwpartyzanckie. Udzielano także pomocy szkoleniowej rządowym siłom irackim<sup>108</sup>. Przez pewien czas niezależnie od sił w polskiej strefie, wydzielony kontyngent JW 2305 prowadził działania przeciwpartyzanckie i przeciw

<sup>104</sup> J.Rybak *Komandosi. Jednostki Specjalne Wojska Polskiego* str.101 - 104

<sup>105</sup> J.Rybak *Grom.pl* Warszawa 2005 str. 87-114.

<sup>106</sup> *Ibidem* str.163 – 179.

<sup>107</sup> *Ibidem* str.197-189

<sup>108</sup> *Ibidem* str.219 - 235

terrorystyczne w Iraku wraz z siłami amerykańskimi<sup>109</sup>. Doświadczenia irackie pozytywnie wpłynęły na stopień wyszkolenia i wyposażenie jednostek Wojska Polskiego, w tym zwłaszcza jednostek specjalnych. Bardzo duży postęp nastąpił zwłaszcza w zakresie wyposażenia i oporządzenia indywidualnego. Nieocenioną wartością jest nabyte doświadczenie bojowe. Podobne efekty powinno przynieść zaangażowanie na dużą skalę w Afganistanie (od roku 2007).

Bardzo istotnym czynnikiem umacniającym rolę i pozycję wojsk specjalnych jest utworzenie z dniem 1.01.2007 Dowództwa Wojsk Specjalnych, które jest odpowiedzialne za wyszkolenie, wyposażenie oraz dowodzenie siłami specjalnymi. W jego podporządkowaniu znalazły się JW2305, 1 PSK oraz "Formoza" znana odtąd jako Morska Jednostka Działań Specjalnych.

W dalszym ciągu jednak istniejący system był i częściowo nadal jest niespójny. Z jednej strony istnieje jednostka GROM o tradycyjnie dużym zakresie autonomii, dużych zasobach sprzętowych, korzystająca z nowoczesnego uzbrojenia o standardzie identycznym jak jednostki zachodnie. Uzbrojenie JW2305 – w tym karabinki rodziny M4, lekka broń maszynowa rodziny FN Minimi, broń wyborowa w tym wielkokalibrowa i dalekiego zasięgu, nowoczesna broń krótka i pistolety maszynowe, środki transportu, łączności i rozpoznania – przez długi czas wyprzedzała o lata inne jednostki i formacje. A tam, gdzie takowe uzbrojenie trafia najczęściej występuje ono w ilościach niewystarczających lub śladowych. GROM jako jedyna formacja specjalna dysponował swego czasu własnym śmigłowcem i personelem latającym, a obecnie jako pierwsza jednostka w Polsce wprowadził do służby rozpoznawcze samoloty bezzałogowe. GROM od początku intensywnie współpracował z najbardziej elitarnymi jednostkami USA, w tym słynną grupą przeciw-terrorystyczną „Delta”. Autonomia jednostki była posunięta do tego stopnia, że w okresie podporządkowania MSW, żołnierze występowali kilkakrotnie, w zupełnie odmiennych od wojskowych mundurach galowych<sup>110</sup>.

Co ważniejsze, formacja ta była początkowo formacją kontr-terrorystyczną i należy zadać pytanie, w jakim stopniu jest ona w stanie spełniać tę rolę, będąc obciążona także zadaniami typowo wojskowymi, oraz biorąc udział w misjach zagranicznych. W dziele zwalczania terroryzmu na terenie Polski, niezbędne jest posiadanie, oprócz szeregu jednostek służb policyjnych także silnej jednostki zdolnej do wsparcia ich przy skomplikowanych operacjach ratowania zakładników (duże budynki, samoloty, statki i promy pasażerskie). Jednostki dysponującej dużym zapleczem szkoleniowym i siłami wsparcia.

Z drugiej strony, pozostałe jednostki pozostawały w cieniu JW 2305. Ich wyposażenie i uzbrojenie długo było na niższym poziomie i dopiero w obecnym okresie braki są stopniowo nadrabiane<sup>111</sup>. Jednostki te przeszły także wyraźną ewolucję od wykonywania wyłącznie zadań dywersyjno - rozpoznawczych do znacznie szerszego zakresu działań, w tym nawet mających charakter przeciw-terrorystyczny (w szerszym rozumieniu niż tylko ratowanie zakładników). Aktualnie stanowią one bardzo istotny czynnik polskiego potencjału obronnego.

---

<sup>109</sup> *Ibidem* str.211-217

<sup>110</sup> Kopie przedwojennego munduru oficerskiego wojsk lądowych wz. 36 w kolorze khaki i granatowym.

<sup>111</sup> Z wyjątkiem Formozy, która nieco wcześniej nabyła nowoczesne uzbrojenie i wyposażenie.

Warto zauważyć także coraz większą współpracę szkoleniową wojsk specjalnych ze strukturami pozamilitarnymi, np. udział przedstawicieli omawianych jednostek w dużych przedsięwzięciach szkoleniowych organizowanych przez Samodzielny Pododdział Antyterrorystyczny Policji we Wrocławiu.

### **Wojska Specjalne dzisiaj**

Całość polskiego potencjału wojsk specjalnych jest w stanie spełnić szereg istotnych funkcji w systemie bezpieczeństwa Polski.

W okresie pokoju, ich podstawową misją jest oczywiście intensywne szkolenie. Oprócz tego, podczas tzw. „operacji wojskowych innych niż wojna”, są szczególnie przydatne w następujących zadaniach:

- Zwalczenie terroryzmu – poprzez wsparcie innych służb państwowych (Policji, Straży Granicznej, Biura Ochrony Rządu, służb specjalnych) w rozpoznaniu konkretnych zagrożeń w sposób skryty, fizycznym zwalczaniu sprawców i ich zasobów (akcje bezpośrednie), w razie szczególnej potrzeby – w ochronie ważnych osób, ewentualnie obiektów i w charakterze sił kontr uderzeniowych.
- Zwalczenie przestępczości zorganizowanej, zwłaszcza międzynarodowej – w zakresie podobnym do zwalczania terroryzmu, zwłaszcza poza terytorium RP.
- Wsparcie doradczo – szkoleniowe państw zaprzyjaźnionych – wojska specjalne mogą być użyte do szkolenia podobnych formacji w innych krajach, w ten sposób wnosząc konkretny wkład w sojusze międzynarodowe.
- Istnieje teoretyczna możliwość angażowania żołnierzy wojsk specjalnych w niejawne operacje specjalne o charakterze wywiadowczym, szkoleniowym lub sabotażowym, a prowadzone w interesie polityki zagranicznej Polski lub sojuszu, w którym Polska uczestniczy. Autor zastrzega, że jest to jedynie teoretyczna możliwość i nie dysponuje żadnymi przesłankami, aby domniemywać, że taka działalność jest lub była prowadzona.

Podczas operacji wojskowych w ramach misji międzynarodowych wojska specjalne mogą być angażowane do:

- Prowadzenia wszechstronnego rozpoznania specjalnego na korzyść sił polskich lub koalicyjnych, w tym wsparcia działań wywiadowczych lub kontrwywiadowczych.
- Wspierania działań o charakterze współpracy cywilno – wojskowej.
- Wspierania w zakresie swoich możliwości ochrony ważnych osób i obiektów.
- Prowadzenia akcji bezpośrednich wymierzonych w kluczowe elementy ugrupowania przeciwnika (sił zbrojnych, ugrupowań partyzanckich, terrorystycznych lub przestępczych).

- Szkolenia lokalnych sił zbrojnych i policyjnych.
- Wspierania działań w zakresie kontroli przestrzegania embarga lub blokady morskiej, w tym zwalczania proliferacji broni masowego rażenia.
- Zwalczania piractwa morskiego.
- Prowadzenia działań poszukiwawczo ratunkowych w warunkach bojowych, ewakuacji osób niewalczących z rejonu konfliktu.
- Aresztowania osób podejrzewanych o przestępstwa wojenne i ratowanie zakładników.

Należy zwrócić uwagę na fakt, że podczas misji zagranicznych najbardziej prawdopodobna jest konfrontacja z innymi niż klasyczne siły zbrojne. Wówczas rola wojsk specjalnych ulega skokowemu zwiększeniu.

Podczas otwartego konfliktu zbrojnego podstawowe zadania sił specjalnych to:

- Prowadzenie rozpoznania specjalnego na korzyść sił własnych i ewentualnie sojuszniczych.
- Prowadzenie działań dywersyjnych i sabotażowych.
- W sprzyjających sytuacjach prowadzenie działań rajdowych (wraz z wojskami aeromobilnymi).
- Poszukiwanie i ratownictwo w warunkach bojowych.
- W szczególnie niekorzystnej sytuacji strategicznej, organizacja ruchu oporu i działań nieregularnych na terenach zajętych przez przeciwnika.

Istniejący potencjał wojsk specjalnych jest dobrą bazą do rozwoju ich możliwości na przyszłość. Podstawą jest jednak przede wszystkim dbałość o żołnierzy, dobre warunki ich służby oraz jak najlepsze ich wyszkolenie, zaś na drugim miejscu – stworzenie silnego systemu wsparcia i zabezpieczenia działań specjalnych (rozpoznanie, transport, łączność, logistyka). Na trzecim miejscu znajdują się dostawy adekwatnego do potrzeb wyposażenia i uzbrojenia.

### **Bibliografia**

- *Joint Publication 3-05 Doctrine for Joint Special Operations*. Joint chiefs of staff - 17 December 2003 ,
- *Joint Publication 3-05.3 Joint Special Operations Operational Procedures* Joint chiefs of staff – 23 August 1993
- P.Bernabiuk *mjr Kups o 56 kompanii specjalnej* Warszawa 2007
- K. Jałoszyński *Współczesny wymiar antyterroryzmu* Warszawa 2008
- H.Królikowski *Wojskowa Formacja Specjalna GROM* Warszawa 2000
- J.Rybak *Komandosi. Jednostki Specjalne Wojska Polskiego* Warszawa 2003
- J.Rybak *Grom.pl* Warszawa 2005



- J.Rybak *Commando.pl* Warszawa 2007
- G.W *Działania specjalne, – czym są?* MMS „Komandos” 1/96
- A. Czerwiński *Zacząło się w Opolu (1)* MMS „Komandos” 1/96
- CH *Ukryci we własnych szeregach* MMS „Komandos” 1/96
- Z. Gwóźdź *Zacząło się w Opolu (2)* MMS „Komandos” 2/96
- A. Czerwiński *Dywerysja pozafrontowa* MMS „Komandos” 3/96, 4/96
- K.Piątkowski *Zapomniany problem* MMS „Komandos” 4/98
- I.Chloupek *Z czym do NATO?* MMS Komandos 5/2000 i 6/2000
- H. Królikowski *Próba definicji* *Militarny Magazyn Specjalny „Komandos”* 10/02
- I.Chloupek *Mieszanka firmowa* „Commando” 2/2008 i 3/2008
- [www.wojskaspecjalne.mil.pl](http://www.wojskaspecjalne.mil.pl)
- [www.grom.mil.pl](http://www.grom.mil.pl)
- [www.wp.pl](http://www.wp.pl)
- [www.shadowspear.com](http://www.shadowspear.com)

## Kilka uwag do listu otwartego

W biuletynie Jeleniogórskiego Stowarzyszenia Żołnierzy Radiotechników „Radar” grudzień 2008, nr 10 ukazał się list otwarty p. Stasienki. Forma i styl listu nader napastliwego i pełnego kalumnii nie kwalifikuje się do polemiki. Ponieważ jednak treść listu dotknęła pewną grupę mieszkańców Sobieszowa znających epizod sobieszowski Eugeniusza Głowacza i historię jego grobu, czytelnikom należą się wyjaśnienia.

Autor niewiele wie o Eugeniuszu Głowaczu, który zmarł w 1950 r. Ta postać jest prawie w ogóle nieznaną także mieszkańcom Sobieszowa. Ppłk E. Głowacz do Sobieszowa przybył prawdopodobnie po roku 1945 i zamieszkał przy ul. Szkolnej, obecnie Kamiennogórska 6. Nieznana jest jego działalność społeczna. Dziś żyje jeszcze niewielka grupa osób w podeszłym wieku, które go znały osobiście.

Zapytani jednak o jego przeszłość, odpowiadają zgodnie, że nic nie wiedzą, kim był, gdzie walczył ppłk Głowacz. Żyje dwoje pracowników gminy Sobieszów – państwo Stanisław i Danuta Górakowie. Pan Górak był pracownikiem Wydziału Spraw Wojskowych i Oświatowych w Sobieszowie, ale on również nic o ppłk. Głowaczu nie wiedział. Wszyscy, którzy go znali osobiście, twierdzą, że pan ten ukrywał starannie swoją przeszłość i dopiero po jego śmierci mieszkańcy Sobieszowa (nie od razu) dowiedzieli się o jego bohaterskich czynach.

Eugeniusz Głowacz chyba celowo ukrywał swoją przeszłość. Nie przypadkiem wybrał małą podgóorską miejscowość. Nawet mieszkańcy domu i ulicy, przy której mieszkał do śmierci, zgodnie wspominają, że był to człowiek schorowany i skryty. Latem często wypoczywał na leżaku w cieniu rosnących w pobliżu domu drzew.

Po roku 1950 żona Głowacza wyjechała z Sobieszowa w nieznanym kierunku, nie pozostali tu też żadni krewni. Został za to grób na cmentarzu. Osoby, które go znały, wspominają, że przez długie lata na grobie był tylko metalowy krzyż i chyba napis z nazwiskiem. Kombatanci z okazji 3-go Maja kładli na grobie wiązanek kwiatów i małą flagę biało-czerwoną.

Na początku lat 90. XX w. na krzyżu pojawiła się blacha pomalowana na kolor biało-czerwony oraz napis informujący o czynach patriotycznych ppłk. Głowacza. Nie wiadomo jednak, kto i na czyje polecenie wykonał napis. Tak było do jesieni 2006 r. kiedy postawiono, nowy kamienny nagrobek.

Autor listu wspomina o znajomym, młodym człowieku, który jakoby opiekował się grobem Eugeniusza Głowacza, ale nie podaje jego nazwiska. Takiego młodego człowieka nikt nigdy nie widział ani o nim nie słyszał.

Obok są groby rodzin wielu mieszkańców Sobieszowa, którzy często przychodzą na mogiły najbliższych. Grobem Głowacza opiekowała się pani Jadwiga Kowalczyk, gdyż znajdował się blisko miejsca pochówku jej rodziców. Przyznała, że Eugeniusz Głowacz, który mieszkał w pobliżu domu jej rodziców, był jej znany.

Przez 50 lat nikt nie postawił trwałego nagrobku, a grób ocalał, gdyż cmentarz został zamknięty dla pochówków. Gdy powstała konieczność przywrócenia

pochówków, okazało się, że wiele grobów jest zaniedbanych i nikt się o nie nie troszczy. Aby uporządkować cmentarz i uszanować prawa rodzin administratorzy nakleili karteczki na najbardziej zaniedbanych grobach z informacją, że są przeznaczone do likwidacji. Karteczki nakleili jeden z młodych pracowników fizycznych zatrudnionych na cmentarzu. Administracja nie ma obowiązku uzgadniać z parafią takich spraw. Działa na zasadzie umowy. Nie było pośpiechu z likwidacją grobów; niektóre osoby zgłosiły się do administratora inne zaś nie uczyniły tego.

Jest, co najmniej zastanawiające, dlaczego prawie po 50 latach znaleźli się troskliwi obywatele, którym bliskie są sprawy patriotyczne. Casus grobu i tej karteczki zostały wyjaśnione w liście do prezydenta miasta Jeleniej Góry z dnia 7 listopada 2006 r. (zob. aneks). Sprawą grobu i zbudowania nowego nagrobka zajęli się Józef Okoń i Romuald Terzasani ze Związku Kombatantów R.R. i B.W.P. w Jeleniej Górze - Sobieszowie. Urząd miasta ufundował kamienny nagrobek. Uzgodniono wówczas z kombatantami, że parafia przekaże nieodpłatnie miejsce pod nagrobek Eugeniusza Głowacza, a nie jak pisze autor „wykupiono plac”. (Zob. Pismo z dnia 5 XII 2006 r.). Jest, zatem zastanawiające, dlaczego autor tego nie ustalił w 2008 r.

Autor listu wspomina o pobliskim grobowcu ks. Kamińskiego zbudowanym, jako wyraz wdzięczności przez parafian, a nie przez rodzinę, jak nieprawdziwie napisał.

Wyjaśniam, że ks. Kamiński przybył do Sobieszowa w roku 1959 i przez 27 lat ofiarnie służył tutejszej społeczności. Odznaczał się wielkim duchem patriotyzmu, w czasie II wojny cudem uniknął śmierci z rąk okupanta. Ale o Eugeniuszu Głowaczu i jego grobie chyba nie wiedział, widocznie nie była to postać znana wśród mieszkańców.

Niezrozumiała i niestosowna jest uwaga Autora listu, w którym porównuje jakoby „olbrzymi grobowiec”, w którym pochowano ks. Kamińskiego z ... grobowcem Józefa Stalina. Chciałoby się zapytać: Czy tu się kpi, czy pyta o droge (sic!).

Krzywdzące i nieuprawnione są też zawołowane opinie o niedostatecznych postawach patriotycznych mieszkańców Sobieszowa. Właśnie w Sobieszowie po ogłoszeniu stanu wojennego w grudniu 1981 r. były odprawiane 13. każdego miesiąca msze za Ojczyznę (pod czujnym okiem, ZOMO), których inicjatorem był właśnie ks. Kamiński. Co roku 3 maja i 11 listopada odprawiane były msze święte za Ojczyznę, jako wyraz wielkiej troski o przyszłość Polski. Tak było również w 2008 r.

Autor listu najwyraźniej nigdy nie był w kościele w Sobieszowie, bo tu przy ołtarzu Matki Boskiej Częstochowskiej jest gablota, w której znajdują się medale i odznaczenia (np. Virtuti Militari) pochowanych na naszym cmentarzu uczestników wojen w 1920 i 1939 r., powstańców warszawskich, uczestników bitew pod Tobrukiem i Monte Cassino, zdobywców Berlina.

Autor nie szukał ludzi, którzy znali Eugeniusza Głowacza i jeszcze żyją, choć takich jest już niewielu; nie pytał ludzi zorientowanych w sprawie. Widocznie nie zależało mu na poznaniu prawdy.

Należy zapytać, jaki cel miał autor, pisząc o sprawach sprzed dwóch lat. Liczne dygresje świadczą o jego tendencyjności. Uwag *ad personam* nie zamierzam komentować, podobnie jak dywagacji historycznych. Proszę, zatem redakcję o zamieszczenie sprostowania dotyczącego grobu płk. Głowacza. Mam też nadzieję, że w przyszłości redakcja zanim zdecyduje się na opublikowanie podobnych epistoł, starannie wyjaśni konteksty i podteksty autorów innych listów otwartych.

W imieniu  
mieszkańców Sobieszowa

ks. Józef Frąć

Od Redakcji:

Na stronie 2 Biuletynu istnieje zapis „Artykuły publikowane w „Biuletynie” są niezależnymi wypowiedziami ich autorów. Redakcja za ich treść nie ponosi odpowiedzialności.”